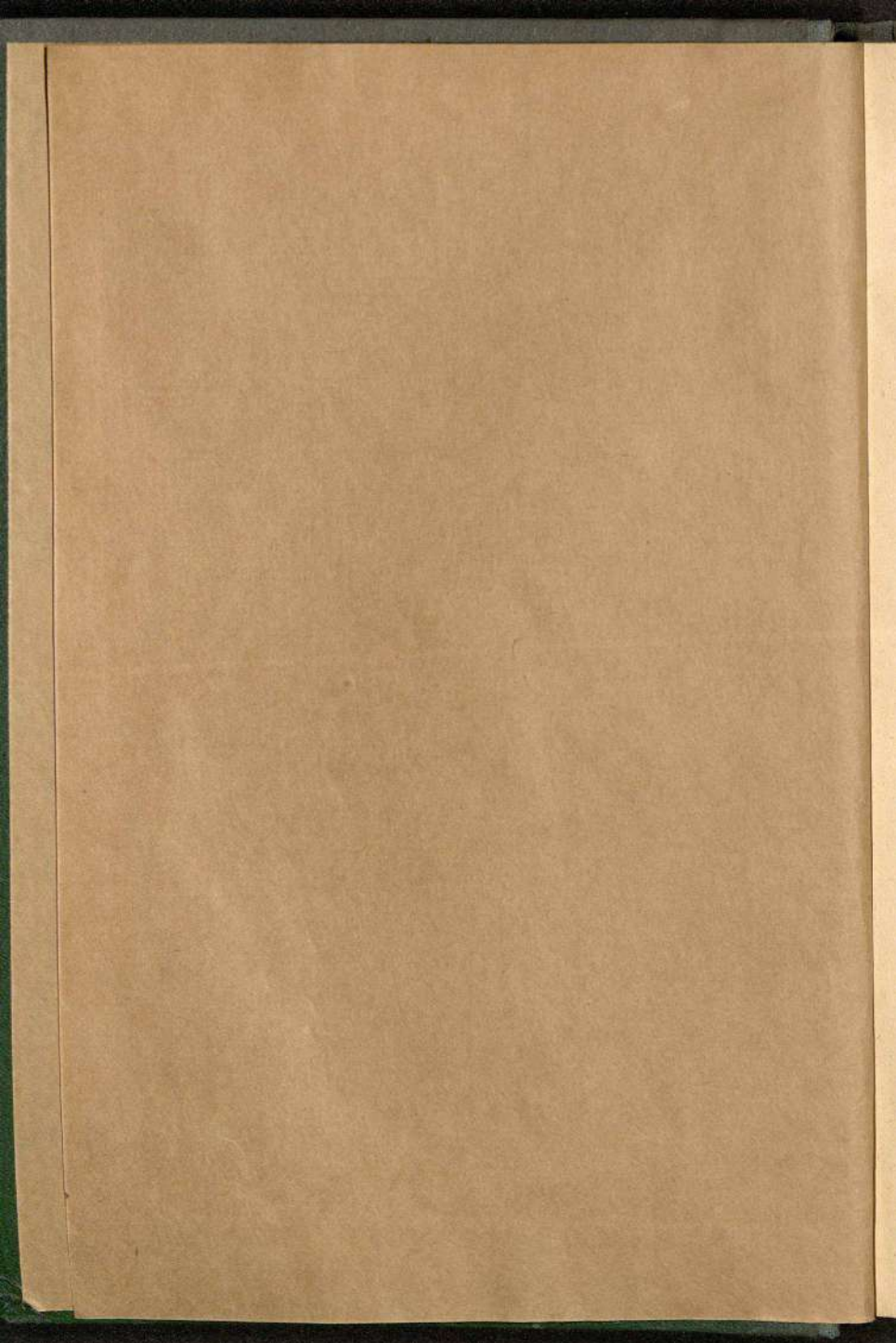


A. MICKIEWICZ



DZIEŁA
A. MICKIEWICZA



===== TOM V. =====



MIKOŁÓW

NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI



MIC
DZIE

96



KONFEDERACI BARSCY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

FRAGMENTY.

PRZEKŁAD JANA KASPROWICZA.

CONFEDERATE STATES

DEPARTMENT OF THE INTERIOR

LAND OFFICE

WASHINGTON, D. C.

OSOBY:

WOJEWODA, starzec sześćdziesięcioletni, wysoki, chudy, posępny, mówiący prawie zawsze półsłówkami i gięstem kończy swe zdania. Strój na nim polski, włosy krótko strzyżone.

HRABINA, jego córka, dama lat trzydziestu, piękna i elegancka.

HRABIA ADOLF, syn wojewody,

JENERAŁ-GUBERNATOR rosyjski, lat pięćdziesiąt.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, naczelnik konfederatów barskich, młodzieniec trzydziestoletni.

M. de CHOISY, oficer francuski, w mundurze francuskim.

OJCIEC MAREK, stary kapucyn.

DOKTOR, agent dyplomatyczny rosyjski; kroki niepewne, spojrzenie skośne, strój pół cywilny, pół wojskowy, w peruce, w okularach, z wielką tęgą pod pachą.

ZBROJA, nadzorca lasów królewskich, w stroju myśliwskim.

STAROSTA.

STAROŚCINA, jego żona.

BURMISTRZ MIASTA KRAKOWA.

Szlachta, urzędnicy i mieszczenie krakowscy, górale karpaccy i strzelec królewscy. Stroje ówczesne.

Rzecz dzieje się w Krakowie i okolicy r. 1772.

AKT I.

Salon w mieszkaniu Hrabiny. Grono mężczyzn i kobiet; jedni stoją, drudzy siedzą, z suplikami i zwojkami papieru w ręku; wszyscy smutni, rozmawiają z cicha. U drzwi kilku lokai w paradnej liberji.

SCENA I.

STAROSTA. PANI STAROŚCINA. BURMISTRZ. SZLACHCIC, później
MIECZNIK LITEWSKI.

STAROSTA (w stroju polskim, z szablą u boku).

Nawet na przedpokojach króla nie czekało się tak długo; nigdy tego jeszcze w Krakowie nie widziano. Kazać szlachcicowi pukać dwie godziny do drzwi faworyty!

(Wskazując na drzwi z boku).

STAROŚCINA.

Cicho! Co mówisz, nieszczęsny! Zapomniałeś, że to córka naszego wojewody?

STAROSTA.

I nałożnica generała rosyjskiego!

STAROŚCINA.

Ach! W rękach jej los naszego syna! Bądź cicho!

STARY SZLACHCIC.

O! Czego chcesz, mości starosto! Przysłowie powiada, że pierwiej się złamie prosty kark polski, polska szabla krzywa, nim tamten da się zgiąć, a ta wyprostować. Ach, kłam zadajemy przysłowiu! Niema co mówić: w Warszawie król Stanisław płaszczy się przed Moskalami, cóż więc dziwnego, że i my także... Wiadomo waszmości, że generał-gubernator chce skonfiskować mi zamek?

BURMISTRZ.

Biedny Kraków. Nakładają na niego nową kontrybucję, a mnie, burmistrzowi, każą odpowiadać za jej ściągnięcie. Grożą mi. Mam nadzieję, że hrabina wyjedna mi kilku-dniową zwłokę, a w tych dniach, kto wie, co się stanie.

STAROSTA.

Gdyby tutaj nie chodziło o nic więcej, jak tylko o zamek i pieniądze, to, choćby na głowę moją zwalono wszystkie blanki i wieżyczki mego zamku, nie ugiąłbym karku u drzwi takiej... ale — biedny mój chłopiec! Tu idzie o życie mego syna.

STAROŚCINA (do burmistrza).

Czy waszmości się zdaje, że udzieli nam dzisiaj posłuchania? Dziś właśnie, panie burmistrzu, mają sądzić mego syna, — staje, widzisz waszmość, przed wojennym trybunałem ruskim... A dlaczego? Ponieważ syn mój udzielił przytułku jednemu z emisariuszów Puławskiego, tego, widzisz waszmość, naczelnika konfederatów barskich. Czy waszmość uwierzysz? Powiadają, że to zbrodnia! Hrabina jednak może od generał-gubernatora ruskiego uzyskać... jest przecież Polką, okaże litość... Nieprawda? Jest przecież taka dobra!

BURMISTRZ (*zbliżając się ku staroście*).

Syn pani starościny dał przytułek emisariuszowy Puławskiego; czy pani wiadomo cośkolwiek o tym emisariuszu? Co robi teraz Puławski? Gdzie są konfederaci? Obiecują ich nam co chwila.

SZLACHCIC.

Ha! Nie czytałeś waszmość gazety wczorajszej? Konfederatów naszych pobito po drugiej stronie Wisły. Mówią, że Choisy wzięty do niewoli, a Puławski poległ. Zdaje się, że to prawda; wydrukowano to w gazecie i do tego w *Gazecie Urzędowej*.

STAROSTA.

Ba! Zabijają go systematycznie po kilka razy w tygodniu.

BURMISTRZ.

Twardy on dla śmierci, jak nasza Polska. Rusza się najbardziej właśnie na drugi dzień po urzędowym pogrzebie. Niech o tem piszą tysiące gazet! Moskiewskie to plotki, nic więcej!

SZLACHCIC.

Przysłowie mówi, że niema tak złej wieści, aby się nie potwierdziła — dla Polski.

BURMISTRZ.

Co się tyczy wieści, czy wiadomo waszmościom, że nasz wojewoda, dowiedziawszy się o klęsce konfederatów, przywdział białą konfederatkę i to przed nosem Moskali?

STAROSTA.

Wdział konfederatkę?

SZLACHCIC.

Cóż to ma oznaczać, mości burmistrzu? Waść przecie jesteś człowiekiem politycznym?

BURMISTRZ.

Chciał niby powiedzieć: Myślicie, że konfederacja upadła? Ja ją podniosę i oto nasamprzód godłem jej znaczę moją głowę. (*Nakłada czapkę na głowę*). Wojewoda wraca z zagranicy; wiadomo, że był tajnym agentem konfederatów. Wiem na pewno, że otrzymał pomoc.

STAROSTA.

Ale zanim pomoce te nadejdą!...

STAROŚCINA.

To jego zastrzela! Zastrzela — i za co? Za to, że znaleziono u nas tego mnicha, to znaczy, że znalazł się u nas, niewiadomo, jakim sposobem. Mój Boże! Ale hrabina się nie zjawia! Jestem pewna, że nie przyjdzie; opuścili nas wszyscy! Myślisz waszmość, że przyjdzie?

BURMISTRZ.

Cierpliwości. Niema jej w domu; jest na obiedzie u ojca, u wojewody. Jest tam i generał-gubernator i dużo naszych panów... wielki obiad.

SZLACHCIC.

Opowiadają, że wojewoda wścieka się na konduktę córki, że zamordowałby ją, ale się boi generał-gubernatora, no, i dlatego zaprasza ich na obiady. Czegoś podobnego nie widziano dotąd w Polsce. Ale cóż robić?

STAROSTA.

Słyszę bębny. Wracają. Wracają!

(Wszyscy podchodzą ku oknom).

KILKA GŁOSÓW.

Wracają! Bogu dzięki! Hrabina powraca!

SZLACHCIC.

Moskale odprowadzają naszą hrabinę przy odgłosie bębnow. Ktośby powiedział: To wódz ich naczelny... Nie do wiary!

BURMISTRZ.

To dlatego, że równocześnie wraca także generał-gubernator. Mówią, że się będzie żenił z hrabiną. Nic dziwnego: wdowa, tak bogata, tak piękna! Powiedziałem: wdowa; to lepsze, niż gdybym powiedział: rozwódka; to znaczy pół panna, pół wdowa.

SZLACHCIC.

Moskali! Córka wojewody krakowskiego! To tak samo, jakby nasz Ojciec święty wziął za małżonkę schyzmę! Koniec świata!

SZLACHCIC.

To jedno jest pewne, że ten Moskal zakochał się w niej. Ona z nim może wszystko; wodzi go za nos. Nie darmo nazywają ją małą Katarzyną, małą imperatorową krakowską.

MIECZNIK (*wpada nagle i biegnie ku staroście*).

Czekamy na próżno.

STAROSTA.

Cóż się dzieje?

MIECZNIK.

Nie dla was nie robi. Wracam od wojewody. Żle ją tam przyjęto! Ojciec jej, wojewoda, nie rzekł do niej ani słowa. Panie polskie odwracały się plecami, krzywiły się wzgardliwie. Dostała spazmów. Jenerał jest wściekły — a ja się cieszę!

STAROSTA.

Mój Boże! Panowie ci doprowadzają ją do gniewu, a my na tem cierpimy. Biją ją po naszych policzkach.

SZLACHCIC.

Mości mieczniku litewski, drogi mój panie! Moskale ucieli ci jedną rękę, a nie widzę, iżby na jej miejscu urosła druga. Waść nie jesteś wierzbą. Hrabina raz jeden ocaliła ci głowę, ale... sza!

LOKAJ (*wchodzi drzwiami z boku*).

Panie! Panowie! Pani hrabina nikogo przyjąć nie może. Ma zmartwienie; jest niedysponowana.

STAROSTA.

Niedysponowana? Ależ powiedz jej, że idzie tutaj o zacnych ludzi, których życiem chce jenerał dzisiaj rozporządzać. Niedysponowana!

LOKAJ.

Jeżeli macie państwo supliki, papiery, proszę mi je powierzyć.

(*Starosta i wszyscy inni biegną ku lokajowi. Oddają mu papiery. Mówią z nim*).

STAROSTA.

Niema nadziei! Zastrzelą go w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

MIECZNIK.

Wać nosisz szablę, a ja nóż. *(Pokazuje tajemniczo sztylet)*.
Mówię waści, że w tych dwudziestu czterech godzinach będzie niejedno cięcie, nie mówiąc już o pchnięciach.

STAROSTA I BURMISTRZ.

Co waść mówisz? Będą cięcia?

MIECZNIK *(prowadząc ich ku oknu)*.

Widzicie stąd waszmościowie te góry karpackie i ten obłok, podobny do kitki na czapce Puławskiego?

STAROSTA I BURMISTRZ.

Cóżeś waść słyszał? Czyżby oni...?

MIECZNIK.

Ja tylko mówię, że Puławski jest tegim kawalerzystą, a pan de Choisy wybornym piechurem; góry karpackie nie-daleko Krakowa, Wojewoda wdział konfederatkę... Przyjdźcie do mnie tej nocy, pogadamy. A więc odwagi, pani starościno! Przysięgam na góry karpackie, że waścinego syna nie zastrzelą.

(Wychodzą wszyscy).

SCENA II.

HRABINA. HRABIA ADOLF. LOKAJ.

HRABINA *(rzucając się na krzesło)*.

Ci suplikanci! Nie dają człowiekowi ani chwili spokoju; i to po takim dniu! Otóż to moi ziomkowie! Obrzucają mnie obelgami, a tutaj pelzają przede mną. Ale czyż ja ich potrzebuję? *Do lokaja, spostrzegłszy Adolfa w jednych z drzwi bocznych* Któż to? Mówiłam ci, abyś nikogo nie wpuszczał.

LOKAJ.

Pan hrabia, brat pani.

(Wychodzi).

HRABINA.

To ty, drogi Adolffie? W jaki sposób jużestu się zjawił? Zostawiłam cię przecież przy stole?

ADOLF.

Wyszedłem za tobą niepostrzeżony. Mam z tobą do pomówienia, Karolino. Idzie tu o ważny interes.

HRABINA.

Interes? I ty, Adolfie, przychodzisz do mnie tylko za interesami. W każdym razie, witam cię! Tak dawno nie widziałam cię w moim domu, tak dawno nie rozmawialiśmy z sobą. Gdybyś to zechciał przychodzić do mnie nieco częściej, Adolfie! W tej strasznej samotności jedyną mi jesteś pociechą.

ADOLF.

O jakiej mówisz samotności? Nie znam w Krakowie pałacu, któryby mniej był samotny od twego.

HRABINA.

Złośliwy-ś! Udajesz, jakobyś nie wiedział, że pałac ten opuszczony jest od świata, od mojego świata, od ojczyzny, od rodziny, niby szpital trędowatych. Któż mnie tutaj otacza? Moskale, cudzoziemcy. Nie mam komu z jednym zwierzyć się słówkiem.

ADOLF.

Tyłu tu przychodzi Polaków...

HRABINA.

Suplikantów, nieszczęśliwców. Tak, tu się płacze po polsku, ale tu się nie mówi! Co za egzystencja! To gorzej, niż być sierotą, podrzutkiem! Naco się przyda rodzina, która cię opuszcza, która się wypiera ciebie!

ADOLF.

Że ojciec się gniewa, cóż w tem dziwnego? Wracamy po długiej niebytności, dowiadujemy się o twym rozwodzie, że wychodzisz za mąż... i tysiące innych rzeczy! Krewni nasi nagadali ojcu dużo złego o tobie. Przyznaję, wszystkie te wieści wprowiły mnie w osłupienie. Cierpliwości jednak, niech przejdzie ta burza!

HRABINA.

Ty jeden, mój bracie, zachowujesz mi trochę przyjaźni, wiem o tem; młode twoje serce nie miało czasu napychać się ich nienawiścią, przejmować się ich zastarzalemi przesadami. Ale i ty się zmienisz, widzę to, widzę. Nakażą ci nienawidzieć mnie. Drogi Adolfie! Nie słuchaj ich, bądź zawsze dobry dla mnie! Wiesz, jakiś mi drogi. Uszczęśliwia mnie sam dźwięk twego głosu, przenosi mnie od razu na łono szczęśli-

wego dzieciństwa, na łono rodziny. Taka była pomiędzy nami zgoda, takeśmy się kochali wzajemnie! Co pozostało mi jeszcze z uczuć rodzinnych, to wszystko skupiam w tobie jedynym. Tyś całą moją rodziną, tyś ojczyzną dla mnie, dla wydziedziczonego, odrąbanego, potępionego dziecka. Gdybyś to zechciał przychodzić częściej!

ADOLF (rozczulony).

Ile razy tylko będę mógł, Karolino. Wiem, że mnie kochasz. Znam krzywdy, które ci wyrządzono, i boleję. Masz serce tak dobre, tak czule... Przychodzę właśnie zaapelować do jego dobroci. Przypominasz sobie księdza, którego posądzono o szpiegostwo? Pisałem ci już o tem, przyrzekałś mi wstawienie. Uzyskasz to od gubernatora, nie prawda?

HRABINA.

Wiesz, że to nie po raz pierwszy, spodziewam się, że nie ostatni. Tymczasem patrzysz na ich wdzięczność. Byłeś świadkiem, jakie zgotowali mi przyjęcie. Widziałeś przy stole tego Litwina, tego nieszczęśnika bez ręki, tego przyjaciela Puławskiego, którego Moskale mieli powiesić. Uratowałam mu życie. „Panie — mówię do niego przy stole — nie raczyłeś nawet przywitać się ze mną”. „Pani — odpowiedział ten pyszałek — nie mam ręki, aby ją wyciągać do pani uciegli mi ją przyjaciele pani. Moskale!” Moi przyjaciele Moskale! Głupiec, niewdzięcznik! — A te damy! Pierwsza wy tam na ich spotkanie, a one zawróciły się na obcasach ode mnie i uciekły, uciekły wszystkie, tak, jak ci konfederaci barscy, godni ich mężowie i synowie, uciekający wciąż przed Moskalami. Tam, na polu bitwy, oto miejsce, gdzie powinni okazać swój patriotyzm. Ale tutaj znieważać kobietę, czyż na tem polega patriotyzm polski? Kobietę, która usiłuje czynić im dobrze? Precz z wami, panowie Polacy! Najniewdzięczniejszy to naród na świecie!

ADOLF.

A ty czem jesteś? Nie jesteś-że Polką? Nie mów tak, Karolino! Jeśli gniewają się na ciebie, czyja w tem wina? Nie czynię ci wyrzutów, ale nie masz słuszności. Dlaczego zamieszkujesz ten zamek, otoczona Moskalami? Pałac twój łączy się prawie z dworem jenerała, jest to niemal jeden i tensam dom; rzecz to w oczach wszystkich skandaliczna.

HRABINA.

Schroniłam się tutaj, tak, dla bezpieczeństwa. Nie wiesz, że sędzina chciała mnie zamknąć w klasztorze, bezpośrednio nawet przed przybyciem ojca. Jakież mają prawo mnie zamykać?

ADOLF.

Nie należało rozwodzić się z hrabią, twym mężem. Nie widziano tego nigdy w naszej rodzinie. Zbłądziłaś. A teraz przyjmujesz hołdy Moskali, ty, córka mego ojca, córka wojewody!

HRABINA.

Powtórz ich kazania! Rozwód? Rozwód? E! Dlaczego, moje dziecko, kazano mi wyjść za człowieka źle wychowanego, za dzikusa, pijaka, żeby nie wyrazić się jeszcze gorzej? Czyż on się troszczy o mnie? Dłaczegóż to moja rodzina rościła sobie prawo do dbania o honor mego męża więcej, niż on sam dbał o niego? Wierzaj, to tylko pretekst, aby mnie prześladować. Nienawidzili mnie, obrzucali oszczerstwami, a teraz dziwią się, że nie jestem obojętna na uczucia człowieka, jedynego, który mnie proteguje, czci, który z moim związał się losem.

ADOLF.

Człowiekiem tym Moskal!

HRABINA.

Boże! Jakażto religja, jakież prawo zakazuje żywić przyjaźń dla cudzoziemca? I to dlatego jedynie, że jest cudzoziemcem?

ADOLF.

Cudzoziemiec ten prowadzi wojnę z nami.

HRABINA.

Wojny kończą się prędzej czy później. Nienawiści narodowe ucichną. A potem, gdy przebrzmi szereg broni, usłyszycie krzyk waszych sumień. Tak, ojciec mój, rodzina, wszyscy doznacie wyrzutów sumienia, żeście podkopywali mój byt, żeście zatruwali chwile mego życia. Pożałujecie tego kiedyś, oddacie mi sprawiedliwość, tak jest!

ADOLF.

Ach, gdyby się to wszystko skończyło! Gdybyś to mogła pojednać się z rodziną, powrócić do nas! Jakżeż posmutniał

nasz pałac z chwilą, gdyś go opuściła; posmutniał i zamilkł; pozostawiłaś w nim pustkę za sobą. Jakżeż on był wesół przed wyjazdem naszym na tę nieszczęsną ambasadę! I teraz ojciec mój już się nie zaśmieje. Nikt nie mówi przy stole; istny klasztor trapistów. Gdybyś wróciła! Tyś taka wesola, taka dobra! Staraj się o przebaczenie ojca. Pamiętaj o zakonniku! Nie zaniechaj tego środka; ojciec mój dalby dużo za jego ocalenie. Sądzą go dzisiaj. Wiesz, że żaden jeszcze Polak nie wyszedł cało z rąk Moskali.

HRABINA.

Bądź spokojny! Pisałam już do gubernatora. Pomówię z nim jeszcze. Przyjdzie dzisiaj do mnie.

ADOLF.

Przyjdzie tu dzisiaj? Może odejść, bo, gdyby się ojciec dowiedział...

HRABINA.

Ależ on się na gubernatora nie gniewa; zaprasza go do siebie, odwiedza go.

ADOLF.

Nie wierz temu zbyt. Podczas pobytu naszego w Wiedniu przyjmował ambasadora rosyjskiego bardzo grzecznie, a jak nim gardził! Jak nim gardził! Po każdej wizycie ambasadora tego ojciec się rozchorowywał, tyle go to kosztowało. Zdawało mi się pewnego razu, że dostał apopleksji. Wszystko to polityka, siostró! Ach, ohydna to rzecz ta polityka! Czy mówił z tobą przy obiedzie?

HRABINA.

Nie. A z tobą mówi kiedy o mnie?

ADOLF.

Nie. Mam w pokoju twój portret. Ojciec zatrzymywał się nieraz przed tym portretem, spoglądał ze smutkiem na niego. Czasem tak się zapominał, że cię lżył. Było to wówczas, kiedy po raz ostatni wzywał cię, abyś powróciła do domu.

HRABINA.

Nie miałam odwagi powrócić. Tak był zresztą rozjątrzony...

ADOLF.

Od tego czasu na portret twój nie spojrzę, nie mówię już nic więcej.

HRABINA.

I najsilniejszy gniew ustępuje z czasem.

ADOLF.

Powinnaś znać wojewodę. Ci, którzy go znają, niczego tak się nie obawiają, jak jego milczenia. Ale słyszę turkot wozu. Odchodzę. Staraj się ocalić mnicha. Koniecznie trzeba go ocalić. *(Tajemniczo)*. To ojciec Marek!

HRABINA.

Ojciec Marek? Dawny nasz spowiednik? Święty człowiek. Był kapłanem konfederatów. A Puławski?... Masz jakie wiadomości o Puławskim?

ADOLF.

Ach! Ten biedny Puławski! Zajmuje cię jeszcze dotychczas!

HRABINA *(wzruszona)*.

I owszem! Wiesz co o nim? Nie dowierzasz mi?

ADOLF.

Żyje. Nie wzięto go do niewoli. Oto wszystko, co mogę o nim powiedzieć.

HRABINA.

Niech będzie Bóg pochwalony! Gdzież on przebywa? Czy nie jest w niebezpieczeństwie? Czy dobry ma schron? Czy daleko stąd?

ADOLF.

Jest bezpieczny. Ale nie wolno mi mówić, gdzie obecnie przebywa.

HRABINA.

Nie mów, nie mów nikomu, bo, gdyby kto usłyszał, gdyby powtórzyło to echo... Słuchaj, Adolffie, napisz mu, daj mu znać, aby, jeśli może, uciekał jak najdalej! Imperatorowa nałożyła nagrodę na jego głowę. Jenerał ma do niego osobliwą nienawiść. Gdyby wpadł w jego ręce, jedyna to głowa, której ani ja, ani nikt od topora nie uratuje. Nie odważyłabym się nawet wstawiać za nim.

ADOLF.

A jednak kochałaś go niegdyś.

HRABINA.

Historja z lat dziecięcych... Chowaliśmy się razem w naszym zamku górskim. Ty małym byłeś jeszcze dzieckiem, nie przypominasz sobie tego. To brat mój mleczny; któż to ci mówił, że go kochała?

ADOLF.

Wszyscy. I pewnikiem nikt ci tego nie ma za złe. Ja bynajmniej o to się nie gniewam. Ach! Karolino! Gdybyś go była poślubiła! Człowiek tak waleczny, tak sławny! Naprawdę, wart twego Moskala.

HRABINA.

Ubogim był tylko chłopcem. Gdyby mnie był kochał, nie byłby uciekł od nas, aby zostać żołnierzem, awanturnikiem...

ADOLF.

Gdybyś ty wiedziała, jaki on wielki, jak piękny!

HRABINA.

Widziałeś go? Wielki Boże! Jest może tutaj? Co robi? Postradał rozum, leci naprzeciw swej zguby! Jeśli go tu odkryją! Straszliwe nam przeczucie! Okropny miałam sen tej nocy! Widziałam go we śnie.

ADOLF.

Puławskiego?

HRABINA.

Śniło mi się, że byłam z Puławskim w Karpatach, z takim samym jakim go widziałam w dzieciństwie. W kapeluszu góralskim, z toporkiem w ręku wiódł mnie ku górze, pokrytej gazonem, ukwiecionej kwiatem.

ADOLF.

Niema w tem nic przeraźliwego — tak mi się zdaje.

HRABINA.

Wtem, nagle, ujrzałam ojca, wychodzącego z pod ziemi. Zatrzymał nas, rzucił nas oboje do dołu, krzyczał: Pogrzebać

ich, pogrzebać! Ach Boże, czułam, czuję do tej chwili w ustach, na piersiach tę wilgotną, tę ciężką ziemię. Czułam stopy ojca, zdeptującego ziemię. Boże, co za sen!

LOKAJ.

Jego ekscelencja pan jeneral-gubernator.

ADOLF.

Nie chcę, by mnie tu spotkał.

HRABINA.

Wyjdź tamtędy, a potem przez ogród!

(*Adolf wychodzi*).

SCENA III.

HRABINA, JENERAŁ, (*ubrany paradnie*).

JENERAŁ.

A więc, madame, com przepowiedział, to się stało! Zwycięstwo!!! Potwierdza to raport wczorajszy. Konfederatów pobito, z kretesem ich pobito! Chwała Bogu! Zarządziłem właśnie *Te Deum*, a świec dwadzieścia i pięć każę zapalić w swej kaplicy, to znaczy tyle świec, ile mam lat służby, z których ostatnie bardzo były przykre. Ta wojna przekłeta, jakżeż ona długo trwała? Ale koniec końców, skończyła się, skończyła! Oddycham. Dopiero teraz czuję się naprawdę wielkorządcą tego kraju. Ach! Pani smutna!

HRABINA.

Zmęczona-m tym obiadem. Kazałeś mi pan lepszego spożiwac się przyjęcia. Zauję, zem posła.

JENERAŁ.

Współbiesiadnicy nasi także się przeciwko nam skonfederowali. Nie jest to miłe, ale nie myślę już o tem. Nie rozumiem, dlaczego ci Sarmaci tak od razu zhardteli, skąd u nich ta nagle pogarda? Czytali przecież wczorajszą gazetę. Zdaje mi się, że nie pora przekomarzać się z Ruskimi. Mniejsza o to; jesteśmy zwycięzcami, bądźmy wspaniałomyślnymi! Wybaczam im, tym ziomkom pani, ten ich humor kiepski. Nie gniewam się. W imieniu imperatorowej wydam proklamację z przebaczeniem, z laskami, a potem zapłacimy za złe! Kraj nareszcie uspokojony.

Mickiewicz. T. V.



HRABINA.

Ogromnie jestem uradowana, że widzę pana w takim usposobieniu. Dałam panu sposobność okazania tych uczuć wspaniałomyślnych. Uwolniłeś zapewne owego jeńca, o którym panu wczoraj pisałam.

JENERAŁ.

O nie, co do niego, to nie; trzeba go rozszargać; lecz to ostatnia będzie ofiara. Nie, to człowiek zbyt niebezpieczny.

HRABINA.

Kto? Mówię o kapucynie. To mnich z klasztoru moich włości. Znają go tutaj.

JENERAŁ.

Badał go mój doktor. Uważa on, że, jak się wydaje...

HRABINA.

Wciąż ten nędzny szpieg kurlandzki. Czyż nie dosyć popelnileś okrucieństw dzięki temu nikczemnemu donosicielowi?

JENERAŁ.

Doniesienia! Okrucieństwa! Osobliwsza z pani kobieta. Znasz mnie przecie. Ja okrutnikiem? O ile nie idzie o służbę cesarszowej, co za przyjemność dla mnie być okrutnikiem? Cóż to za zabawa strzelać kapucynów? Zaprawdę, wołałbym w górach Karpackich polować na daniela. Ale cóż pani chcesz? Jak wojna, to wojna! To konieczność! Dlaczegoż to zmuszają mnie, abym źle się obchodził z nimi?

HRABINA.

I owszem! Prowadźcie wojnę z żołnierzami, ale strzelać do ludzi spokojnych...

JENERAŁ.

Chciałbym mieć honor zaznajomienia się z tymi spokojnymi ludźmi; lecz, jak dotąd, nie spotkałem ich w Polsce. Jeśli kiedyś istniała podobna rasa w tym kraju (o czem wątpię), dziś ona zginęła. Konspiruje tu wszystko, co żyje. Mój doktor ma rację, mówiąc, że Polak, gdy skona, konspiruje jeszcze przynajmniej dwadzieścia cztery godzin. Kraj to złych głów, począwszy od golonej głowy imć pana wojewody, paninego ojca, a skończywszy na koltuniatych kudłach ostatniego chłopca. I oto szczęśliw jestem, że mogę nareszcie...

HRABINA.

Każdy kocha ojczyznę.

JENERAŁ.

Nikt ich z ojczyzny nie wygania. Niech sobie zostaną, tylko niech się zachowują uczciwie, niech kochają swego króla...

HRABINA.

Króla Stanisława Poniatowskiego, którego pan sam nazywasz waszym agentem, człowiekiem podstawionym...

JENERAŁ.

Człowiekiem rozumnym. Ważył potęgę dwóch państw; Polska okazała się lżejszą — i on zrezygnował. Twoi ziomkowie uczyniliby daleko lepiej, naśladować go; ale oni woleli wszcząć wojnę bezużyteczną, tak, bezużyteczną dla siebie, bezużyteczną dla mnie. Bo nie znam gorszego zadania dla jenerała, jak walczyć z wojskami nieregularnymi, z partyzantką. Jeżeli człowiek odniesie zwycięstwo, to cóż znajduje na pobojoisku? Ani jednej armatki, ani jednego furgonu, ani jednego gwoźdźcia... Poza tem, odkąd prowadzę tę galgańską wojnę, nie otrzymałem od imperatorowej ani awansu, ani dekoracji, ani dotacji. Jej cesarska mość nakazywała mi w każdej depeszy wojnę tę zakończyć, a ona się nie kończy. Cóż więc dziwnego, że się gniewam, że się unoszę, że się złoszczę? Bojaźń wyradza okrucieństwo.

HRABINA.

Pan się boisz? Pan, stary żołnierz?

JENERAŁ.

Nie boję się o życie, ale o reputację, o przyszłość, o te dwadzieścia pięć lat służby. Czy pani wie, że omal nie popadłem w nielaskę? Obawiałem się także i o panią. Pani wie, że ziomkowie twoi bynajmniej cię nie kochają. Zresztą i pani, bez wiedzy, dzieliłaś, może niebezpieczeństwa. Kiedyż tedy zgodzisz się pani podzielać na zawsze me szczęście?

HRABINA.

Widzisz pan, jak się temu opiera moja rodzina...

JENERAŁ.

Papa trochę się dąsa. Bądź pani spokojną, da się ugłaskać. Nie zna jeszcze doniosłości naszej ostatniej wiktoryi.

a przecie, jak pani widzisz, obawa lub polityka zmusza go do widywania się ze mną, do zapraszania mnie do siebie. Zaprosiłem dzisiaj wojewodę na herbatę. Będziemy próbować dalej. Będę grzeczny, uprzejmy, nawet uniżony; pani otoczysz go pieśszcotami. Od czasu do czasu ucieknę się do obietnic, w razie potrzeby — do pogrozek. Przypuścimy szturm do niego. E! Wszystko pójdzie, jak z płatka. Trochę wesołości! Chcę być wesoły, chcę się bawić dzisiaj. Przez cały miesiąc nie chcę tutaj słyszeć ani o wojnie, ani o polityce. Ot, jestem sobie rekrut na urlopie! Ha!

HRABINA.

Jeniec, o którym panu wspominałam, był kiekyś spowiednikiem mego ojca. Masz pan okazję zobligować sobie ojca w sposób bardzo delikatny.

JENERAŁ.

Znowu ten kapucyn! Dobrze, dobrze, nie mówmy już o tem. Napiszę rozkaz *(szuka papieru)* I owszem... *(Dzwoni)*. Niech tu przyjdzie doktor.

HRABINA.

Trzeba zmienić toaletę; muszę mieć tu wszystko. Czuję się tak zmęczona...

JENERAŁ.

Oczekuję panią tutaj. Pójdziemy razem.

(Hrabina wychodzi).

LOKAJ.

Doktor! *(wchodzi)*.

SCENA IV.

JENERAŁ. — DOKTOR.

JENERAŁ.

Zaniesiesz pan ten rozkaz dozorca więzienia wojskowego i polecisz, aby wypuszczono na wolność owego człowieka *(Dzwoni)*. Powóz! Jutro zdasz mi pan raport.

DOKTOR.

Mój jenerale, pozwolisz mi pan pójść dzisiejszego wieczoru ze sobą. Mam coś do pomówienia z panem.

JENERAŁ.

Dziś nie mam czasu.

DOKTOR.

Wasza ekscelencja użyć mi godziny...

JENERAŁ.

Ani sekundy. Nie chcę, aby mi dzisiaj mówiono o interesach. Czy to ja katorznik? Zesłaniec sybirski? Nie dają mi spokoju...

DOKTOR.

Mam ci, panie jenerale, ważne zakomunikować wieści.

JENERAŁ.

Dobre? Mów-że. Puławski czy pojmany?

DOKTOR.

Wieści największej doniosłości, domagające się całej uwagi pańskiej. Okaze się może potrzeba zarządzenia jakimś środków.

JENERAŁ.

Cóż takiego? Śpiesz się pan.

DOKTOR.

Jeżeli pan jenerał zechce przejść do swego gabinetu...

JENERAŁ.

Jesteśmy tutaj sami. Zamknij pan drzwi! Mów, śpiesz się! Nie mam czasu.

DOKTOR.

Mam zaszczyt uprzedzić waszą ekscelencję, że od wczoraj horyzont polityczny zaczyna się zaciemniać, i że fizjonomja miasta Krakowa objawia symptomy niepokoju.

JENERAŁ.

Głupstwo! Jakto, teraz? Po ich ostatniej klęsce?

DOKTOR.

Zauważyłem dziś od rana, że tworzą się grupy, zbiegowiska, jak gdyby jakiegoś wielkiego oczekiwano spektaklu, jak gdyby jakieś wielkie przeczuwano zdarzenie. Mieszczą-

nie się gromadzą i dziwią się temu obudzeniu, zdaje się, jak gdyby sami nie znali przyczyny tego poruszenia.

JENERAŁ.

Ależ to bezrozumne; żadne z tego nie wynikną skutki.

DOKTOR.

Przeciwnie, skutki mogą być jak najdonioślejsze. Nigdy lud nie jest taki niebezpieczny, jak wówczas, gdy z całej mocy chce czegoś, sam nie wiedząc, czego.

JENERAŁ.

Naszym posterunkom nakazana baczność

DOKTOR.

Przed posterunkami naszymi tłum zatrzymuje się w milczeniu, nie prowokując nikogo, a potem, nie sprowokowany i nie zagrożony przez nikogo, rozpierzcha się w milczeniu.

JENERAŁ.

Rozpierzcha się? Tem lepiej.

DOKTOR.

I gromadzi się na innym miejscu. Otóż, jakim to zauważył w Konstantynopolu, gdzie miałem zaszczyt być przydzielonym do cesarskiej misji wojennej w charakterze..., oto zauważyłem w Konstantynopolu, że tego rodzaju zjawisko jest zawsze wróżbą głuchego, a głębokiego niezadowolenia.

JENERAŁ.

Cóż ci ludzie mówią? O czym radzą?

DOKTOR.

Mówią po cichu, mości jenerale — mówią po cichu! Całe miasto obniżyło naraz głos swój o pół oktawy. Otóż zauważyłem w Wenecji, gdzie miałem zaszczyt być przydzielonym do misji...

JENERAŁ.

Więc coś w tej Wenecji?

DOKTOR.

Ilekrotnie u pospólstwa tego rodzaju zauważono zmianę w sposobie mówienia, twierdzono, że umysły chorują na jakieś zamiary, a inkwizytorowie państwa biorą się natychmiast do poszukiwań. A więc i tutaj badałem.

JENERAŁ.

Dobrze, żeś pan badał. I cóż pan odkrył?

DOKTOR.

Cierpliwości, panie jenerale. Otóż spostrzegłem jeszcze, (a i pan możesz stwierdzić słuszność tego spostrzeżenia), otóż spostrzegłem, powiadam, że od wczoraj Polacy, witając się, ściskają sobie ręce silniej, niż zwykle i — oh, z takim ruchem! Dodam ponadto, że rzucają na siebie porozumiewające spojrzenia... Otóż, zauważyłem...

JENERAŁ.

To prawda.

DOKTOR.

Otóż zauważyłem w Szwecji, gdzie miałem zaszczyt być...

JENERAŁ.

Więc cóż?

DOKTOR.

W Szwecji, podczas walki rojalistów ze szlachtą, gdy u którego ze stronnictw podobne spostrzeżono oznaki, było to dowodem, że stronnictwo otrzymało jakąś zachętę, że powinni być w pogotowiu...

JENERAŁ.

A zatem cóż pan myślisz? Jakie wyprowadzasz stąd konkluzje? Jakież oni mogli otrzymać wiadomości?

DOKTOR.

Zdaje mi się, że otrzymali coś więcej, niż wiadomości. Zdaje się, że w mury dostało się kilku zbiegów konfederackich. Wiemy, jak obecność ich elektryzuje wszystkie umysły.

JENERAŁ.

Być może. Drogi doktorze, porusz wszystkie sprężyny, śledź, zasięgaj informacji! Zobaczymy.

DOKTOR.

Czy zarządzasz pan jakie środki ostrożności?

JENERAŁ.

Przeciw komu? Cóż się tu może stać? Gdzież oni się ukryli? Abym mógł działać, muszę mieć wiadomości pewne. A tu nic dokładnego nie wiemy.

DOKTOR.

Nic dokładnego, jak dotąd.

JENERAŁ.

Tymczasem, jako lekarz, masz pan stosunki z całym światem.

DOKTOR.

Od rana pracowałem bez wytchnienia. Wpijałem się w uszy mych pacjentów, jak pijawka. Ssałem ich, jak bańki, lecz, niestety, nic dotąd wyssać nie mogłem.

JENERAŁ.

Nie do wiary! Tyle zmysłu spostrzegawczego, tyle doświadczenia, i żeby też niczego się nie dowiedzieć? A przecież ci Polacy to takie gaduły, ludzie, tak nie umiejący udawać, naród tak przezroczy...

DOKTOR.

Tak, mówią dużo, ale nie powiedzą ani słówka do rzeczy. W tej gadatliwej Polsce nie odkryto nigdy konspiracji. W tej chwili miasto jest, jak chore dziecko, niespokojne i krzykliwe; ale bezpożytecznem byłoby szukać siedliska i nazwiska jego choroby. Naszą rzeczą to odgadnąć.

JENERAŁ.

To łatwo; zle to nazywa się — zły Puławski.

DOKTOR.

Określenie trafne. Mówią, że awanturnik ten rzucił się w góry Karpackie. Zauważyłem, że mieszkańcy Krakowa zbyt często zwracają głowy swe w stronę gór, podobnie, jak lazzaroni w stronę Wezuwjusza, zapowiadającego wybuch.

JENERAŁ.

Pan Puławski Wezuwjusza z Karpat nie uczyni.

DOKTOR.

Góry tak blisko... do miasta łatwo wślizgnąć się można.

JENERAŁ.

Odkryją go tutaj. Polegam na panu, Krzyż swój Świętego Jerzego oddałbym temu, kto by to zrobił. Pan znasz jego rysopis. A zatem śledź, badaj, wietrz, rozpuść swoich emisariuszów! Ach, gdybym ja go dostał, tego przekłętego

człowieka! Miałem już nadzieję, gratulowałem sobie szczęścia, różowe miałem projekty — i oto całe święto na nic... Doktorze! Jeśli mi pomożesz do amputacji tej głowy, zamianuję cię naczelnym chirurgiem armji! Przyrzekam ci patent na radcę stanu!

DOKTOR (*nachylając się*).

Mój jenerale, mój jenerale, Bóg widzi, jak gorąco tego pragnę.

JENERAŁ.

Jeśli ja cię dostanę!... Nie byłoby to zbyt wielką łaską, gdybym miał go wieszać! Nie, ty rzeczniku! Zapłacisz mi drogo za moje noce bezsenne!... Ja cię oporządzę! Będziesz przykładem dla nich... Wspominać będą o tem przez lat dwadzieścia. Drżeć będą na samą myśl o konspiracji.

(*Wchodzi LOKAJ*).

LOKAJ.

Pani hrabina już zeszła. Oczekuje waszej ekscelencji.

JENERAŁ.

Proszę powiedzieć pani, aby raczyła przyjść do mnie. Wrócę za chwilę. (*Lokaj wychodzi*). Ah, to... (*pokazując doktorowi papier*) Muszę dotrzymać, przyrzekłem... tak, tego więźnia trzeba wypuścić na wolność.

DOKTOR.

Z przeproszeniem pana jenerała, najlepiej jeńca tego zostawić, gdzie jest. Zda mi się, człowiek to niebezpieczny. Najmniej wygląda mi na mnicha. Badałem go właśnie. Przedewszystkiem prawa jego ręka mięsistsza jest i na dwa cale dłuższa od lewej. Otóż jest to właściwością szabli, że hipertroficznie przedłuża i wzmacnia ramię polskiej szlachty. Dowód to, że to szlachcic i stary żołnierz. Ma też znamię na skroni, które niebardzo mi się widzi seraficzne i pochodzi raczej od cięcia szabli, znamię, zaledwie zagojone.

JENERAŁ.

Być może, służywał dawniej w wojsku. Wolę tutaj biskupa z młynarza, niż młynarza z biskupa. To spokojniejsze. Czy stary to człowiek?

DOKTOR.

Tak jest, stary.

JENERAŁ.

A więc to nie Puławski ani de Choisy. To mi wystarczy.

DOKTOR.

O, nie! Ale to może wysłać słynnego kapucyna Marka, przezwanego kapelanem Polski wojującej. Być może — sam ksiądz Marek.

JENERAŁ.

Co za myśl! Według ostatnich raportów ten Marek znajduje się o trzysta mil stąd. Zresztą, czy się nazywa Marek, Mateusz lub Jan, obiecałem hrabinie, że go uwolnię. A zatem idź pan, zajmij się Puławskim i nikim więcej.

DOKTOR.

Przychodzi mi na myśl, ale nie mam odwagi...

JENERAŁ.

Mów pan.

DOKTOR.

Waszej ekscelencji wiadomo, że pani hrabina była w stosunkach... z tym... Puławskim.

JENERAŁ.

Tak, będąc dzieckiem. Dawna to historia. Nie do twojego należy zakresu... to cię nic nie obchodzi.

DOKTOR.

Chciałem tylko powiedzieć, że rodzina pani hrabiny... rodzina bardzo liczna... Otóż jest możliwe... prawdopodobne, że któryś z członków tej rodziny zachował niejaki stosunki... a pani hrabina okazuje dla waszej ekscelencji dużo przyjaźni, przeto byłoby wielce korzystnie dla służby jej cesarskiej mości, gdyby wzięła na siebie uzyskanie choćby jednego wyjaśnienia, dzięki któremu... Gdyby, naprzykład, zechciała mnie użyć... pójść za moją poradą...

JENERAŁ.

Signor dottore!... Nie jesteś pan zazdrosny, chciałbyś, aby cały świat zajmował się twojem rzemiosłem. Powiedziałeś pan głupstwo.

(Wchodzi OFICER).

OFICER.

Ekscelencjo, wojewoda jest u bram cytadeli. Czy wpuścić?

JENERAŁ (*szumiący*).

Wojewoda? A któż to panu kazał drzwi zamykać przed nim?

OFICER.

Ekscelencjo, chce wejść z całą swoją świtą, z swymi Tatary i kozaki.

JENERAŁ.

Cóż z tego? Dziesięć kozaków. Otworzyć natychmiast. (*Oficer wychodzi*) ... Zaprosiłem go na ten wieczór.

DOKTOR.

Chciałem właśnie powiedzieć, że pan wojewoda, dla którego jak największy żywioł szacunek, a na karb którego niczego nie chciałbym powiedzieć, co by mu choćby najmniejszą wyrządziło krzywdę... Tymczasem, jakkolwiek jest ojcem pani hrabiny, dla której...

JENERAŁ.

No dalej!... Bez tych wykrętów...

DOKTOR.

Wydaje mi się, że dla obecnych porządków żywi uczucia całkiem odmienne od tych, które pragnęliśmy widzieć u... Wiadomo, że był zagranicą agentem konfederatów. Mam tutaj zapiski co do jego zachowania się. (*Przerzuca kartki w portfelu*). Otrzymał właśnie list od księcia de Choiseul, a sam wysłał pismo do lorda North — otóż pan wojewoda...

JENERAŁ.

Wiem. Poselstwa jego spetzły na niczem. Wiadomo, że po powrocie z tych podróży bezużytecznych nie udał się bynajmniej do obozu Puławskiego. Siedzi tu spokojnie.

DOKTOR.

Mości jenerale! Juliusz Cezar mawiał, że należy obawiać się ludzi ponurych a chudych, choćby się wydawali, nie wiem, jak spokojni.

JENERAŁ.

Ponury ma charakter... Dąsał się na nas z pewnych względów familijnych... Zaczyna jednak słuchać głosu rozsądku.

DOKTOR.

Obserwowałeś pan jego oczy? Ah, jenerale, najciekawsza to para oczu, jaką kiedykolwiek zanotowałem w swoich ry-sopisach; oczy, tysiąc razy niebezpieczniejsze od oczu fana-tyka, które zapalają się na chwilę, a potem stają się mętne i przyémione. Wzrok wojewody to zawodowego gracza, któ-ry nigdy nie traci z oczu swej stawki. Instynktownie lękam się tych źrenic błyszczących, ostrych i zimnych, jak dwa koń-ce nożyczek angielskich. Albo się myślę, albo wejrzenie to oznacza człowieka, zdolnego do... Pan może, jenerale, śmie-jesz się ze mnie?

JENERAŁ.

Pan się boisz ziego spojrzenia? Pan? My, Ruscy, nie jesteśmy kolibrami. Nas wojewoda nie urzeczy; niech patrzy na nas. Nie lękam się ani jego pary oczu, ani paru jego Tatarzynów.

LOKAJ.

Pan wojewoda.

JENERAŁ (*zdziwiony zrywa się z siedzenia*).

Tutaj! Przychodzi do hrabiny! To nadzwyczajne.

DOKTOR.

Pomów pan z nim o poruszeniu w mieście. Ciekaw jestem dowiedzieć się, co on myśli o tem.

SCENA V.

CI SAMI. WOJEWODA (*wchodzi z dwoma tatarskimi hajdukami, którzy stają we drzwiach*).

JENERAŁ (*z papierem w ręku*).

Mości panie! Szczęśliwy jestem, wielce uradowany, że cię widzę. Pani hrabina właśnie wychodzi... Jest tam kto?... Powiedźcie pani hrabinie, że incipian wojewoda...

WOJEWODA (*do lokaja, głosem stanowczym*).

Nie odchodź, zostań! Mości jenerale, przyszedłem do ciebie. Byłem u ciebie — powiedziano mi, żeś tutaj.

JENERAŁ.

Proszę zająć miejsce. Pani hrabina będzie niepocieszona, że wyszła zbyt wcześnie...

WOJEWODA (na stronie).

...A więc to prawda! I tak dalece! Ona jest u niego, a on sprawuje u niej honory doniu.

(Głośno).

Przyszedłem uprzedzić pana, że nie będę mógł dzisiaj spędzić wieczoru w tym domu. Wyjeżdżam na wieś. Zarządziłem polowanie. Czekają na mnie. Żegnam cię, panie; widzę, żeś zajęty.

JENERAŁ.

To nic. Mam tylko coś podpisać. (Podpisuje). Idzie o księdza, skazanego na śmierć. Słyszałem właśnie, że należał dawniej do pańskiego dworu. Nie umrze.

WOJEWODA.

Wywołujesz pan żal we mnie, że nie mam już tyle służebnych u siebie, ilu ich bywało u moich przodków. Czasy te... (czyni gest).

JENERAŁ.

Pragnąłbym, aby cała Polska służyła tak panu, jak my ci służymy. E! Kto wie! U was tron jest elekcyjny. Ha! Ha! — Darowuję temu księdzu życie i wolność... Ale proszę, racz pan zająć miejsce.

WOJEWODA.

Nazywają cesarzową Katarzynę „Semiramidą Północy”. Pan masz tak samo prawo nazywać się Tytusem Krakowa. Ja tak wysoko nie mierzę, ale lubię dzieje starożytne.

JENERAŁ.

Darowałem niedawno życie temu szalonemu Litwinowi, co dla ułatwienia ucieczki Puławskiemu podszył się pod jego nazwisko, a który miał być powieszony w miejsce Puławskiego. Nie są to również jakby dzieje starożytne? Jest to jakby wyjęte z Romy, albo raczej z romansu. Nadzwyczajne to poświęcenie.

WOJEWODA.

Są ludzie, którzy widzą w tem coś nadzwyczajnego.

JENERAŁ.

Co do mnie, ja rozumiem, ja kocham poświęcenie się żołnierza dla dowódcy — ale skądżeż to, na przykład, pochodzi,

że spokojni obywatele, że, na przykład, mieszczenie krakowscy taką żywią namiętność dla pana Puławskiego? Tego to już nie pojmuję.

WOJEWODA.

Tak, są ludzie, którzy tego nie pojmują.

JENERAŁ.

Pan znałeś Puławskiego?

WOJEWODA.

Nie znałem go. Wychowywał się u mnie, ale wówczas był jeszcze dzieckiem. Teraz znam Puławskiego tak samo, jak pan go znasz. Znać czyny człowieka, to znać człowieka samego.

JENERAŁ.

Ma być bardzo wymowny.

WOJEWODA.

Pan go przewyższasz w czynie.

JENERAŁ.

Ponoś krążą po mieście jakieś pogłoski. Sądziś pan, że ten włóczęga, jeśli by umknął moim kozakom, mógłby jeszcze wzniecić jakie zamieszki?

WOJEWODA.

Czy na nowo rozpocząłby wojnę?

JENERAŁ.

Tak.

WOJEWODA.

I wy także prowadzilibyście ją dalej.

JENERAŁ.

Niewątpliwie. Zresztą gniewałoby mnie to, bo czyż nie mamy tego dosyć? — Tyle krwi, tyle zniszczenia! I dlaczego? Dlatego, że jakiś tam pan de Choisy chce sobie tutaj na czele kilku awanturników francuskich zdobyć jeneralskie epolety i że jakiś szlachcic pragnie zostać gubernatorem Rzeczypospolitej, jak gdyby nie było króla Stanisława! Imperatorowa nigdy podobnego stanu rzeczy nie zniesie. A przypuściwszy, że króla zdetronizują, to znam w Polsce ludzi pochodzenia dostatecznie świetnego...

WOJEWODA.

Nie wiem, czy Puławski myśli zostać starostą, hetmanem, wojewodą czy królem. Być może. Ale nie pojmuję, iżby chciał zostać gubernatorem. Od czasu, jak żyję, tego urzędu w Polsce nie było. Zresztą, aż dotąd w wojnę tę się nie mieszałem.

JENERAŁ.

O, my panem możemy się tylko pochwalić. Zrobiono na pana donos u imperatorowej, ale ja zawsze dawałem gwarancję co do pańskiego zachowania się.

WOJEWODA.

Dziękuję, mości jenerale! Dołożę starań, aby dać się poznać takim, jakim jestem. Żegnam pana.

JENERAŁ.

A! Odchodzisz pan? A na długo?

WOJEWODA.

Na dzień. Niedaleko stąd; w Karpaty.

JENERAŁ.

Na łowy? Lubię łowy; te sprawy przekłete...

WOJEWODA.

Chciałem pana zaprosić, ale widzę, żeś pan zajęty. Zresztą, właściwie to nie będą łowy. Jadę poczynić przygotowania. Oddawna-m nie widział swych włości. Za kilka dni urządzę łowy, godne pana i wojewody, który równocześnie jest wielkim łowczym koronnym. Spodziewam się, że uczynisz mi pan zaszczyt i wypróbujesz nasze strzelby. Żegnam pana.

(Wychodzi).

SCENA VI.

JENERAŁ. DOKTOR.

JENERAŁ.

Ostry Sarmata.

DOKTOR.

Cóż pan myślisz o tych łowach?

JENERAŁ.

Trochę to dziwaczne. Tak nagle, w czasach tak niespokojnych.

DOKTOR.

Z tego, com widział, przeczuwam, co będzie w górach. Zgromadzą się okoliczni niezadowoleni, naradzą się, policzą...

JENERAŁ.

Tymczasem sam mnie uprzedził.

DOKTOR.

Ja dlatego właśnie mam podejrzenia. Zapominasz pan, że był dyplomata

JENERAŁ (*zamyślony*).

Trzeba mieć wiadomości o tych łowach. Masz pan agentów w górach?

DOKTOR.

Na wsi? Nie. Kraj to zbyt barbarzyński, aby można zorganizować tam uczciwą policję. A gdybyś, jenerale, sam się tam udał? Każ się pan zaprosić, albo udaj się pan niby na wycieczkę. Pochwycisz ich pan na gorącym uczynku, przy obradach. Zbadamy liczbę, fizjonomję. Cóż pan o tem myślisz, mości jenerale?

JENERAŁ.

Niezły pomysł. Śledzenie wroga honorowi żołnierskiemu ujmy żadnej nie czyni. Pomówimy o tem. Przyjdziesz pan do mnie po balu. Powóz!

(*Doktor wychodzi*).

Czyżby to było możliwe? Gdyby ten wojewoda... Ci ludzie krakowscy to tacy szaleńcy, tacy niespokojni!... Gdyby ten wojewoda... Samo takie przedsięwzięcie zgubiłoby mnie w sercu imperatorowej. Gwarantowałem za jego wierność. Imperatorowa niejednokrotnie ganiła stosunki moje z hrabiną. Sama taka próba, a moje dwadzieścia pięć lat służby, moje rany... Nie, mości panowie Polacy, jeśliście mnie przyprawili o niełaskę, biada wam! W proch obrócę — przysięgam na ten mój krzyż Świętego Jerzego — w proch obrócę te sto dzwonnice waszej stolicy, a gdy je zrównam z ziemią, żaden pan de Choisy wraz z swemi posiłkami francuskimi już ich nie odbuduje.

A K T II.

Dzika okolica w Karpatach; po lewej skała, z kaplicą na szczycie; po prawej łańcuch gór; w głębi dwór myśliwski; nieco dalej dąb ogromny. Zachód słońca.

SCENA I.

PUŁAWSKI. P. DE CHOISY. ZBROJA.

PUŁAWSKI *(w stroju konfederackim, z strzelbą na ramieniu, z szablą u boku, z pistoletem za pasem)*.

Tędy, panie de Choisy, tym parowem.

DE CHOISY *(w mundurze, bez broni, kroczy powoli)*.

Przyjacielu mój, Zbrojo, daleko jeszcze do tego miejsca?

ZBROJA *(w ubraniu myśliwskim)*.

Już jesteśmy, panie. Widzi pan na szczycie domu te rogi jelenie i te głowy dzików.

(Choisy siada na ziemi, wyciąga pakiet i przegląda papiery).

PUŁAWSKI.

Tak! Czy to tutaj? Przypominam sobie. Witajcie, góry drogie, ziemio rodzinna, skały karpackie! Widzę nareszcie niebotyczne wirchy nasze, te turnie nagie, jak golone łby konfederatów! Witajcie, stare brody mchów! Świszcz, wichry karpackie! O tak, szumijcie mi, lube wichury! Poszumy wasze usypiały mnie ongiś w tej kolebie z granitu. Poznaje tę melodię gór i lasów; pieśń to karmicielka rodu Puławskich.

DE CHOISY *(smutno)*.

Me plany, me zapiski! Wszystko zginęło w tej Wiśle! E! Tem lepiej! Bodajby była równocześnie zginęła i moja pamięć. Cóżmy to robimy? Dlaczego wyciągnięto mnie z wody? Hańba być ocalonym, podczas kiedy cały naród doznał rozbicia! Nieszczęśliwy naród!

PUŁAWSKI.

Przekłete lasy litewskie! Przekłete stepy ukraińskie! Od siedmiu lat nie odetchnałem tak swobodnie, tak słodko, tak szeroko! To mi atmosfera prawdziwie polska! Jak wielkie tutaj niebo. Popatrz, Choisy! Stąd oko dziesięćkrotnie obejmuje widnokrąg.

DE CHOISY.

Tak, olbrzymio i pięknie wygląda tutaj ta ziemia leż i krwi. Nie chcę już patrzeć w tę stronę.

(Odwracając głowę).

PUŁAWSKI.

Zmęczony-ś. *(Siada, lecz natychmiast zrywa się na nogi).* Upadalem ze wzruszenia, ale jestem, jak kula armatnia; zaledwie-m dotknął tej skały rodzinnej, a wraz poczułem w sobie taką moc, że podskoczyłbym stąd aż do rynku krakowskiego.

DE CHOISY.

Zginęli! Mężny Bellemont, Lanquette-Mornay!... Padliście, moi przyjaciele, padliście z rąk tych... Zginęliście, i to jaką śmiercią! Nie, nie opowiem we Francji szczegółów waszego męczeństwa, bo nie zdobędą się na odwagę, aby was pomścić.

PUŁAWSKI.

Co ci jest? Błady-ś. Spodziewam się, że nie jesteś ranny.

DE CHOISY.

Ranny? Tak, ranny na duszy, ranny śmiertelnie. Nie przydam się już na nic. Dlaczego chcesz, abym żył jeszcze nadal?

PUŁAWSKI.

Układasz elegję? Smutne rzemiosło dla szefa sztabu. Dlaczego lamentujesz, jak kochanek? Czyś się zakochał?

DE CHOISY.

Zakochałem się w szalonej, w szalonej waszej Polsce. Sam Bóg wie, jak ją kochałem. Jakież ja wieści poniosę do Francji? We Francji was kochają. Kochają was wszyscy. Stary baron, mój ojciec, nazywał Polskę „siostrą Francji w Jezusie Chrystusie”. Żegnając mnie, kazał mi przynieść grudkę ziemi waszej; nazywał ją relikwią chrześcijańskiego świata. Brat mój, filozof, podziwiał Polskę za to, że jest rzecząpospolitą. Ja w marzeniach swoich widziałem w niej Godfredów i Brutusów. A cóżem spotkał? Bezrząd i niezgodę. Zdradzony-m! Obrano mnie z najdroższych mych iluzji Polska mnie zdradziła.

PUŁAWSKI.

Śpiewasz refren Dumourieza! I to już dzisiaj? Podziwiałeś przecie naszych wasatych Brutusów, naszych republikań-

skich Godfredów. Szczęśliwy się czuleś, przebiegając lasy i stepy. Któż się to odmienił? My? Czy nie ty, Choisy?

DE CHOISY.

Tacy wy zawsze jednacy! Tak, wyście takimi, o jakich marzyłem. Samo już nazwisko Polaka wydało mi się jedno-brzmiącym z kitką, lancą i szablą. Tak, każdy z was to olbrzym, wiem o tem; ale, razem wzięci, jesteście karłami. Oto, czegom nie wiedział.

PULAWSKI.

Prawda, że ci naczelnicy litewscy, ci naczelnicy ukraińscy wszystko zepsuli. Bez nich... Mniejsza jednak o to. Jesteśmy tutaj sami i — na Boga — wystarczymy sobie! Ojciec Marek przepowiedział nam, że zginiemy w walce za jedną i tę samą sprawę, za sprawę zwycięską. Ale gdzież on jest? Zbrojo, idź szukać ojca Marka. Musi być tam w dole.

(Zbroja wychodzi).

DE CHOISY.

Ten sam ksiądz przepowiedział Dumouriezemu, że w rękach swoich będzie miał los narodu, los króla. I oto Dumouriez odjechał, a los wasz się nie zmienił.

PULAWSKI.

Powróci z armją. Proroctwo ojca Marka tak samo jest niezawodne, jak jego szabla.

DE CHOISY.

Niech i tak będzie; czekajmy spełnienia tego proroctwa. W rzeczywistości jest coś tajemniczego w tej sympatii pomiędzy naszymi narodami i nami dwoma, mój Kazimierzu; bo ja cię kocham, tak, ciebie. Nie mamy tu, w Europie, nie do roboty. Europa kona — umrze bez potomstwa: najmłodsze i najsilniejsze jej dziecko, ta nasza Polska, dogorywa. Chodźmy, mój przyjacielu; Lafayette już się wslawił. Znajdziesz tam przyjaciela swego, Kościuszkę. Prawda, że Ameryki nie pokocham tak, jak kochałem Polskę. Kocha się tylko raz jeden. Zyszcjemy jednak trochę sławy, pozostanie po nas jakieś echo; i w tem już nieco pociechy.

PULAWSKI.

Niewiele się troszczę o tę twoją sławę zamorską. Sławym być w kraju, gdzie się nie ma ani ojca, ani matki, ani

przyjaciela! Choćby wszyscy Francuzi, wszyscy Niemcy, wszyscy Turcy, nie wyjmując i Moskali, wymawiali pokaleczone moje nazwisko, cóżby mi z tego przyszło? Zostańmy, Choisy, tutaj; bądźmy sławni tutaj! Niech rywale nasi pękają z zazdrości, a ci, co nas lekceważą, niech giną z żalu, że nie poznali się na naszych zasługach. Niech szczyć się nasze rodziny, że w żyłach krew mają naszą! *(głosem stłumionym)* Ach!... Skaly te znaczone są śladami tej nóżki drobnej, za którą kiedyś biegałem. Niech ta niewdzięczna umiera z wyrzutu, że mną pogardziła! Oto jest sława żywa, płomienna. Lubieć echa, ale muszę je słyszeć. *(Śpiewa)*. Hej! Witam was, góry me drogie!...

DE CHOISY.

Cóż ty zamierzasz czynić tutaj? Chyba nie namówisz tych drogich gór, ażeby przystąpiły do konfederacji i ruszyły na Moskała!

PULAWSKI.

Właśnie o to tu idzie. Wojewoda jest tutaj panem kilku wsi górskich — jest dowódcą strzelców królewskich; kazał mi się tu udać — przystępuje do konfederacji. Będziemy mieli wojsko — mamy za sobą inteligencję w mieście. Wojewoda wraca — z zagranicy przyobiecano nam pomoc.

DE CHOISY *(wstając)*.

Strzelcy Górale? Mówią, że dobrze władają siekierkami.

PULAWSKI.

Niewatpliwie. Warci są naszych kosynierów.

DE CHOISY.

Ile tysięcy dostawić może wojewoda? Zobaczmy, ile?

PULAWSKI.

Nie wiem, lecz dużo. Policzysz je pan.

DE CHOISY.

Prawdziwy Polak! Nie można przemawiać do niego arytmetyką. Któż zresztą wie? Gdyby można zebrać i wyćwiczyć oddział piechoty... Zostały jeszcze niedobitki z mego pułku francuskiego. Ale gdzież oni się podziewają?

PULAWSKI.

Tam, w parowie. Złączysz ich pan z naszymi, wyćwiczysz ich, uformujesz; nikt ci przeszkadzać nie będzie.

DE CHOISY.

Czy tylko wasi słuchać zechcą?

PUŁAWSKI.

O, wojewoda umie ich zmusić do posłuszeństwa.

DE CHOISY.

Oby tylko nie zechciał pójść trybem innych naczelników.

PUŁAWSKI.

Nie obawiaj się! Naczelne dowództwo zda na mnie. Ty będziesz szefem sztabu. Albo raczej ty będziesz wydawał rozkazy, a ja będę je wykonywał. A więc odwagi!

DE CHOISY.

Masz jakie mapy? Potrzebny mi plan tego parowu, zmierzającego ku miastu.

PUŁAWSKI.

Plan wyryty na moich piętach. Znam każdy kamyczek.

DE CHOISY (*wzruszając ramionami*).

Trzeba przecież nakreślić kilka linii, choćby na prędcę...
(*Wyciąga ołówek i papier*).

PUŁAWSKI.

Sygnałem będzie głos rogu. Idź i ściągnij tutaj resztki twojej biednej piechoty!

(*De Choisy wychodzi*).

SCENA II.

PUŁAWSKI. — KSIĄDZ MAREK. — ZBROJA.

PUŁAWSKI.

Gdzieżeś to, ojcie Marku, tak długo przebywał?

KSIĄDZ MAREK (*w stroju kapucyńskim*).

Zapominasz, młodzieńcze, że dźwigam za sobą ciężar lat siedmdziesięciu i że te nogi mają dotychczas jeszcze ślady więzów moskiewskich, co przez noc jedną czynią człowieka starszym o lat kilka.

PUŁAWSKI.

Spocznij, ojcie; tu nasze miejsce. Oto góry, o których ci tyle mówiłem. Czyż tu nie pięknie? Że też nie umiem pod-

rzucić się w górę, jak ta siklawa, że też nie umiem wzlatywać, jak ten orzeł, z szczytu na szczyty, rozciągnąć się, jak ta góra z lodu... Ojcie Marku, widzisz tę czarną plamę?

KSIĄDZ MAREK.

Gdzie?

ZBROJA.

To orzeł.

PULAWSKI.

Dobrze uwidział ten stary. Patrz na odbłask słońca na tych piórach białych. Na nieba, to orzeł biały, orzeł naszych proroków! Ojcie Marku, coś na to powiesz, ty, coś jest prokiem? Dobrze to jest wróżba?

ZBROJA *(smutno)*.

Orzeł pociągnął w lewo!

PULAWSKI.

Właśnie, że na szczęście. Wiedzie nas prosto na Kraków.

KSIĄDZ MAREK.

Więc miasto w tamtej jest stronie?

PULAWSKI.

Nie poznajesz kościoła naszej Panny Marji Polskiej, którą pokazywał ongi naszemu wojsku? Stamtąd, mówiłeś, Najświętsza Dziewica spoglądała na naszą walkę.

KSIĄDZ MAREK *(nachyliwszy się, czyni ruch krzyża)*.

Oby też oświeciła nasze rady! Puławski, znam twe plany. Na trudne ważysz się przedsięwzięcia; oto z całego wojska samiśmy prawie pozostali.

PULAWSKI.

Moskale nałożyli na głowę moją cenę trzydziestu tysięcy dukatów. Tyle wart tysiąc ich chłopów. Według ich taryfy starczą za batalion. Tupnę, a ze skał tych wytrysną strugi wojowników. A ty, ojcie Marku, ty sam jesteś armją całą. Niech tylko głos twój, jak dzwon alarmowy, zabrzmie w Krakowie, a cała ludność zerwie się do dzieła.

KSIĄDZ MAREK.

A gdybyśmy raz jeszcze przeszli przez Wisłę? Gdybyśmy raz jeszcze mogli podnieść Litwę, Ukrainę? Mamy tam zwolenników!

PUŁAWSKI.

Zamiast tam iść, wyślijmy kurjera z dwoma słowy: Kraków wzięty! Od dwóch tych słów, niesionych przez echa, powstanie wszystko, co powstać jeszcze może. Co do Krakowian, to żywią oni dla ciebie kult prawdziwy: jednym słowem mógłbyś poruszyć...

KSIĄDZ MAREK.

Kraków, gdzie tyłu jest Moskali? Nie ochłonęli jeszcze mieszczenie po ostatniej naszej klęsce.

PUŁAWSKI.

Wojewoda chce tego stanowczo.

KSIĄDZ MAREK.

Wojewoda? A gdzież on?

PUŁAWSKI.

Poluje stąd niedaleko, w tatarskich kościeliskach. Zbroja, idź, powiedz panu, że jesteśmy tutaj!

(Zbroja wychodzi).

KSIĄDZ MAREK.

Znam wojewodę. Patrjota, lecz dumę swą przenosi nad interesy ojczyzny. Nie dowierzam mu.

PUŁAWSKI.

Masz zaufanie do mnie. Owóż ja sędzę zgodnie z wojewodą, że dla podniesienia naszej sprawy trzeba wziąć Kraków jak najprędzej. Dawno już byłbym tego dokonał, gdyby nie zawiść naszych wodzów — a potem ten dzielny Choisy z tą swoją całą przekłątą strategją...

KSIĄDZ MAREK.

Skądże ci się wzięła taka myśl nagła?

PUŁAWSKI.

Mój Boże, to najuporczywsza myśl moja, najgłębsza. Tutaj spędziłem młodość. Cóż to ja stąd widziałem codziennie? To miasto. Patrz, jak błyszczą te okna katedry, jak różowieją, jak się mienia, jak się iskrzą! Urodziłem się pod wpływem tej konstelacji blasków krwawych. Tak, czuję, że jest przeznaczon na oswobodziciela tej stolicy.

KSIĄDZ MAREK.

A jeśli mnie się wydaje, że dla dobra naszej sprawy musisz na chwilę zrzec się...

PUŁAWSKI.

Zrzec się? Ojcie Marku, nie poznaję cię, ciebie, wielkiego kapelana Polski wojującej! Zwątpienie dosięgło więc i ciebie? Nie poznaję cię! Zrzec się?! Spójrz na to miasto nieszczęsne! Widzisz, jak, niby skrzydła orle, rozciąga nad Wisłą swe wielkie przedmieścia? Wygląda stąd, jak ranny nasz orzeł biały, powalony, dogorywający! Szlachetne miasto! Kolebka starej naszej Rzeczypospolitej, grobowiec naszych bohaterów, Rzym słowiański! Oto od lat sześciu trzyma cię w okowach, depce po tobie cudzoziemiec, a my tak blisko! Ojcie Marku! Co za chwala dla nas, jeżeli gród ten podniesiem, jeśli z czoła jego wyrwiemy to godło hańby, tę chorągiew czarną, powiewającą, jak całun śmiertelny nad bramą trupiarni! Cóż będzie, gdy jutro powitają nas dawni nasi znajomi, przyjaciele nasi?

KSIĄDZ MAREK.

Uspokój się, Puławski, na nieba! Potrzeba nam rozwagi, potrzeba nam zimnej krwi! Nie idzie tu o naszą sławę: tu idzie o naszą sprawę!

PUŁAWSKI.

Zimny, widzisz, jestem, jak źródła Wisły.

KSIĄDZ MAREK.

Daj Boże, aby i sumienie twoje było zimne, jak to źródło.

PUŁAWSKI.

Cóż chciałeś powiedzieć?

KSIĄDZ MAREK.

Kazimierzu! Jedyna nasza nadzieja w Bogu. Bóg tylko czyste wspiera zamiary. Mój synu, powiedz mi otwarcie, zaklinam cię na Pana, powiedz mi, czy kochasz jeszcze ową kobietę? Czy myśl zobaczenia jej, powitania jej jako zwycięzca, zdobycia jej, czyż myśl ta próżna nie kołacze dotąd pomiędzy twemi zamiarami patriotycznymi?

PUŁAWSKI.

Co? Co mówisz? Hrabina.

Rumienisz się!

KSIĄDZ MAREK.

PULAWSKI.

Ze wstydu! Czy kocham ją? Co? Odepchnęła mnie, gdy była niewinna i czysta, i... na Boga! Nie umarłem z tego, pocieszyłem się. A teraz ta kobieta zgubiona, ta kochanica... ja?

KSIĄDZ MAREK.

Boże, bądź pochwalon! Mój synu, pójdz w moje objęcia! Doświadczałem cię. Obawiałem się, czy drobina samolubstwa nie zaległa się w twych przedsięwzięciach. Nieszczęściem dla nas, jeśli krew bliźniego poświęcamy naszym namiętnościom! Ale tyś czysty, mój synu. Nie myśl, abym o dobro tej stolicy, tej pierworodnej córki naszego Kościoła mniej dbał od ciebie. Czyż nie ślubowałem walczyć dopóty, dopóki nie wyzwolimy jej z rąk schyzmatyków? Mam ja w tym grodzie, tak, mam ja tam ulubioną celkę samotną, w której zażywałem tego spokoju, tej szczęśliwości, której wspomnienie podtrzymywało mnie wśród... Gdybym nareszcie dokonał mego ślubu, gdybym obdarzył was wolnością, a sam do mego rozkosznego powrócił więzienia!... Ale życzenia moje poddaję interesom naszej sprawy. Jeżeli dla dobra naszej sprawy trzeba ten zamiar wykonać, jeżeli, synu mój, postępujesz szczerze, to ja mam przeczucie... nie, mam pewność, że Bóg wyda nam nieprzyjaciela w ręce.

PULAWSKI.

Jeżeli mi to przyrzekasz, ja dotrzymam, na nieba! Siwa broda twoja, zwrócona w stronę wroga, wygląda, jak lawina, mająca spaść na jego głowę.

KSIĄDZ MAREK.

Cóż to za huk? Wystrzał armatni!

PULAWSKI.

Moskale dają salwy. To *Te Deum* za ich ostatnie zwycięstwo. Pragną przerazić miasto.

KSIĄDZ MAREK (*głosem uroczystym*).

Te Deum!... Święcą uroczystość... nikczemni schyzmatycy. Tak poczynął sobie ród przeklęty w przeddzień potopu, w obliczu arki Noego. Triumfujcie! Weselcie się! A oto aniołowie gniewu schodzą już z niebiosów i nad szczytem

Araratu podnoszą słuzy wielkich wód, wśród obłoków wstrząsają płomienistą chorągwią gromu!...

(Słychać głos rogu.)

PULAWSKI.

To sygnał Zbroi! Nadchodzi wojewoda!

KSIĄDZ MAREK (wskazując na kaplicę).

Pójdę wieczorne zmówić pacierze. Ileż to razy, odprawiając mszę wśród lasów i bagnisk, pielgrzymowałem w duchu do tego przybytku!

(Wychodzi.)

SCENA III.

PULAWSKI I ZROJA.

PULAWSKI.

Ciekaw jestem, czy mnie górale twoi poznają. Czasu nie-mało, kiedym opuścił te strony.

ZEROJA.

Czy was poznają? O, znają was tu dobrze. O kimże to mówią tutaj od lat sześciu? O kim, proszę łaski, jak nie o was? Mazurki tu śpiewają o was, tak, śpiewają za waszego życia. Co za sława! Nasza to przecież sława: jesteście góralem.

PULAWSKI.

Dużo-m się odmienił. A tutaj wszystko po staremu. Al Ten dąb! Tutaj to, wyruszając na wojnę żegnałem się z... ze wszystkim, co mi było drogie.

ZBROJA.

Pani hrabina, ilekroć przybywa do nas, zawsze się tutaj zatrzymuje.

PULAWSKI.

Bywa tutaj?

ZBROJA.

Często. Zmieniała się bardzo. Czyście ją, panie, widzieli? Jak ona wychudła! Jak ona żałuje czasów, któreśmy spędzili tu razem! Mówi tylko o was, panie.

PULAWSKI

O mnie? Cóż ona ma do mówienia o mnie?

ZBROJA.

Jak tu bywało wesoło! Przypominacie sobie, panie, jak ona tutaj biegła z temi długimi, jasnymi włosami, któreście nazywali złocistą kaskadą? Teraz wojewoda ponury, smutny. Niema już zabaw!

PUŁAWSKI.

Cóż mówiła o mnie?

ZBROJA.

Od pewnego czasu lękała się, że spotka was, panie, jakie nieszczęście. „Zbroja” — mówiła do mnie, „gubernator czyha na naszego biednego Kazimierza. Ściga go, chce go życia pozbawić”. — Wierzę: boi się, byście się nie ożenili z panią Karoliną, w której się kocha.

PUŁAWSKI.

Ja?... Zenić się z nią...

ZBROJA.

Dawniej było to trudno. Córka wojewody! Ale teraz jesteście tak sławni! Ach! Żebyście to osiedli tutaj z panią; kochanoby was tutaj! Mielibyście tutaj polowania, jakich niema w całej Polsce, ani w Wielkiem Księstwie! Niema tu strzelca, któryby wam nie dał najlepszego sokoła i najlepszego charta.

PUŁAWSKI.

Marzysz, mój drogi... Wesoło tu było — tak... *(na stronie)* Czasami pragnąłbym, aby nie było ani wojny, ani sławy, ani Rosji, ani Polski!... Lecz to minęło... minęło!

SCENA IV.

CI SAMI. WOJEWODA, w stroju myśliwskim, otoczony Tatarami i kozakami, z światłą górą i strzelców, którzy stają po lewej. DE CHOISY, z oddziałem piechoty regularnej, wchodzi z prawej.

PUŁAWSKI *(pochodząc do wojewody)*.

Czekamy twoich rozkazów, mości wojewodo.

WOJEWODA.

To waszmość! *(Bierąc go za rękę)*. Wyrosłeś waszmość, wyrosłeś pod każdym względem. *(Pochylając głowę, mówi głosem przyciszonym)*. Waszmość sam jeden urosłeś. A my? Cóż to ja, wróciwszy w granice Rzeczypospolitej, znalazłem w domu?

PUŁAWSKI.

Prezentuję naczelnika, pana de Choisy.

WOJEWODA (*biorąc go za rękę*).

Pan nie jesteś, jak ci inni nasi sprzymierzeńcy. Jesteś pan sprzymierzeńcem naszym ze krwi, którą dla nas przelewasz. Szanuję pana. Wracam z zagranicy. Ci cudzoziemcy (*z gestem pogardy*) . . . Niewielu jest cudzoziemców, równych panu. Bardzo pana szanuję.

DE CHOISY.

Jakież tam są nadzieje? Czy Francja przyśle nam amunicję? Anglja oświadczy się za nami? Byłeś pan w Anglji? Piszą w dziennikach...

WOJEWODA.

W kraju tym dalej jest od słowa do czynu, niżeli stąd do Krakowa.

DE CHOISY.

Czy być może! Na Boga! A zatem was opuszczają! Spodziewałem się, że narody cywilizowane nie zostawia was tak...

WOJEWODA.

Wierzyłem w cywilizację waszą; byłem w błędzie. Wychowanie mych dzieci powierzyłem ludziom cywilizowanym; byłem w błędzie. To też, wkraczając w granice mego kraju, strząsnąłem proch tej cywilizacji. Stanę się takim, jak moi przodkowie barbarzyńcy!

DE CHOISY.

Cóż zamierzasz pan czynić?

WOJEWODA.

Działać! Zbrojo, każ tu przynieść beczki prochu i hydro-melu — są tam!

(*Wynoszą beczki z pobliskiej chaty*).

DE CHOISY (*do Puławskiego*).

Nie tak łatwo da się on powodować, jak myślałeś.

PUŁAWSKI.

Zostawi mi dowództwo, a potem —

WOJEWODA (*głosem podniesionym*).

Dzieci! Czy myślicie, że łowy skończone? Dopiero się zaczynają. Wyprawiamy się na zwierza, dzikszego od litewskiego żubra, żarłoczniejszego od węża-olbrzymia ukraińskiego. Pójdę na wprost leży tego potwora. Czyście gotowi pójść za mną?

STRZELCY I GÓRALE.

Wszyscy, jaśnie panie, wszyscy!

ZBROJA.

Na świętego Huberta, patrona myśliwych! Choćby to był ów smok, który ongi grasował w Krakowie i codziennie pożerał jednego burmistrza i trzech ławników, my pójdziemy!... Ta strzelba... nabiję ją poświęconą kulą.

WOJEWODA.

Cicho! Stary jestem. Hrabia Adolf, mój jedynak, jeszcze jest za młody. Dla pokierowania takimi łowami potrzeba głowy młodej, wyćwiczonego potrzebą ramienia. Przedstawiam wam pułkownika Puławskiego — dawny to wasz znajomy.

STRZELCY (*przybiegając*).

To waszmość? — To on! — Niech żyje Kazimierz Puławski!

GÓRALE.

Niech żyje Puławski, pierworodny syn naszych gór!

WOJEWODA.

Górale! Wszelkie moje prawa do waszego posłuszeństwa, prawa pana tych włości, przelewam na tę głowę. (Kładzie mu rękę na głowę). Przybieram go sobie za syna w Rzeczypospolitej. Strzelcy! Oto srebrny róg, który od trzynastu generacji należał do wielkich łowczych koronnych, mych przodków. Znak to mojej godności — składam go w te ręce.

PUŁAWSKI.

Szlachetny panie! Dumny jestem, żeś mnie nazwał swoim synem. Róg ten, co górską wystraszał zwierzynę, zabrzni po wszystkich dolinach naszej rozległej Rzeczypospolitej i trwogę poniesie między potwory, które ją pożerają.

WOJEWODA.

Odbić te beczki! Rozdzielić żywność i naboje! Zwiąć się z jadem! Strzelby ponabijać ostreimi ładunkami!

DE CHOISY.

Jakto? Już w pochód?

WOJEWODA.

Tak.

DE CHOISY.

W doliny? Macie jazdę?

WOJEWODA.

Przeszedłeś pan dolinę, zasianą tatarskimi kośćmi. Kości te pokrywają obszar dwumilowy. Ojcowie nasi wytepili i porzeźbali tutaj cały naród jeźdźców tatarskich, którzy zagrali chrześcijaństwu.

DE CHOISY.

Puławski...

PUŁAWSKI *(do wojewody)*.

Pan de Choisy mniema, że lepiej byłoby poczekać, dopóki nie zorganizujemy piechoty. Tymczasem można będzie ćwiczyć...

WOJEWODA.

Czekać? Mości Puławski, opinia publiczna i tak już oskarża nas, że przewlekamy wojnę. Zresztą, oddałem ci dowództwo, aby mieć ręce wolne. *(Zakazuje rekawy)*. Waszmości rzeczą radzić w sprawach ojczyzny. Ja odtąd radzić tylko będę w sprawie mej czci dziedzicznej. Ta mi zabrania czekać.

Zgodziłbym się na zwłokę, gdyby mi trzeba było umierać. Mój przyjacielu, zbyt stary jestem, aby mi wolno było czekać.

PUŁAWSKI.

Oskarżają mnie o przewlekanie wojny? Kto? Zazdrośni wodzowie. Tak, słusznie... Im prędzej, tem lepiej... zobaczą.

DE CHOISY.

Jakto? Nie mówię już o mieście — ale, jak nas zaatakują na miejscu otwartem? Bez ordynku? bez...

WOJEWODA.

Niech padnie mi ten jastrząb! *(Kilkanaście wystrzałów jastrząb pada)*. Górale, zetnijcie mi ten dąb! *(Dwadzieścia toporów, rzuconych przez dwadziestu góralt, utkwilo w dębie)*. Przyjaciele, Moskale mniej są lotni od jastrzębia, a mniej twardzi od dębu!

DE CHOISY.

A więc postanowienie nieodmienne?

WOJEWODA.

Nieodmienne.

PUŁAWSKI (do Choisy).

Co chcesz? Upiera się przy swoim. Za to w Krakowie, gdy mnie ogłoszą marszałkiem...

DE CHOISY.

Panowie! Nie rozumiem waszych planów. Nie mogę poświęcić tych wiarusów (*pokazuje na swą piechotę*). Odpowiedzialny jestem wobec własnego sumienia, wobec mego rządu.

WOJEWODA.

Słusznie. Sprawa nasza doszła do tego, że możesz nas pan opuścić bez uchybienia pańskim instrukcjom i pańskiemu honorowi. W imieniu Rzeczypospolitej zwalniam pana z obowiązków. Jesteś pan wolny. Dla nas — to co innego. Szanuję pana.

DE CHOISY.

Oto ostatni Polacy, idący na śmierć — oto popłynie ostatnia kropla ich krwi. I owszem — nie jestem więcej sługą mego rządu. Jestem tylko Francuzem. Nie powiedzą, że Francja opuszcza Polskę. Żołnierze francuscy! Oto zostaje ostatni z waszych oficerów. Nie dowodzę już wami. Macie swobodę pójść za mną lub nie. Puławski, ja pójdę z tobą.

ŻOŁNIERZE FRANCUSCY.

Naczelniku, idziemy wszyscy. Polska to Francja! Ru-szajmy!

PUŁAWSKI (*głośno*).

Dzieci! Zawiadamiam, że idziemy na Moskalą! Idziemy oswobodzić Kraków. Precz z Moskwą!

STRZELCY I GÓRALE.

Precz z Moskwą! Precz z Moskwą! Niech żyje Puławski! Niech żyje jasny wojewoda! Niech żyją Francuzi!

PUŁAWSKI.

Nie w wielkiej jesteśmy liczbie. Ale za czasów naszych przodków zdarzyło się, że cała Polska była podbita, a król Władysław tu się ukrywał...

ZEROJA.

Tak, w tej grocie.

PUŁAWSKI.

Mocny swem prawem i błogosławieństwem papieża, zwrócił się tutaj, rozhukany, jak Wisła. Przodkowie nasi rzucili się za nim, jak te potoki karpackie, i z nim razem odparli wroga aż hen, ku morzu. Widzicie Wisłę, toczącą się zdala, jak wstega błękitna? Wskazuje nam ona drogę do Krakowa, do Warszawy, do Bałtyku...

STRZELCY I GÓRALE.

Ruszajmy na Warszawę — ku morzu!

PUŁAWSKI (*wychylając puhar*).

Za wasze zdrowie! Precz z Moskwą! Wystąpcie, kobziarze! Zanućcie pieśń o królowej Wandzie (*Strzelcy i górale piją i śpiewają. Wskazując na księdza Marka, wracającego z kaplicy*). Spójrzycie na tego świętego człowieka! Ksiądz Marek! Kapelan Polski wojującej! Przynosi nam błogosławieństwo papieża.

STRZELCY I GÓRALE.

Ksiądz Marek! Słynny cudotwórca! Niech żyje ksiądz Marek! (*Biegna ku niemu*) Za zdrowie księdza Marka!

KSIĄDZ MAREK (*z boleścią*).

Glupcy! Bezbożnicy! Tak to proklamujecie wojnę Pana? Zaprzestańcie tych wrzasków! Nie obrażajcie mych uszów. Dotychczas pełne są jęku konających, przez Moskwę zarzynanych u stopni ołtarzy. — Nędzniku! Odejdź precz z tym puhairem! (*Wytrąca mu puhar*). Zmieszałeś to wino przekłete ze krwią, dotąd jeszcze ociekającą z mych szat, z krwią dzieci, które kozacy zatykali na piki; o posadzki rodzicielskiego domu roztrzaskiwali ich głowy. Grzebałem właśnie te niewiniątka. Nie dotykajcie się mnie! Habit ten zmienił się w świętość, jak relikwia!

STRZELCY I GÓRALE.

Zgroza! Co za zgroza! Zemsta! Śmierć Moskwie! Zemsta! Naprzód!

KSIĄDZ MAREK.

Bohaterowie-mściciele! Jesteście tak silni, tak ufni... A dlaczegoż to szabla waszej szlachty rozprysła się, jak trzcina, o szpadę moskiewską? Dlaczegoż to za oddechem Moskala rozwiały się, jak dym, plany senatorów waszych?

Nie szukali mocy, idącej od Pana! A On, Przedwieczny, Bóg, pan zastępów, podniósł przeciwko nim swe ramię. I ramię to podniesione dotychczas. Ludzie bez rozumu, na kolana! Krzyczcie: „Miłosierdzia! Łaski!” Na kolana przed patronką waszą, Dziewicą Najświętszą!

(Wskazuje na kaplicę).

STRZELCY I GÓRALE.

Zlituj się, Boże, nad nami! *(Padają na kolana)*. Mężu ty boży, módl się za nami!

KSIĄDZ MAREK *(kłęcząc z krzyżem w ręku)*.

Błogosławiona Dziewico! W dniach niebezpieczeństwa królowie nasi składali na ołtarzu Twym starodawne swe korony, któreś im zwracała świetniejszemi, niż były przedtem. My u stóp Twoich składamy nasze żywoty i nasze nadzieje. Syn Twój, który się narodził pomiędzy pastuszkami, objawi małuczkim to, co ukrywa przed wielkimi. Spójrz na ten naród pastuszków! Patrz, ręce ich wzniesione ku Tobie, jak te kwiaty powiędle, spragnione rosy miłosierdzia. Pokaż nam środek wybawienia ojczyzny! Nie dopuszczaj do tego, aby cały naród padł pod nożem, jak jeden człowiek, ten Twój wieczny naród polski! A jeśli zawinił, przyjmij krew naszą za pokutę, ukarż nas, ale ostatecznie przebac Polsce!

STRZELCY I GÓRALE.

Co niech się stanie!

KSIĄDZ MAREK.

A teraz powstańcie! Przeklęty niech będzie, kto się w tył obróci! Niech nigdy Bożego nie ogląda oblicza!

(Strzelcy i górale ustawiają się w szereg, gotów do wymarszu).

WOJEWODA *(do Puławskiego i de Choisy'ego)*.

Panowie ruszycie tym parcwem na lewo. Ludzi tych pozostawicie w ganku podziemnym, prowadzącym do klasztoru ojców karmelitów. Spotkamy się w podziemiach karmelitów. Mieszczanie tam nas czekają. Tam obmyślimy sposoby.

ZBROJA *(przybiega)*.

Jaśnie panie! Hrabia Adolf! Hrabia Adolf!

Mickiewicz. T. V.

SCENA V.

CI SAMI. HRABIA ADOLF,
(*przecisnąwszy się przez tłum, podchodzi ku
ojcu i szepce mu coś do ucha*).

PULAWSKI, DE CHOISY.

Cóż się stało? Panie Adolfie, pan zmieszany.

WOJEWODA (*daje znak Adolfowi, aby milczał*)

Nic! To nie! Idźcie! Cicho. Ukryjcie się pod ziemią, jak borsuki, rozpierzchnijcie się po lasach, jak wiewiórki! Ani strzału! Ani słowa! (*Puławski i de Choisy oddalają się z resztą strzelców i górali*). A więc powiadasz, że zjawi się tutaj i że nic nie wie?

ADOLF.

Zdaje się nie podejrzewać niczego. Przybędzie tu z paniami, z siostrą. Wycieczka.

WOJEWODA.

Zbroja, zostaw tutaj z trzydziestkę strzelców, gotowych na wszystko. (*Zbroja odchodzi*). Adolfie, dobrze! Oddał się, wzbierz sobie inną drogę! Udaj się sam do miasta! Ja tu zostanę. Trzeba ich przyjąć.

(*Adolf odchodzi*).

SCENA VI.

WOJEWODA.

Mam go nareszcie! Gdybym go tak... Nie, zniknięcie jego zaniepokoiłoby załogę; miałyby się na baczności... Nie, raz jeszcze trzeba udawać... Ach — żaden z mych przodków udawać nie potrzebował! Żaden z nich na tem się nie rozumiał. Wczora o mało, że się nie zdradziłem... Lecz jakże powstrzymać ten ród węzów, które zbliżały się już do mnie, aby mi pierś rozszarpać... Tak, trzeba udawać — raz jeszcze! Lecz gdybym miał spostrzec, że odgaduje me... Nie! Jeżeli w twarzy jego najmniejszą ujrzę podejrziłość... Zginął! Niech się co chce dzieje! Zbroja! Jussuf! Seid!... (*Zjawiają się Zbroja, Jussuf i Seid*). Jenerał rosyjski będzie tu za chwilę.

ZBROJA.

Tak, mówił o tem hrabia Adolf i pani...

WOJEWODA.

Nie gadać mi ani z jenerałem, ani z nikim ze świty. Na zapytania kiwać tylko głową.

ZBROJA, JUSSUF I SEID.

Tak, jaśnie panie!

WOJEWODA.

Nie powinni dowiedzieć się niczego. Będziemy udawali, że spokojnie wieczerezujemy po skończonych łowach.

ZBROJA, JUSSUF I SEID.

Tak, jaśnie panie!

WOJEWODA.

Po trzech naszych ludzi przydać każdej osobie ze świty jenerała; niech uważają z bliska w milczeniu.

ZBROJA, JUSSUF I SEID.

Tak, jaśnie panie!

WOJEWODA.

Wy miejcie oczy zwrócone na mnie. Jeśli znak dam czapką i wypowiem słowa: Wojewoda idzie do Baru... rozumiecie te słowa?

ZBROJA, JUSSUF I SEID.

Tak, jaśnie panie!

WOJEWODA.

Wówczas rzućcie się każdy na swojego. Pozabijajcie wszystkich mężczyzn, kobiety, służbę. Zwalcie ich do żlebu, aby nie było znaku po nich.

JUSSUF, SEID.

Tak, jaśnie panie!

ZBROJA.

Jakto? I kobiety?

WOJEWODA.

Wszystkich!

ZBROJA.

Jednak, jaśnie panie... a panią hrabinę, córkę jaśnie pana? Hrabia Adolf mówi, że i ona...

WOJEWODA.

Mówię: wszystkim!

ZBROJA.

Słucham, jaśnie panie! (*Na stronie*). Mój Boże! Cóż się to dzieje? Cóż się stanie z nami?

(Koniec fragmentu).



JAKÓB JASIŃSKI

CZYLI

DWIE POLSKI.

TRAGEDJA W 5 AKTACH.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ JAN KASPROWICZ.

OSOBY:

HETMAN LITEWSKI, lat 45.

BISKUP INFLANCKI, wuj hetmana.

PANI KLARA, młoda, dwudziestopięcioletnia wdowa, siostrzenica biskupa i krewna hetmana.

JAKÓB JASIŃSKI, pułkownik wojsk polskich, młodzieniec dwudziestoletni, chudy i blady.

REFERENDARZ WIELKI LITEWSKI, starzec siedmdziesięcioletni, w mundurze.

KOMANDOR MALTAŃSKI, syn referendarza, młodzieniec w tym samym wieku, co Jasiński, w stroju francuskim.

STANISŁAW REMBA, stary szlachcic, służebny pani Klary.

SIOSTRA SZARYTKA.

Rzecz dzieje się w Wilnie, w pałacu biskupa Inflanckiego, nad brzegami Wilii, w r. 1794.

A K T I.

Mieszkanie pani Klary; salonik, ozdobiony starami, portretami, z drzwiami w głębi i z dwoma innymi po bokach. Drzwi z prawej otwarte, drzwi z lewej zamknięte.

SCENA I.

PANI KLARA w czarnym stroju polskim, w czworograniastym czepeczku z wstążką na głowie. Siedzi na sofie, przedząc na kołowrotku. U stóp jej STANISŁAW, w stroju polskim, z szablą u boku, siedzi na malej poduszce, w ręku trzyma teorban, to znaczy rodzaj gitary, wielkości harfy.

STANISŁAW, (kładąc teorban na ziemi).

Nie, pani Klaro, nie idzie. Ręka moja nic już nie zdoła. Palce moje błędzą po strunach; tak ja błodziłem dzisiaj po ulicach Wilna. Biedny wieśniak, nic ja już w Wilnie nie znaczę.

PANI KLARA.

Zmęczony-ś; zagraj mi marsz mego dziada; jest krótki.

STANISŁAW.

Nie. Nie jestem godzien dotykać się tego narzędzia. Zegnaj, stary mój druhu! Spoczywać będziesz, jak ta szabla; pozostaniesz dla mnie już tylko pamiątką, będziesz mi „memento mori“.

PANI KLARA.

Nieposłuszny-ś, Stanisławie; od tylu lat przywykłam słuchać twych piosnek. To chleb mój powszedni. Musisz zaśpiewać. Ten teorban i ten kołowrotek przypominają mi życie na zamku. Wydawać mi się będzie, że jestem na wsi.

STANISŁAW.

Bogu wiadomo, jak lubiłem śpiewać dla pani. Gdyby nie pani byłbym już dawno teorban ten strzaskał. Ach, droga pani! Ty jedna umiesz godnie oceniać nasze pieśni narodowe; ty jedna znajdujesz rozkosz w ich słuchaniu. Starodawna rozśpiewana Polska ma audytorjum już tylko w tobie. Inne damy nie mówią już językiem swych matek: wymyśliły sobie jakiś żargon, pozbyły się muzykantów i same, mileząc, grywają na jakichś barbarzyńskich organkach.

PANI KLARA.

A zatem opowiedz mi jaką legendę, na przykład tę o wielkim księciu Jagielle.

STANISŁAW.

Ani mi śpiewać, ani opowiadać! Nie!... Ach, mój ty biedny teorbanie! Uważa pani, jak z tego teorbanu wszyscy tutaj sztydzą? Nie mam odwagi przychodzić z nim na duże pokoje. Tylko odjeżdżące hetmańscy proszą mnie, aby im co zagrać. Grać przed dojeżdżaczami! Już ja go tutaj nie przyniosę — ale gdy wrócimy na wieś...

PANI KLARA.

A, mój stary! Kapryśny jesteś, jak twój instrument! Kiedyśmy byli na wsi, wychwalałeś mi wspaniałość Wilna, unosiłeś się nad przegładami wojsk, nad świetnością zabaw szlacheckich.

STANISŁAW.

Któż to mógł przewidzieć! Ale od śmierci księcia, twego ojca, nie ruszyłem się z zamku. Nie wiedziałem, że Polska tak się zmieniła, że raczej, wcale już jej nie ma! Tak, zdaje

mi się, że pewnej nocy ukradziono nam dawną Polskę, a zbudziwszy się, cóżem znalazł? Wojsko wyfraczone, ni to stado małp, w płaszczach i perukach, panie z ogonami... Djabelskie to sztuki, o pani; nic z tego nie rozumiem. W głowie mi się kręci. Od tygodnia już nie śpiam, co mi się od śmierci księcia wydarzyło tylko raz jeden i to wówczas, kiedyś pani była chora. Jestem pewien, że umrę, albo stracę rozum, albo się przedzierżnę. Boć niebezpiecznie jest patrzeć na opętańców; człowiek sam gotów zmysły postradać — zdarza się to niejedenkrotnie...

PANI KLARA.

Jeśliś tu naprawdę taki nieszczęśliwy, wracaj na mój zamek! Jeśli masz odwagę opuścić mnie, Stanisławie... rozłąka z tobą kosztować mnie będzie немало, ale nie chcę, abyś miał dla mnie umierać.

STANISŁAW.

Ja — i opuścić panią? Od czasu, kiedy jeden z przodków twoich — lat temu czterysta — uszlacheił na polu bitwy jednego z mych przodków, od tego czasu ród mój nie rozłączał się z twoim. Nie mogę cię opuścić, podobnie, jak chmiel nie może rzucić swego opiekuńczego płotu. Ale, jeżeli wolno dać mi pani radę, wracajmy na zamek oboje razem, porzućmy to miasto djabelskie. Doprawdy, zdaje mi się, że zabłąkaliśmy się na jakieś trzęsawisko i że, co tutaj widzimy, jest tylko jakimś czartowskim omamem; myślałbym, że Wilno to jakieś mamidło, gdybym nie widział krzyżów i kościołów.

PANI KLARA.

A na zamku naszym byleś niespokojny, jak ptak na wyraju, zamknięty pomiędzy kurami. Dogadywałeś mi bezustannie, że wiąże swą młodość, że województwo nie było godne posiadać taką piękność. Powinnam była koniecznie udać się do stolicy; że wszyscy panowie dobijać się będą choćby o jedno moje spojrzenie; sam król, rozmiłowany, w proch przedemną padnie. Ach! Widzi mi się, że dużo straciłam w twych oczach i że podobnie, jak swego teorbana, nie masz już odwagi pokazać mnie światu.

STANISŁAW.

Nie sam ja to mówiłem. Uwielbia cię szlachta, uwielbia cię całe województwo. Ale ja tych wieśniaków nie uważa-

łem za godnych ciebie. Teraz widzę, że więcej są warci od tych błaznów wileńskich. Nawet i świętej pamięci nieboszczyk twój mąż, choć, przebac mu Boże, pijak był i wartogłów, większą ma wagę w mych oczach, niż te kanalie w perukach, z różem i muszkami na gębie. Fe, co za hańba! Mój Boże! Miałyżby to być dzieci owych bohaterów, których opiewałem i z których znany mi był niejeden? Gdzież podział się ten Puławski z okiem sokoła, z piersią lwa? Gdzież Sawa, co jednym uderzeniem pięści walił byka o ziemię? Ach, wszyscy oni pomarli! Dobra ma Klaro, uważałem cię za ostatnią Polkę — boję się, czy ostatnim nie jesteś Polakiem. W tej ciżbie twoją tylko widzę postać, przypominającą mi rysy dawnych bohaterów; twoją też jedynie uznaję duszę!

PANI KLARA.

Zatrzymuje mnie tutaj wuj biskup; on moim opiekunem.

STANISŁAW.

Biskup, który chodzi we fraku!

PANI KLARA.

Pośród młodzieży, którą tak gardzisz, znajduje się hetman litewski, dawny przyjaciel i towarzysz słynnego Puławskiego. Sameś układał pieśni na cześć jego czynów. On nie jest małpą, a ciebie ceni wysoko.

STANISŁAW.

Dzielny jest i wygląda, jak człowiek. Ale od czasu, kiedy go widział, jak walczył u boku Puławskiego, i on się zmienił.

PANI KLARA.

Spodziewam się; ogromnie był wówczas młody, niemal dzieckiem.

STANISŁAW.

A jednak większą miał powagę i większą dostojność. Zepsuło go towarzystwo komedjantów. Ma w zachowaniu swoim, ja nie wiem, coś takiego, co...

PANI KLARA.

Jedyny to człowiek, który mi się podoba. Lubię jego dumę, jego odwagę. A i to mi się podoba, że nie pierwszej jest młodości.

STANISŁAW.

Podoba się pani? A przecież niegdyś obiecałaś swą rękę panu komandorowi, synowi wielkiego referendarza. Istnieje nawet układ na piśmie. Imć pan referendarz przemianą tą wielce się zmartwi — szkoda. Nie znam syna, ale ojciec — to naprawdę wielki pan starego rodu.

PANI KLARA.

Nie znam komandora. Z chwilą mego owdowienia ożenek ten zaproponował mi opiekun mój, biskup. Byłam mu posłuszna; biskup też kazał mi podpisać jakiś akt; ale komandor podróżuje, nie wiadomo, gdzie. Mówią, że to człowiek lekki i złego prowadzenia. Byłam uradowana, gdy biskup zmienił zamiar. Jeżeli mam już wyjść za mąż, to wolę hetmana.

STANISŁAW.

Jego eminencja, hetman i referendarz powinni zjawić się tu niebawem.

PANI KLARA.

Tutaj?

STANISŁAW.

Tak; mają z sobą do pomówienia coś sekretnego, a mieszkanie pani bardziej oosobnione. Pałac zawsze roi się od ludzi, od zgrai gości.

PANI KLARA (*tajemniczo, wskazując drzwi po lewej*).

A powiedziałeś tym panom, aby nie hałasowali?

STANISŁAW.

Tak. Zresztą pomiędzy tym salonem a ich pokojem czworo znajduje się drzwi. Długo-ż tu jeszcze pozostaną?

PANI KLARA.

Dopóki nie przeminie niebezpieczeństwo i dopóki innego nie znajdą przytułku. Idzie tu o ich życie. Czy służba, czy nikt z pałacu nie podejrzewa niczego?

STANISŁAW.

Niczego. Od chwili, gdyśmy im kazali wysiąść z łodzi i wpuścili ich przez okno, nikt go jeszcze nie otworzył. A zresztą okna wychodzą na rzekę Wilgę. Nikt ich widzieć nie może, a ja pilnie strzegę twego mieszkania.

PANI KLARA.

Dobrze. *(Słychać hałas)*. Ida. Zostawiam was samych. Skoro się zjawia, każ nakryć do stołu tym panom. *(Wskazując drzwi na lewo)*. Ale staraj się przedewszystkiem pozamykać wszystkie drzwi.

STANISŁAW.

Owszem, owszem. Radzę jednak odprawić ich jak najprędzej. Gdyby to się odkryło!... Ja znam panią, przecież świat, który znać ciebie nie jest godzien, mógłby źle sądzić o tobie.

(Pani Klara wychodzi).

SCENA II.

BISKUP INFLANCKI. — REFERENDARZ. — HETMAN. — STANISŁAW.

BISKUP.

Mości referendarzu, czcigodny mój przyjacielu i drogi krewniaku. Zaprowadziłem panów do tych samotnych pokoi; będziemy tutaj swobodniejsi. Mamy pomówić w sprawie familijnej. Proszę, zajmijcie miejsca! *(Siadają)*. Mości Stanisławie Remba, nieboszezyk ojciec pani Klary zamianował cię współopiekunem swej córki. Pomówimy o wspólnej naszej pupilce! Waszmość glos masz w tej radzie. Siadaj!

STANISŁAW.

Książę, nieboszezyk mój pan, uczynił mi ten zaszczyt wielki. Wiadomo waszej eminencji, że w dwóch jedynie wypadkach miałem prawo przedłożyć swoją opinię, to znaczy, gdyby szło o wybór wychowawców panienki i o męża.

BISKUP.

Sprawa ta nie mniejszej wagi. W istocie, rękę naszej panny Klary przyobiecaliśmy synowi pana referendarza, i to za zgodą naszej pupilki.

REFERENDARZ.

Obstaję przy tej ugodzie. Ale ponieważ idzie tutaj o sprawę tak delikatną, dlatego proszę, aby pan hetman przez chwilę zostawił nas samych. Mogłoby go to nudzić.

HETMAN.

Przeciwnie; biorę w tem udział jak najżywszy. Poco te wstępy? Pomówmy otwarcie.

BISKUP.

Proszę cię, mój krewniaku, zostaw nas na chwilę, na jedną chwilę.

(Prowadzi ku drzwiom w głębi).

SCENA III.

Ci sami, prócz Hetmana.

BISKUP.

Co do nas, gorąco sobie tego małżeństwa życzymy, a do wodem tego układ piśmienny, wyznaczający na wypadek zerwania pewną ilość ziemi i pieniędzy, którą ma uiścić stro-
na zrywająca.

REFERENDARZ.

Mielibyście-ż panowie zamiar układ ten skasować? Czyż pani Klara pragnęłaby zmienić mój projekt?

BISKUP.

Nigdy w świecie! Ale wiadomo waszmości, ile czasu mi-
nęło od zawarcia tego układu. Imcipan komandor, syn
waścin, miał powrócić niebawem, a tymczasem go nie wi-
dzimy. Podróżuje bezustannie. Lata mijają. Młoda kobieta
czekać nie może. Pisze, to prawda, ale poznać się z nią by-
najmniej go nie korci. W rzeczywistości niema w tem nic
dziwnego, jeśli się jest młodym, wesołym chłopcem i do tego
na obczyźnie.

REFERENDARZ.

Wiem, że o sprawowaniu się mego syna złośliwe krążą
słuchy. Za powrotem surowo się z nim porachuję. Zoba-
czymy, czy wart jest takiej małżonki. Bo, widzisz, eminen-
cjo, dobro pani Klary tak samo mi jest drogie, jak i mego
dziecka. Córka to starego mego przyjaciela, przymioty po-
siada rzadkie — tak jest, moi panowie, rzadkie przymioty.
Kocham ją, jak córkę, a szanuję, jak siostrę.

BISKUP.

Nie o to idzie! E, mój ty Boże! Jeżeli Komandor ma
kochanki, jeżeli trochę grywa — e, wielki Boże, kóż z nas
nie szalał!

REFERENDARZ.

Ja, mości biskupie! Nagrzeszyłem dosyć, aby nie brać
odpowiedzialności za grzechy, o które mnie wasza miłość

posadza, których bynajmniej winny nie jestem i których nie zniósłbym u własnego syna. Gdybym go uważał za człowieka, za jakiego ma go książdz biskup, to juścić nie zostałby mężem pani Klary.

BISKUP.

Raz jeszcze: tu nie o to idzie. A widzisz, mości referendarzu, każda epoka ma swe obyczaje, swe gusty. Imcipan komandor, napodróżowawszy się tyle, widziawszy tyle, może wogóle z innemi powrócić zapatrywaniem na małżeństwo, a w szczególe z innemi co do swego własnego. Będzie miał prawo być wymagającym.

REFERENDARZ.

Czegoż on może wymagać więcej, jeśli idzie o pochodzenie, fortunę, nie mówiąc już o przymiotach osobistych?

BISKUP.

Syn waszmości jest panem całą gębą. Młodość na wielkim przebywa świecie. Człowiek to piękny i dowcipny — spotkałem go w Berlinie, gdzie robił furorę — być więc może, iż w kuzynce mojej nie znajdzie tego, czego ma prawo wymagać.

REFERENDARZ.

Głupcem byłby i o kiepskim smaku. Nie znam w chrześcijaństwie człowieka, nie powiem zbyt wzniosłego, ale dostatecznie wzniosłego, aby był godnym Klary.

BISKUP.

Dziękuję waszmości; tymczasem wyznać mi trzeba, że wychowanie jej może jest nieco zaniedbane. Trochę w tem i mojej winy. Na nieszczęście zbyt byłem zajęty sprawami publicznymi, a ojciec jej nam wyłącznie pozostawił prawo dobierania jej guwernerów; pan Stanisław Remba mógł ich przyjmować i odprawiać do woli. Puszczal też z kwitkiem wszystkich cudzoziemców. Nieboszyk książę był oryginałem. Ostatecznie, nie mówmy już o tem; źle się stało.

STANISŁAW.

O ilem zrozumiał, to wasza eminencja gniewa się, żeśmy pani Klary nie nauczyli tych wszystkich pięknych rzeczy, na których znają się panie wileńskie. Jednak, bez urazy, tylko wasza eminencja tego jest zdania! Imci pan referendarz i wojewoda myślą o tem całkiem inaczej. Całe nasze wili-

niactwo, wszystka nasza szlachta kocha panią Klarę. Trzeba widzieć, jakiego szacunku zażywa pani Klara u naszej szlachty. Osoba pobożna, cnotliwa, umie też na pamięć wszystkie historie, które ja znam, a znam ich dosyć. Jeżeli nie skacze zbyt wysoko, jeżeli, jak opętana, nie mówi tuzinem języków, to tylko dlatego, że książe, nieboszczyk jej ojciec, błogosławił mu Boże, nie chciał, mości księżu biskupie, widzieć w swej córce wieży Babel, ani żadnej komedjantki.

BISKUP.

Nie irytuj się waszmość, panie Remba. Powiedziałem, że stało się, co się stało. Jeżeli już o tem mowa, to byłoby lepiej, żebyś jej waść nie pozwolił samej chodzić po kościołach, po szpitalach. A iżby nie wyglądała na komedjantkę, godziłoby się rzucić jej ten strój z innego świata, a przyodziać strój całego świata.

STANISŁAW.

Panienka, mości księżu, nie wychodzi nigdy bez mojego towarzystwa. Tak samo nie znam się na stroju kobiecym, jak i wasza eminencja.

BISKUP.

Zacny mój Stanisławie, pomówimy o tem później. (*Stanisław wychodzi*). Teraz, mości referendarzu, cała sprawa w dwóch słowach. Przypuśćmy to, bo na wszystko trzeba się przygotować, otóż przypuśćmy, że syn waści poczuje wstręt do Klary. Spodziewam się, że go przymuszać nie będziesz.

REFERENDARZ.

Poco to przypuszczać? Poczekajmy, wróci niebawem, zobaczymy! Chyba, że pani Klara ma kogo innego na widoku.

BISKUP.

Nie zapominajmy, że przypuszczam tylko to jedno; ale gdyby nam się to nieszczęście przydarzyło, to odważyłbym się panu komandorowi inną proponować partję. Waszmość znasz moją kuzynkę, siostrę hetmana. Tyle posiada wdzięku, tyle dowcipu — zresztą waszmość ją znasz. Potrzeba się jej było zjawić w Petersburgu, ażeby odrazu zaciemnić wszystkie damy na dworze cesarzowej, na dworze, który nadaje ton Europie od czasu, gdy Wersal stał się jaskinią jakobinizmu. Trzeba waszmości wiedzieć, że chciał ją poślubić hrabia Forycz, obecny faworyt imperatorowej.

REFERENDARZ.

Ten infamis śmiał...

BISKUP.

Upewniam waszmości, że niejeden z suzerenów Europy czułby się szczęśliwy, wydając córkę za Forycza.

REFERENDARZ.

W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe.

BISKUP.

Ale hetman sprzeciwił się temu. Posiada on pewne zapatrywania w rodzaju waściny. Ostatecznie ja to rozumiem. A przytem postawiliby nas to ze względu na imperatorstwo w położeniu... Ostatecznie wolalbym ją widzieć małżonką syna waszmości. Posiada trzy miliony posagu.

REFERENDARZ.

Dla mego syna wolalbym panią Klarę.

BISKUP.

Przypuściwszy, że mu się spodoba. W każdym razie trzymam w odwodzie siostrę hetmana. Uważaj waść, jak wysoko sobie cenię zostać twoim krewniakiem. Spodziewam się, że ożenek ten przyczyni się wielce do urzeczywistnienia patriotycznych mych planów. Waszmości znane jest obecne moje stanowisko w kraju. Waszmość wiesz, co dzisiaj może hetman i do czego pewnego dnia dojdzie. Ostatecznie ród nasz kieruje dzisiaj sprawami Wielkiego Księstwa, to fakt. Familia waszmości należy do najpotężniejszych, macie licznych zwolenników, to fakt. Istnieją pomiędzy nami dywersje, wiem o tem. Jeśli jednak zwiążemy się razem, jeżeli związek nasz utrwalimy tem małżeństwem, to krajowi temu zapewnimy pokój. Potem...

REFERENDARZ.

To waszmość, księżę biskupie, podnoszę tę kwestję drażliwą, narzucasz mi konieczność tłumaczenia się. A więc powiem waści, że nie tylko nie podzielam twoich zapatrywań politycznych, ale zwalczać je będę zawsze, wszędzie i ze wszystkich sił moich. A gdyby małżeństwo miało w jakikolwiek sposób wpłynąć na zapatrywania mego syna, nigdybym na takie małżeństwo nie zezwolił. Związek tak bliski z hetmanem bynajmniej mi nie pochlebia.

BISKUP.

Doskonale. Człowiek z gatunku waszmości nie powinien tak lekko zmieniać swych zapatrywań. Pomówmy z sobą swobodnie. Obaj mamy jak największą potrzebę wzajemnego porozumienia. Roztrząsajmy swe opinie, ażeby dojść do tej, która wyda się nam najbardziej ugruntowaną. Z jakimiż więc stajesz waszmość zarzutami przeciw mnie i hetmanowi? Zobaczymy!

REFERENDARZ.

Narzucasz mi waszmość rolę wielkiego instygatora litewskiego? Nie jestem sędzią najwyższym.

BISKUP.

Jakież więc powody skłaniają waszmość pana do sądenia nas tak surowo?

REFERENDARZ.

Przedewszystkiem, dlaczego imci pan hetman przyjął tytuł generała rosyjskiego, wbrew ustawie z r. 1566, potępiającej tych, którzy...

BISKUP.

Jest generałem rosyjskim, aby mieć prawo naczelnictwa wojsk rosyjskich, zapelniających Wielkie Księstwo. Tak samo, jak gdyby i mnie chciano poczytywać za zbrodnię pobieranie jurgieltu od imperatorowej.

REFERENDARZ.

Waszmość jurgieltnikiem? Trudno uwierzyć temu wyznaniu. Wielki Boże! Posiadasz przecież pół miliona dochodu.

BISKUP (*zirytowany*).

I nędzny pobieram jurgielt i mówię o tem wszem wobec, ażeby podburzyć przeciw sobie opinię, i w ten sposób dać imperatorowej dowód wierności. Przekonana jest, że kupiła mnie dla Rosji.

REFERENDARZ.

Niewątpliwie, nie waszmość jesteś tutaj kupującym.

BISKUP.

Kupuję protekcję Rosji i powiem, dlaczego, waszmość panie sędzio najwyższy! Jesteśmy głowami dwóch stronnictw. Układać się będziemy, jak monarchowie, bez pośrednictwa ministrów. Poczynimy wszelkie formy dyplomatyczne; ja

waści odsłonię motywy mego zachowania, wyłączne me cele. Tej samej otwartości spodziewam się i po tobie.

REFERENDARZ.

Nigdy nie byłem dyplomata, mości księże. Przekonania moje są znane. Ja ich nie stwarzałem: — to przekonania mych przodków.

BISKUP.

Niestety, czasy się zmieniły. Waszmości znany jest stan naszej Rzeczypospolitej: Król stary, lada dzień może umrzeć. Po jego śmierci mocarstwa, które nas otaczają i gnębią, żywią zamiar niedopuszczenia do nowej elekcji, pragną kraj nasz podzielić między siebie. Zakomunikuję waszmości korespondencje dyplomatyczne, dowodzące istnienia tego projektu. Zarządzono już środki, aby to przeprowadzić.

REFERENDARZ.

Od chwili swego istnienia państwo niezależne było zawsze zagrożone przez sąsiadów. Bronili się nasi przodkowie, bronić się będziemy i my.

BISKUP.

A czyśmy zdolni obronić się trzem mocarstwom pierwszorzędnym? Czyż mamy aljantów? Prusy, wskutek swego położenia geograficznego, pozostają na łasce Francji; nie dowierzając Austrii, dążą ku Rosji. Austrija, to prawda, boi się Rosji, ale tysiąc razy więcej boi się jakobinizmu francuskiego; wie, że pewnego dnia będzie pożarta. Lecz Rosja zjadać ją będzie kawałkami; potrzeba jej będzie stu lat, aby pochłonąć cesarstwo austriackie; Francja może je zdławić od razu. Austrija, ażeby zyskać na czasie, rzuci nas na pastwę Rosji.

REFERENDARZ.

I oto, zagrożeni przez trzech śmiertelnych wrogów, zamiast się bronić, zajmujecie się wyborem gatunku śmierci i ręki, która ma was zgubić; wyciągacie ku wrogowi najkrwawszemu.

BISKUP.

Ale i najpotężniejszemu. Dla uratowania niezawisłości jeden tylko widzę środek, mianowicie, aby po śmierci króla ofiarowali koronę jednemu z wnuków imperatorowej, wielkiemu księciu Aleksandrowi lub Konstantemu. Tak samo

myśli król, tak samo myślą najlepsi mężowie Rzeczypospolitej. Usadowiwszy dynastję swą na naszym tronie, imperatorowa będzie musiała nas popierać. Będziemy mieli czas reorganizować się, a synowie czy wnukowie nasi znajdą sposobność wyswobodzenia się z tej protekcji. Hiszpanja przyjąwszy Burbonów na tron, nie została bynajmniej niewolnicą Francji.

REFERENDARZ.

I waszmość masz odwagę stawiać aljans z królem arcychrześcijańskim, z pierworodnym synem kościoła, z pierwszym szlachcicem Europy, na równi z aljansem z despota obrządku greckiego? Czyż wasza Rosja dotrzyma słowa? Jakaż religja, jakiż honor przeszkodziłyby w przeniewierstwie? Ale nie mówmy o tem!... Zapytam się tylko, jakie waszmość masz prawo zawierania aljansów i frymarczenia koroną, nie mając upoważnień od sejmu? Wiadomo przecież, że ustawa z roku 1561, potwierdzona przez dwadzieścia pięć sejmów następnych, uważa podobne spiski za obrazę Rzeczypospolitej.

BISKUP.

Są okoliczności, w których *salus populi suprema lex esto!* Konfederacja z r. 1732, związana celem wypędzenia Sasów z kraju, oddała się pod protekcję Piotra I, a nikt nie śmiał odmawiać patriotyzmu skonfederowanym. Dla zreorganizowania Rzeczypospolitej i posadzenia krewniaka swego na tronie, książę Czartoryski uciekł się do pomocy Rosji.

REFERENDARZ.

I jedni i drudzy wielkie popełnili błędy. Wszakże, mówiąc lojalnie, byli niewinni. Mieli precedensy za sobą. Poszli za przekazanym zwyczajem, pozwalającym częściowym zgromadzeniom wykonywania wszechwładzy. Ale po tych wypadkach ustawa z r. 1747, uświęcona artykułem drugim konfederacji z r. 1763, piętnuje, jako zdrajców ojczyzny, tych wszystkich, którzyby mieli odwagę do obcej uciekać się pomocy.

BISKUP.

Waszmość znasz czystość moich zamiarów; mam też nadzieję, że, sądząc mnie, zastosujesz waszmość należyte prawo.

REFERENDARZ.

Niechże cię Pan Bóg broni, mości księże, abyś miał być kiedy zapozywany przed me sądy! Prawo jest formalne. Za-

sądziłbym waszmości, pozostawiając twemu spowiednikowi swobodę uniewinnienia cię ze względu na czystość twych intencji. Ażeby państwo żyć mogło, trzeba, ażeby żyły prawa, mości księże biskupie.

LOKAJ (*wchodząc*).

Jego ekscelencja imci pan hetman. (*Wychodzi*).

BISKUP.

Nasza konferencja zaledwie się rozpoczęła. Powtórzymy to wszystko. Nie przyjmuję jeszcze waścinej refuzy, nie przyjmuję. Zastanów się waszmość nad tem, a zawsze z przypuszczeniem, że syn twój projektem naszym sprzeciwić się nie będzie.

SCENA IV.

Ci sami, Hetman.

HETMAN.

Mości referendarzu, witam. Bardzo-m szczęśliwy z waścinnego spotkania.

REFERENDARZ.

Najuniżeńszy sługa waszmości. (*Jak gdyby chciał wyjść*).

HETMAN.

Pragnę pomówić z waszmością. Jesteśmy sąsiadami, byliśmy niegdyś przyjaciółmi, mam nadzieję, że trochę jesteśmy nimi i dotąd. Powiedz, mości referendarzu, dlaczego w tym czasie przybyłeś do Wilna? Przecież to nie pora wielkich sesyj?

BISKUP.

Tak, tak! *Ubi arma sonant...*

HETMAN.

Lepiej było zostać na wsi. Pobyt w Wilnie może stać się niebezpiecznym dla waszmości. Przyjacielska to rada.

REFERENDARZ.

Dziękuję. Mam zaszczyt takiej samiotkiej rady udzielić i tobie, mości panie.

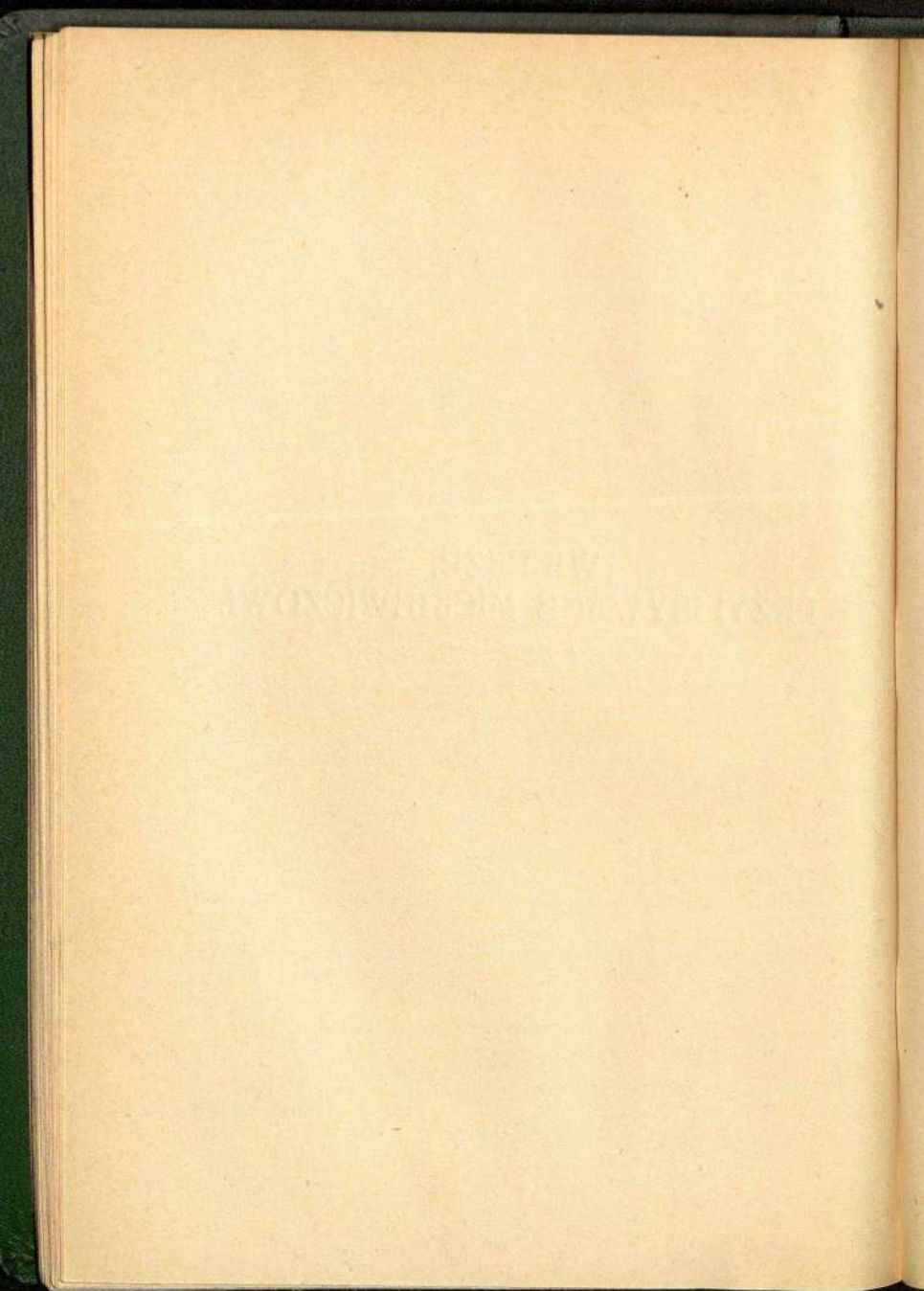
HETMAN.

Waść mi radzisz, abym stąd wyjechał?

REFERENDARZ.

Tak. Pobyt w tem mieście może stać się niebezpiecznym dla waszmości.

WERSZE,
PRZYPISYWANE MICKIEWICZOWI.



PANI ANIELA.

NAŚLADOWANIE Z WOLTERA.

Przyjaciele! Nadeszła słotna pora grudnia,
Zbiegło słońce, szczęśliwsze ogrzewać południa.
Abyście przy kominie smutno nie siedzieli,
Zaczynam anegdotę o pani Anieli.

Ta piękność, w młodych latach dziwo Nowogródka,
Trzydzieste jabłko z swego zjadła już ogródka,
Jednak czas, prześladowca niewieściej urody,
Ledwo drobne jej wdziękom śmiał wyrządzić szkody;
Zawsze miła, poważna, ale nie nadęta.
Przy ziemi ognia pełne trzymała oczęta.
Gors śnieżny, jak alabastr, sztuką utajony,
Gdzieniegdzie z pod zazdrosnej wyglądał zasłony,
Lice jeżeli skaził lat wiosennych schylek,
Jest na to sztuczna białość, jest karminów pyłek:
Ten zbladłe żywi różę, tamta, bieląc cienie,
Okrasza, samo z siebie krasne, przyrodzenie.
Aniela, choć na wielkim nieznajoma świecie,
Długi jednak trawiła czas przy toalecie.
Tam-to były i ozdób i świętości składy,
Tam Skarga sąsiadował słoikom pomady,
W pudrze leżał Akwinat, herezyi piorun,
A wśród peruk obrazek cudnej Matki z Borun.
Lecz, co ja w rzędzie pierwszych cnót Anieli mieszczę,
Cnót zbyt rzadkich w kobiecie, w świętej rzadszych jeszcze,
Że, chociaż ją modlitwy od błędzenia strzegły,
Wiedziała, jak ród ludzki upadkom podległy:
Więc mężczyznom powolna, kobietom niesroga,
Grzech bliźni odpuszczała dla miłości Boga.

Równa Anieli wdziękiem i żywością oczek,
Zuzia, córka, liczyła siedemnasty roczek.
U matki, jak pod skrzydły u Anioła Stróża,
Swobodnie ta prześliczna wywiła się róża.

Nie skaził jej zgubnego świata dech zatruty,
Nie знаła, co są maski, baliki, reduty.

Lecz Aniela natomiast miała w swoim domu
Zakrystyjkę, prócz samej, nieznanej nikomu.
Tam był rejestr sumienia, krzyże, dyscypliny,
Tam, co noc, brała odpust od kary i winy,
Tam i wśród dnia, u okien spuściwszy zasłonki,
Trzepać zwykła strzeliste akty i koronki.

Pokoik ten, w ozdobne przystrojony meble,
Z dziedzińcem przez ukryte połączył się szczeble,
A małe drzwiczki, obce dla świeckiej żrenicy,
Wiodły stamtąd do sadu, z sadu do ulicy.
Wiadomo, jak nas latem skwar udręcza srogi,
Gdy słońce ciężkie sypie na ziemię pożogi:
Wtenczas noc zwykle młode kobiety zachwyca,
Lubią one oglądać bladą twarz księżycą.
I Zuzia, jakto bywa w siedemnastym roku,
Nie dała odpocznienia strudzonemu oku:
Sutych kotar indyjskim osłoniła cieniem,
Przewraca się, pierś częstem morduje westchnieniem,
Wreszcie zrywa się, wstaje, błędne płacze stopy:
Ni księżyc, ni gwiazdziste nie bawia jej stropy,
Do ogrodu wybiega bez chęci, bez celu,
Nic nie myśląc, chociażby rada myślom wielu.
Wtem szelest z matczynego słyży pokoika.
To ją wraz zadziwieniem ciekawem przenika:
Lubo jeszcze tajemnic i zdrać czuć niezdolna,
Jednak drży, powątpiewa, przysuwa się zwołna.
Naprzód słyży skrzyp jakiś, jakiś szelest głuchy,
Westchnienia, rwane słówka, jakieś lekkie ruchy —
Więc, przełękła, błędnieje i, lży lejąc rzewne,
„Ach! — rzecze — matka moja chora jest zapewne”.
Już chce wołać, wtem inne ozwały się tony:
„Franusiu, ach, Franusiu, drogi, ulubiony!
Nie dbam o resztę świata, gdy ciebie dziedziczę!
Ty mi na ziemi sprawiasz niebieskie słodycze!”
Zuzia, to słyżąc, smutne wypogadza czoło:
„Matka moja, jak widzę, dosyć jest wesolą”.
Porzuca więc pokoik, oddala się z cicha
I w łożu, niespokojna, dręczy się i wzdycha.

Pić niebieskie słodczy — dobrze to byłoby;
 Lecz jakże w tem postąpić, przez jakie sposoby?
 Jak tylko dzień ujrzała, powstała z pościeli
 I niewinne pytanie zadaje Anieli:
 „Jakiego to Franusia mamunia dziedziczy,
 Co na ziemi niebieskich udziela słodczy?”
 Aniela, dość przytomna, lubo zadziwiona:
 „Każdej rodzinie — rzecz — trzeba mieć Patrona:
 Jam też sobie świętego Franciszka obrała,
 Jemu pragnę być sługą i z duszy i z ciała;
 On mnie zwyki w najgorętszej ratować potrzebie.
 Jest to jeden z największych Świętych Pańskich w niebie”.
 Krótka po tej rozmowie jakiś Ludwik młody,
 W całym powiecie znany z trzpiotalstw i urody,
 Ujrzał Zuzię; ta wzajem do niego się pali —
 I niejednemi schadzki swą miłość stwierdzali.
 Wtedy mamusia, słysząc w pokoiku córki
 Gorące litanije, pobożne paciorki,
 Przybiega i, na takiej znalazłszy zabawie,
 Pocznie z gniewem wyrzucać niewstyd i bezprawie.
 Zuzia jej na to tylko odpowie zdziwiona:
 „Wszak każdej chrześcijance trzeba mieć patrona!”

Odtąd Aniela świętych porzuca dla ludzi,
 Odtąd świata kłamliwą skromnością nie ludzi;
 Odtąd wesołość ciągle w jej pałacu gości,
 I miłość, i zabawy, siostrzyczki miłości.

1817.

IMPROWIZACJE.

O, przyjaciół laskawe!
 Za aniołki, za bezmienny
 I za tę piękną oktawę
 Warcieście darów bez ceny.
 Lecz do twej *Tabakieru*, kupiec ładajaki,
 Czyż ja potrafię godnej dostarczyć tabaki?
 Chciałbym za tobą iść, śpiewaku *Leszka*,
 Ale łatwa dla ciebie, przykrą dla mnie ścieżka.
 Rysunki, wina daliście laskawie;
 Ja cóż wam przydam jeszcze?...
 Co mam, to wystawię:
 Oczy wytrzeszczę.
 Gębę rozdziawię.

Słuchajcie! Adam zaczyna,
Bo się dobrze napił wina;
I coś wam powie...
Wiwat, Towarzystwa zdrowie!

Niech się mu tak szczęście uśmiecha
I tak ciągle płynie,
Jak, was umoczywszy w winie,
Adam wychyla kielicha!

Luba drużyno, przyjaciele mili,
Jak się wesoło tu bawie!
Dalibóg, nie żal, żeśmy się spili:
Dzybamy, jako żorawie...

1.

DO JANA CZECZOTA.

Jakaż tu wina i mózgu strata!
Janie! Pamiętasz owe majówki?
Wszak to już szóste mijają lata —
My z tobą zawsze półgłówki!

2.

Natura między nami
Wielką położyła miedzę:
Zan trzeźwy pisze wierszami,
A ja cedzę, a ja cedzę...
Lecz, gdy winem łeb naleję,
Wiersz się składny wtenczas kupi...
Zan milczy tak, jak głupi —
Adam, jak Wulkan, ziele.

3.

Dalibóg, tego zapal niebieski,
Kto, choć pijany, kto, choć pijany,
Leje zawsze rym dobrany
I z wąskiej nie zboczy deski.

*

*

*

Te bałwanki,
Ich twarze, ich fletnie
Przypominają mi obraz kochanki.
Której czasy trzyletnie

Z pamięci mej nie wygładziły.
Luba! Ty przez łąki, ty przez gaje:
„Gdzie mój miły? Gdzie mój miły?”
Śpiewasz... Przez łąki, przez gaje
Smutny się twój głos rozdaje,
Przez gaje i przez strumyki,
Gdzie naszej miłości pomniki,
Tam się twój głos smutny rozdaje.

Wspomnieć ciebie, jakże mile
Dziś, gdym smutny zawsze prawie!
Jakże słodkie były chwile,
Którym spędził w twej zabawie!
Ścisłałaś mię na twem łonie,
A twoje bieluchne rączki
Przypinały róży pączki,
Przypinały na me skronie.

Serce równym ogniem pienie,
Lecz ty daleka na zawsze!
Może kiedyś nieba łaskawsze
Pozwolą mi ujrzeć błonie,
Gdzie twoje bieluchne rączki
Przypinały róży pączki
Na me skronie!

DO ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA

(WIERSZ, WYGŁOSZONY NA OBCHODZIE JEGO IMIENIA
W MAJU 1819 ROKU).

Stójcie! Tu kresy ostatnie.
Tu uczcie poświęćm tajnik:
Tutaj bratu śpiewy bratnie
Da witajnik!

O dniu, stokroć dla nas drogi!
Gdy, nocną spijając rosę,
Wzniesiesz czoło ogniowłosa
Nad majowe ziem podłogi,
Miły sercu przyjaciela,
Ach, idź prędzej, dniu wesela,
W którym Onufrowi dano
Mające wslawić się miano!

Nie... nie czekam twego przyścia...
Już stopa rwie się z uwięzi.
Podajcie na skronie liścia,
Dajcie tyrs bluszczogalezi!
Ja za Bachem — wy za wieszczem:
Kiedy uderzę w cytarę,
Moczcie piersi winnym deszczem,
Krok i głosy złożcie w miarę!

„O dniu, inszych dni szczęśliwszy!“ —
Niech każdy z kolei woła.
Skoczne przeciągnawszy koła,
Wypijemy — a wypiwszy,
Skoczne przeciągniemy koła.

Onufry, cały Polaku,
Znam, jaki ci tan do smaku!
Szabelkę bosą pochwyć,
Chwyć i czapeczkę z Baru.
Bekieszę, strojną w pętlice
Dwu-kamiennego ciężaru,
Dłoń wparta u krągłych boków,
Złotem kapiący pas suty —
Darń zadrzy od ważkich skoków:
Wykoszę żółtemi buty.
Tu wás doda zgrozy minie,
Wzrokiem będę strzygl z ukosa,
Z wiatrem igra na łysinie
Czuprynka dwunasto-włosa.

Bogdaj w piekle stracił duszę,
Kto pierwszy ubiory szlachty,
Taratałki i kontusze
Na podcięte zmienił płachty!
Lecz (się) Onufry nie zmieni,
Obce wzgardzający pęta;
Za to go przyjaciół ceni
I hucznie obchodzi święta.

„O dniu, inszych dni szczęśliwszy!“ —
Niech każdy z kolei woła.
Wypijemy, a wypiwszy,
Skoczne przeciągniemy koła.

We mnie do kubka ochota,
 Który z topolowej szczepy
 Polskie wyżłobiły dłota.
 Toż myśli Onufry luby —
 Podajcież o tyle kuby!
 Znowu się taniec wywija,
 Zabrzmi wśród radosnych znaków
 Pieśń, wspólnym głosem łączona:
 Niech Polak do zgonu pije
 Z polskiej czaszy, u Polaków,
 Polskim mieczem wzięte, grona!

J A M B Y

(WIERSZ, WYGŁOSZONY NA TEJ SAMEJ UROCZYSTOŚCI).

Do wierszy znowu! Bracia, będę wiersze kował
 Dalibóg, już mię Febus naelektryzował:
 Z oczu sypią się iskry, a we łbie żar wielki —
 Może to będzie skutek lejdejskiej butelki?
 Ty zgadnij to, Onufry — Onufry, ty, który
 Podkasaleś najskrytsze zasłonki natury.
 Ty w cieniach, gdzie się tępią zmysły śmiertelnika —
 Gdzie gmin, na pozór sadząc, gruntu nie przenika,
 Ty, skoro wyrzuchasz twój wdech nadczłowieczy,
 Cienie na wylot zbadasz i dasz sąd o rzeczy..
 Ty... Brawo! Przecie-m zaczął... Bo też wiedzieć macie,
 Że z rozkazu kolegów mam chwalić was, bracie!
 Wiele tu trzeba mózgu... do djabła zachodu!
 Bo niechno cię obejrzą z boku, z tyłu, z przodu,
 Ież tam cudów oko najlichsze odkryje
 I obszerne do chwalby znajdzie materije.
 Jeśli chcesz, żebym skończył, niech tu stoi flaszka,
 Albo mi..... daj w pomoc Tomasza!..
 Cóż? Może mu łeb mocne obsiadły humory?...
 Sam nie wie: zły, czy dobry — zdrowy, czyli chory?...
 Przełoż dla osłodzenia skwaśniałego ducha
 Podaj tu weny byczej (wnet Zan się rozrucha!)
 Albo, jeśli masz chęci, żeby grono całe
 Ubawił wierszyk, godny twą śpiewać pochwałą,
 Weźmij wianki i kwiatki i Wizbora flety —
 Rzuć zwyczajną ci skromność: własne głoś zalety!
 Gdzież jest, co ci przewyższa? Gdzie, co ci wyrówna?
 Czyje gardło tak brzmiące, i gęba tak mowna?

Wynijdź i staw szeroko, jako zwykłeś, gnaty...
Wypnij piersi i kark duhowaty,
A dopiero miedzianych słów buchaj brzemiona,
Łeb sfastryguj — twarz trocha niech będzie skoszona,
A palec wielki, mowy trzymając się toru,
Niech coraz argumentom dodaje wigoru!
Każdy zadrży, każdemu szpik przejmie obawa,
Kto najmniejsze porządku śmiał poruszyć prawa.

Powiem coś... Czy wymienić, czy zamilczeć imię?
Ej, powiem, dzisiaj czas mój!... Panie Hieronimie,
Odpuść nam winy nasze, do ciebie tu pijem!
Tylko, fe, nie łam palców i nie szturchaj kijem!
Choć rubarbarum twoje spędziło rumianki,
Przecież na to wspomnienie musisz upiec grzanki.
Z trudnością do naszego przywlokłszy cię zbioru,
Nie chciałbym jeszcze pieprzyć, w niezdrowym, humoru,
Lecz żal na sucho puścić, gdyś wpadł w moje łapy:
Zapomniałwszy na ranek, jeszcze weź jelapy.

Pomnisz, jak twoje księgi, lecz nie dziś, broń Boże,
Rok temu, trzy miesiące, miesiąc, tydzień może,
Pomnisz, w jakiej twe księgi żyły niegdyś zwadzie
W kątku, w oknie, za oknem, w kominie, w szufladzie?
Tam czyste, tu pisane wyciągi, notatki,
Słowem, jak niegdyś było archiwum w Piotrkowie,
Jak w senackich ukazach, jak dziś w mojej głowie...
Jeśli Nazo nie zełgał przed dawnymi wieki —
Z takiej Jowisz utworzył świat biblioteki!
Nie mniej skutecznem huczne twe kaczenie było,
Onufry, o ty, główna Towarzystwa pigo!
Skoro wszedłeś, krzyknąłeś, znikł chaos rozległy,
Rozdzieliły się książki, na miejsca pobiegły:
Pandekta Justiniani i kanona Patrum
Precz od Wolterowego uciekły Teatrum:
Kujas ze wstydem, skoro zorza ujrział ranne,
Rzuca długo gniecioną pod sobą Joannę —
Berszu, co jadł za pięciu, lał w gardło przez cewkę,
Na polską przyprawiony wybornie polewkę,
Wytknął był głowę, pisał i uciekł na wieki —
Dzisiaj do wydziałowej znowu wraca teki.

A cóż na to odpowiesz? Nie dość, Hieronimie,
Że twe w dziejach Wiwłasów głośnie będzie imię,

Że w pismach twoich błędy krytyk złowi rzadko,
Że się myśl mocna wiąże, słowa płyną gładko.
Nie może to Onufra w gniewie ukolysać:
Niedość u niego pisać, należy przepisać.

Lecz czyż twoją przezorności na tem są granice?
Czyż tylko cudze uczysz karności księżnice?
Bynajmniej. Ta, co dzisiaj szaf ogromnych czeka,
Z ciebie początek wspólna ma biblioteka.
Któż tak zręcznie spiżarnie kapturzystów zbada?
Kto tym osłom tak zręcznie perły powykłada?
Ty pracujesz, a wspólny pożytek stać roście:
Nowi coraz do szafy przybywają goście
Jakoś ich pozapraszał, tak nadal zapraszaj:
Zabierz, a nie oddawaj — pożycz, nie odnaszaj!
Bądź bibliotekarzem, prosimy cię z duszy —
Wszak z cygana najlepszy zwykł bywać koniuszy.
Za to, póki Wiwlasów trwać będzie budowa,
Dopóty się twych przysług pamiątka zachowa.
Gdyś powszechnym pożytkom twe poświęcił siły,
Każdy ci, jak kolega, jak przyjaciel miły,
Bo umiesz z przezornością stany zbadać cudze;
Ani się w przyjacielskiej ociągasz usłudze,
Gdy naelektryzuje los koło odjemnie.
Za to ci każdy pragnie odsłużyć wzajemnie,
Każdy z radością dzieli obchody weselne.

Ale któż w ich przyborze trudyłożył dzielne?
Czy ty? ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty, ty i ty?... Nie!
Któż, u diabła, tę dziką wytrzebił pustynię?
Kto tu kopał? Kto cyfrą, kto trudził się chatą?
Ja to zrobiłem, ja to, ja to, ja to, ja to!
Teodor równe prawo do pochwały rości:
My każdego poranku zwiedzali te włości,
My rzymską przez ostępy ciągnęliśmy drogę.
My chwalić się nie chcemy... zamilczeć nie mogę:
Gdybym zamilczał, krzykną i lasy i góry,
Krzykną dwadzieścia cztery w tej altance dziury,
Dziury, które, nosatym uzbrojone kołem,
Cały dzień wybijałem z pota mego czołem.
Jeszcze się miejsca w puchu wylegają gapie,
Rosa odwilża ziemię, jeszcze Febus chrapie —
Teodor już jest u drzwi i wchodzi, i puka...
Żadna mnie od wstawania nie wymówi sztuka:

Próżno przez sen, jak Franuś, plotę labirynty,
 Próżno, jak Zan, się gniewam, nos spuszczam na kwinty —
 Muszę wstać. Drzem się w lasy, błądzim cały ranek,
 Żeby miejsce dla twoich wynaleźć altanek.
 Choć rowy zatrzymują, choć gałęzie kołą,
 Choć deszcz za kołnierz idzie, nogi z trudu bołą —
 Dopóty nie ustajem, szukamy dopóty,
 Aż mokremi ku sławie wdarliśmy się buty.
 Przychodzim na dolinę, zagęszczoną krzaki:
 Śmiertelnych śladów żadnej nie było oznaki.
 Bóg żaden jej nie zwiedził, taka miejsca zgroza;
 Żadna się zablakana nie wdarta tam koza.
 Natychmiast w rajskie sady ostęp mieniać dziki,
 Uzbrajamy dłoń w rydle, topory, motyki

.

O, ZWIEDZIONY PODWÓJNIE...

O, zwiedziony podwójnie, potrójnie, poczwórnienie!
 Sam ty dureń, gdyś wszystkich poczytał za durnie!
 Wszakże jeden nasz węzeł, wszak przyjaźń doznana —
 Moglibyśmy na sucho puścić święto JANA?
 Mówiłem ci, ty sensu nie znalazłeś w mem słowie,
 Mówiłem, że broń niesiesz przeciw własnej głowie.
 Przychodzi na nas kolej, a więc słuchaj, ośle!
 A ty mu winszowania intonuj wyniośle.

UCISZCIE SIĘ...

Uciszczie się! Niech państwo na ustęp pozwolą!
 Dziś do mnie na namowę miał zjechać Apollo.
 Hajże, Pytono-bójco, bożku złoto-cytry!
 Znijdź sam i Muzy przywiedź za superarbitry!
 Oto ich oczekuję z duszą upragnioną,
 Z rozkaraczoną bramą, gębą rozdziawioną.
 Dajcie mi na pegazim stąd ulecieć puchu,
 Wieszczonego dajcie lyknąć chuchu i podmuchu!
 Albo ty mnie medyczne przypraw fajerwerki,
 Niechaj się na wiatr zdejmę z twojej tabakierki!
 Cyt! Już intromisyje poczułem bożyszcza,
 Już mi się brzuch wypina i oko wytrzeszcza:
 Jak bąk, jak bomba, żary karmiąca w saletrze,
 Wznieść się i szarmycłować gotówem po wietrze.

Teraz mnie pójcie, bracia, i teraz utuczcie!
 Kto wie, czy nazad spadnę, czy będę na uczcie?
 Patrzaj, patrzaj! W gawronią wybrałem się drogę,
 Drobnych was ledwie z góry wzrokiem schwycić mogę:
 Już miejskie gmachy, kryciem miedzianym osute,
 Zdają się być na Zańskiej tabakierce klute...
 Świecą się rzeki, wioski i lasów urywki,
 Jak pęk rozkosznych włosów jakiej czarnobrewki.
 Hej, ty, co w księżycowem uwiążeś poddaszu,
 Od Adama jak niżej zostaniesz, Tomaszu!
 Gdzie ty lbem dosiagli ledwie, ja, wsparłszy się piętą,
 W całym niebie wytrąbiać będę Jańskie święto!
 Lecz, żebym nie spadł nazad na poziome gruzy,
 Śmiały zamiar parnaskie raczcie wesprzeć muzy:
 Jeśli kiedy Jan krótki dogodził z was jakiej,
 Spiesz się i u pegaziej siadź ze mną kulbaki!

DIALOGUS MUSARUM.

MUZA I.

Moście panny, ktoś z nieba i woła i mruga.
 Pewnie to jest Merkury. A, najniższy sługa!
 Cóż to widzę? Śmiertelnik jakiś, odpuść Boże!

MUZA II.

Czy nie Franuś?

MUZA I.

Ten ustał!

MUZA II.

Józef? Nie? Jan może?

MUZA I.

Nie... Tak górnie nie wzleci nikt, oprócz Tomasza...

MUZA II.

On, on! Ot, nos niemiecki i kawał kamasza.

KALIOPE.

Siostry, co wam się stało? Czyście zaszły w głowę?
 Żadnaż to nie pamięta, że dziś dnie Janowe?
 Na Jana cześć po niebie jambów szuka Adam.
 Zaraz mu biegnę pomóc, na kulbakę siadam.

Bo Jan, uczeń Kaliopy,
 Bo, gdy się na Parnas wdzierał,
 Ja mu sama kulam stopy,
 Z moich rąk wieńce odbierał.
 Jan mój uczeń, Jan mój liryk,
 Ja mu splotę panegiryk.

ERATO.

Co, co, co? Śmiech, ugryzki, obelga wyraźna!
 Co? Tak wielkiego męża wystrychnąć na błazna?
 Co? Onże-by miał stroić waszecine liry?
 Przywykł szczerk mieczów słyszeć, wielbić bohatory!
 Pomnisz, jak, wewnętrznej ulgę chcąc przynieść żalobie,
 Błąkał się wśród pustyni i, wsparty na grobie,
 Skoro noc ziemię w zawój otuliła głuchy,
 Pieniem z mogił wywołał bohaterów duchy
 I, z larwą zemsty pędząc kraju zdrajce niecne,
 Przyszłe im męki palił i odkrył obecne.
 Stój więc! Niechaj Erato na kulbakę leci!
 Od niej chwałę epiczni zyskują poeci.

MUZA.

I ja też nie ustąpię, choć już wrzawa wielka,
 Ja, z Muz pierwsza, wymowy ja nauczycielka,
 Com jeszcze wpośród Zanów sądowej niesnaski
 W głosy Jana sypała oratorskie kraski;
 Prócz mnie, czyż o nim kiedy wspomniała z was która?
 Z czyich łask adwokacka dana mu figura?
 Pod czym okiem pał się, zaokrągał, wzrastał?
 Kto mu pierś wyfutrował i gardło przeszastał
 Tak, że, jeśliby z wrzaskiem odezwał się groźnym,
 Wszystkie go subselia chciałyby mieć woźnym?
 Jan adwokat! Pospieszę do Adama i ja.

URANIA.

Samaż więc pozostanie w domu Uranija?
 Głupie, czyście Bachusa dorwały się trunku?
 Czy stąd, że się na wyższym nie znacie rachunku,
 Chcieć Jana? O, wydrę go, wydrę waszym szponom!
 Pocóż tu poetysy! Wszakże Jan astronom!
 Obaczcie, niech tylko nocy szata spadnie,
 Zaraz do mej świątyni z domu się wykradnie.

Jeszcze u wszystkich planet nie nakręca kólek,
 On już z tęgim tubusem bieży na zaulek.
 I Onufry, na niebie znająca się wyga,
 Kark swój tablicowaty w taktach za nim dźwiga.
 Żeby Jana dziw gwiazdnej nie wabił struktury,
 Pocóżby w noc biegi, okiem strzelając do góry?
 Czego w nim krew się burzy i z ust idzie ślina?
 Oto chęcią mych nauk pali się chłopczyzna.
 Lecz biegnę na kulbakę! Już Adam, niestety
 Pomiedzy najgorętsze zaleciał planety,
 I jeżeli mu...
 Chce dalej mówić, aż wtem, zaciąwszy gołębie,
 Wpadł Kupido i skrzydłem mlasnął ją po gębie.

KUPIDO.

Skądże się wam, siostrzyczki, tak krzycheć uwzięło?
 Wszystkie pono nie w swoje wdaliście się dzieło!
 Oj, gdybym Jana nie pruł mej strzałki żelazem,
 Darmo, choćbyście wszystkie obsiadły go razem.
 Przeze mnie on wśród wieszczów wylatuje górą,
 Ja w nim podniecam zapal, ja mu stęgam pióro.
 Gdyby go najweselsze wabiły niebiosy,
 Przez noc całą z puchówki nie wytknąłby nosa;
 Nie wiem, czy dla gwiazd ludzie po zaułkach mokną,
 Lub się całe dwa lata kochają przez okno,
 Łaszcząc się koło..... Czy to dla was, siostry,
 Jan nieraz zranił pyski o szpigulec ostry?
 Czyż dlatego w spodnicy każdej widzi gaik,
 Że jest dziarski adwokat, liryk albo traik?

MUZY WSZYSTKIE.

„Ej, pocóż dotąd tego słuchamy mózgowca?“
 „Ja biegnę: Jan poeta!“ — „Ja biegnę: Jan mówca“.
 Tak wrzeszcza.
 Jam, bez wsparcia, wietrzne zgubił trakty —
 Szyja mi się okropnej boi katarakty,
 I, jeśli nie wspomoga dalej dobrodżiki,
 Muz plenipotent, spadnę pomiędzy piszczyki.
 „Piękna rzecz latać, gdy się komu godzi,
 Bezpieczniej jednak, kto po ziemi chodzi“.

(Krasicki. Myszeid. p. VI).

Nie lubię rozrządzonych eterów żyć jadłem —
 Więc, pożegnawszy nieba, zleciałem i siadłem. —

Janie! Muzy się wadzą o blask twych przymiotów:
Nie chciały mnie dopomóc — ja sam śpiewać gotów.
Czy myśl do grodu cisnę, czy wrócę do domu,
Kochałeś kogo bardziej, byłeś miłszy komu?
Na progach świata, jeszcze pomiędzy szpicbuby,
Wspólne były zabawy, nauki i czuby.
Prócz nas jakież trząść szkołą, ważyły się śmiałki?
Kto przed nami piątklasów siał woźnym pod pałki?
Kto, oprócz ciebie, Janie, oprócz mnie, Adamie,
Przeciw biało-kapturowym silne stawiał ramię?
A chociaż zbyt troskliwy był o mą duszeczkę,
Chociaż o djablach często miewaliśmy sprzeczkę
I, gdym na mszy myśl topił w niebieskim migdale,
Nieraz mię w kark ku Bożej nawracałeś chwale,
Przecież myśl była jedna, też nauk rachuba,
Poki cię w łapy swoje nie wziął Ludwik Dziuba.
Tam pojąłeś, jak zwolnić cnót stoickie trzęsle
I żyć nie tak nabożnie, myśleć nie tak zwięźle.
Tam począwszy twe siły reperować wcześniej,
Zwyciężyłeś Adama dusznie i cieleśnie.
Cóż, kiedy, wileńskiego dorwawszy się świata,
Dawno już u Onufra sterminował lata!
Czynów twych godnie słać dalej nie potrafię,
Ty, mistrzu, sam opiewaj, lub ty, jambografie!
Wszak znasz, co płacić, jaka działań manijera:
Poczwórne na Zarzeczcu zliczyłeś numera.
Mów, jak Walentowego Jan pochwalał mierza,
Jakiego w nim znalazłeś u Zalki szermierza.
Cyt! Gdzie mię bies zapędził? Umilknę, przestanę...
Przypomniałem Niemcowi pierożki gryczane.
Co, milczeć? A gdzież kodeks przyjaźni stanowi,
Żeby Adam przemilczał prawdę Tomaszowi,
Żeby, gdy całość myśli, wyrzekł jedną czwartą
I przy zębach rozsądział bojaźliwą wartość?
Powie, choćbyś nos zgarbił i uciekł do lasu
I złym humorem w ucztę wmieszał niedokwasu!
Czegoś przez dwa dni chodził, jak obmokła sowa?
Czyli cię śmiech nasz ugryził, zaszkodziły słowa?
Wszakżeż żaden z nas tobie nie zazdrości Zalki:
O rozkosz koźlim rogiem nie chcę toczyć walki!
Zaprawdę, w każdym czułość ma ustawę własną,
I tępe słowa serce rozbolełe drasną.

Ja amantów szanuję, lecz nie chcę pieszczocha.
Jeden-że Tomasz czuły? Jeden Tomasz kocha?
Jegoż tylko wspomnienie niewczesne zasmuca?
Czyż się to kawał głazu w naszych piersiach rzuca?
Niemilo, gdy się wedrze żartownisia oko
W tajnik, gdzie przeszłe czucia kryją się głęboko:
Zda się, że obcy widok ujmuje im wdzięku;
Jak lichwiarz, skarby w własnym chce przetrząsać rękę.
Tomaszu! Każde serce ma ciemne zakątki,
Gdzie są boleści głupstwa i szczęścia pamiątki;
Lecz twoich myśli w chytrej nie wystawiaj szubie,
A gdy nie lubisz czego, powiadaj: „Nie lubię!”
Cóż znaczą w odpowiedziach dzikie labirynty,
Twarz w owsianym kolorze, nos, strojny na kwinty?
Czyliż ty być rozumiesz w podchlebników zgrai,
Gdzie każdy pragnie zgadnąć, co pańska myśl tai?
Ale już pióro tępe, kończą się arkusze...
Rozgadałem się... Jeszcze morały pleść muszę!
Baba się tylko razem płacze i uśmiecha
I sama nie wie często, czy dobra, czy licha...
Broń Boże! Stąd nie wnoszę, że Tomasz jest baba,
Ale się ukazała raz myśl, nazbyt słaba;
Raz tego żalowałaś, coś wprzód z chęcią robił,
Małoś cenił, coś wprzód z pracą przysposobił;
Między sokołem nie znasz różnic i cietrzewiem.
Czyli to dobre, nie wiem, czyli to złe, nie wiem.
A może (ja nie myślę, lecz przyszłość ukryta)
Może, jeśli cię kiedy kto groźnie zapyta...
..... Cóż ty powiesz? Nie wiem.
Ta myśl inkwizycyjnym razi mię zarzewiem.
Ale nadtom powiedział. Sam siebie nie chwale;
Słowa w pierwszym na papier cisnąłem zapale.
Kiedy nas na przechadzce, czwarty temu tydzień,
Zasmuciłeś dziwactwem gniewów i przywidzeń,
Morał ten zawrzeć miała przeszłych fet perora.
Cóż, kiedym go w szpargałach ledwo znalazł wczora!
Przylatałem natychmiast, chociaż ładajaki —
Jambom moim długości dodał i tabaki...
Notabene długości — może i zbyt długo,
Wszak to już i pod ćwiartką znalazłem się drugą!
Nie skończę! Ty się na to krzywisz, Teodorze,
Bom twych pochwał i w przeszlej zapomniał perorze;

Chociaż mi duch ustaje i weny obwisły,
 Wspomnę przynajmniej, jakie roilem zamysły.
 Na wieczną Szerokiego pamiątkę imienia,
 Dwunastu ludzi chciałem wykroić z kamienia.
 Tamby-to, Herkulesie, każde twoje dzieło
 Pod Adamowem dłótem nowy żywot wzięło —
 Stałby mi raz, pod sporą więzią brzeziny zgięty,
 Na błocie widać wryty ślad ogromnej pięty.
 Tam znowu, gdzie cię przyjaźń i męstwo zawiodły,
 Jak kołtuniasty bartnik, drapiesz się na jodły —
 Indziej, kędy przytwardsza zdarzyła się tama,
 W biciu rzymskich gościńców wspomagasz Adama.
 Ale pocóż mam gadać dzieł twych majestaty?
 Przeżyją wieki, ludy, miasta, nieba, światy —
 Kogoż nie zdziwią w puszczach te gościńce kręte.
 Kjoski, spłaszczony góry i bory wycięte?!
 Nie jedna żaba, skacząc do błotnego gmachu,
 Widząc to, elektryczny dryg robi ze strachu.

Cóż, gdy rząd, uczyt wspomnę i ciebie przyłączę...
 Zatykajcie mnie gardło! Ja za noc nie skończę...
 Łże ten, kto śmie powtarzać, że tam były miody:
 Cud się zdarzył! Mnie cudu znane są powody.
 Gdy bracia, sami lepsi, tego dźgali z garka,
 Nie spać się, to do głupstwa była kontramarka.
 Głupstwo całe puhary nie wypić od razu!
 Nie nie pić?! Na tę zbrodnię nie znajdę wyrazu.
 Teraz przemianom winnym dziwić się nie będziemy:
 I ananas w złym gardle staje się żółędziem. —
 Wzgardzajcie, że was gani ten niecałkiem pjany,
 Ten Rak, ten Chrzaszcz, ten Pająk, ten Sztych kropkowany.
 Wasza sława zabłyśnie. Oj, oj! Powiem dalej...
 Na kłódkę gębę zamknij, albo winem zalej! — —

Z OBCHODU POŻEGNALNEGO.

Macam... wiecież? Znalazłem! Więc nie próżne słowa:
 Sen mara, Pan Bóg wiara... Dalej prorokowa-
 łem tak, ale zmacona pamięć zapomina...
 Nacóż mi dawać było djabelskiego wina?
 Zginęły pono jamby! Oto zniżam głosy,
 Nie mogę dawać nosów — macie swoje nosy.
 Inny mię duch nadyma... inny duch nadyma,
 Innemi teraz na was pozieram oczyma,

Bo mię to wino... przebóg!... czy nie potroilo?
 Chcę tu poważniej mówić, a tego nie było...
 Ani się śniło, ani nigdy się nie śniło...
 Czyż dziś imieniny?... Nastawiono flaszek...
 Dzisiaj świętego Piotra! Jedro, co Pietraszek...
 Więc dzisiaj imieniny są Pietraszkiewicza!
 Lecz każdy jego święta już miesiąc przelicza!
 Przeto niech Towarzystwa każdy zdrowie pije,
 Niech po wieki, po wieki Towarzystwo żyje! —

UŁAMEK IMPROWIZACJI WIĘZIENNEJ.

O lube siostry, co z tego będzie,
 Co to ma znaczyć? O, zgrozo!
 Po wszystkich drogach, zewsząd i wszędzie
 Młodzieńców jakichś tu wiozą?

.

Będą tam oni kosili kwiaty,
 Będą tam robili cegły —
 Ale, co robią takie warstąty,
 To czas odgadnie odległy.

Komu z tych cegieł będzie budowa,
 Komu z nich będzie mogiła —
 To moja Muza sobie zachowa,
 Nadto już długo głosiła.

IMPROWIZACJA.

Jeszcze ma muza tego wspomina,
 Co dotąd był zapomniany:
 Wszyscy, o bracia, piejmy Suzina!
 Niech żyje Suzin kochany!
 U kogo zawsze i myśl ta sama,
 I czyj się umysł nie zgina,
 Mamy tu, bracia, portret Adama,
 Mamy tu portret Suzina.
 On się poświęcił i na okowy
 I wieloletnie zamknięcie:
 Wszystko był Suzin znosić gotowy,
 By prawa zachować święcie.

Było odważnych w powszechnej grozie
 I śmiazków więcej, niż tuzin —
 Lecz cierpieć śmiało, lecz milczeć w kozie
 Potrafił tylko sam Suzin.

DO . . .
 IMPROWIZACJA.

Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą,
 Co na twem czole połyska,
 Gdybym się zmienił w tę szatę mglistą,
 Co piersi twoje przyciska —

Drżenia-bym serca twojego badał,
 Czy nie odpowie mojemu;
 Z twojem się łonem wznosił i spadał,
 Posuszny tchnieniu twojemu.

Gdybym się zmienił w wietrzyk skrzydlaty,
 Co dyszy w pogodnem niebie —
 W drodzebym mijal najświeższe kwiaty,
 A pieścił różę i ciebie.

Może nakoniec Bóg litościwy
 Pracę-by moję ocenił,
 Może nakoniec byłbym szczęśliwy
 I w twe się serce zamienił.

SONET.

Gdzie dawniej, żrenicami oświecane twemi,
 Kwiaty wschodziły, godne archanielskiej skroni,
 Potem rwałem ci bukiet na tej samej błoni,
 Pomieszany z piolunem z wierzby płaczącemi.

Kiedy ją chwast i blekot na zawsze zaciemni,
 Zaczóż się czysty kwiatek na niej płoni?
 I wtenczas bukiet przyjmij; niegodzien twej dłoni,
 Lecz zrośł na poświęconej twym pobytem ziemi.

Ach, podobne me serce do owej krainy:
 Niegdyś, bliskie twych piersi, w młodzieńczej ozdobie
 Niosło ci piękne czucia i szlachetne czyny —

Dziś występne, niestety, śle ze swojej winy:
 Choć dla drugich w szalonej cierpiało chorobie,
 Nie gardź niem: było kiedyś poświęcone tobie.

BOMBY, GRANATY...

Bomby, granaty, kartacze!
Rozżarłem się, gdyby lew,
Aż mi serce w piersiach skacze;
Czekaj, kamrat — ty, psiakrew!

Z starym wrogiem idzie sprawa,
Bomba ryczy śmierci śpiew —
Daj manierki! W gardle stawa...
Człek klnie swój los — ha, psiakrew!

Pójdź tu, wrogu! Piekło wyje,
Gdy mój bagnet sięga trzew;
Pójdź, a zgniotę cię, jak żmiję,
Ty, gadzino — ty, psiakrew!

Ty, luba kochanko pola,
Coś mój kiedyś ściągła gniew,
Gdy mnie losów gniotła dola,
Ty, figlarko — ty, psiakrew —

Ty jedna luba na świecie,
Wspomnij, gdy zgine, jak lew!
Zapomnisz? — ha — czart w kobiecie,
Pal cię djabli — precz, psiakrew!

Lecz, gdy kula łeb przebije,
Za umarłych wzniescie śpiew
I wspomnijcie: „Już nie żyje
Stary kapral — ten psiakrew“.

DZIEWICA NA ROZDROŻU.

IMPROWIZACJA DO H. S.

DZIEWICA.

Dwie drogi mam przed sobą: nie wiem, kędy wiodą..
Wychodzę na świat z domu, od ojca, od matki,
Szukać i zbierać życia doczesnego kwiatki,
Co mi będą pociechą, rodzicom nagrodą —
Lecz, jakie są, gdzie rosną, nie wiedzieć nie mogę.
O mój dobry pielgrzymie, opowiedz mi drogę!

PIELGRZYM.

Nie błądzi, kto się pytać ma ufność, pokorę,
Bo, błędząc, szukać drogi, śmiertelnych udziałem.
Na usłudze podróźnych już się zestarzałem;
Wielu pyta, lecz późno — ty się pytasz w porę.

Dwa są życia ogrody i dwie do nich drogi:
Jedna idzie od wschodu, druga od zachodu;
Ta jest stroma, skalista i przybrana w głogi,
Do tego, kędy wiedzie, podobna ogrodu.
Twarda ziemia w ogrodzie i twarde są plody.
Przedniejszą tam ozdoba są dęby i skały;
Długo rośnie tam owoc, nim będzie dojrzwały.
Na zbyt wysokich drzewach rwać trzeba jagody;
Niema tam chwil i godzin — same tylko lata,
Niema por — jedna wiecznie panuje pogoda,
Niema farb — wszystko kryje jednobarwna szata,
Niema nowych zwyczajów, wiecznie jedna moda;
Nie znają tam, co różność, rozmaitość, mnóstwo;
Mieszkańcy tam jednacy, jako jedno bóstwo,
I myśl ich, zawsze jedna, jako jedna wieczność,
Łączy przeszłość, obecność i przyszłą konieczność.
Na cierniach i opokach spoczywa wygoda.
Wpółśród trudów błęgiego zażywając stanu;
Ich użycia, żywota godłem zdrowa woda.
A ich duszy obrazem cisza oceanu.
Ten ogród jest ogrodem Cnoty-czarownicy:
Niepowabny — i groźni siedzą tam strażnicy;
Lecz, kto ufa, że Boga, że siebie nie zdradzi,
Lew mu bramę otworzy, słoń go zaprowadzi.

Na prawo widzisz drugą, druga idzie ścieżka,
I gładka i pochyła, kwiatami ozdobna,
Do tego, kędy wiedzie, ogrodu podobna.
Tam druga czarownica, zwodna Rozkosz mieszka.
Widziałś w piękne lato, przy zachodzie słońca,
Na powietrzu krąg drobnych, niezliczonych muszek?
To jest obraz mieszkańców, ich myśli, serduszek,
Ich żywota w ogrodzie, i obraz ich końca.
Murawa tam posłaniem — lecz wpośród uśpienia
Nie odświeża mieszkańców balsam ukrzepienia;
Różnobarbnym czarują tam kwiaty kolorem,
Lecz, które kwitły z rana, więdną wieczorem.

Tam mieszkańcy tak różni, jak różne owadki,
Ich myśli tak odmienne, jak odmienne kwiatki.
Używają ogrodu, nie syci ogrodu;
Piją miód i, wypiwszy, nie kontenci z miodu.
Nie myślą tam, co było, co będzie za długo —
Chcą samą, coraz inną, obecnością władać,
Jedną czasem słodczye — gorycz piją drugą;
Śmieją się, aby płakać; latają, by spadać.
Ich jestestwo tak lekkie, jak puszek i cienie,
Tron ich sławy dźwigają, Zefirów ramiona,
Obrazem ich żywota jest senne marzenie,
Ich szczęście — błyskawica: ślepi i kona.
Kto w próżnym między ziemią a niebem zakresie
Chciałby mieć rydwan szczęścia, ciągnion przez powiewy,
Niech tu idzie z ufnością i nadzieją Ewy:
Waż mu bramę otworzy, motyl go zaniesie.

Masz ogrody i drogi, masz otwarte pole,
Lecz wybór chciej, Dziewico, na twej zważyć szali,
Bo, żeby woleć jedno, na to Bóg dał wolę,
A rozum, byśmy z woli przed Nim sprawę zdali.

CZY TO Z LITWY...

Czy to z Litwy czy z Poznania,
Chociaż różne nosim bronie,
Nic nam, bracia, nie zabrania
Wspólnie sobie podać dłonie...

...NIECH MI SCHILLER...

...Niech mi Schiller albo Goethe
Wskażą równego poetę!
Ja, pan rymów, siłą ducha
Wskrzeszam temu, co mnie słucha,
Z piersi mojej pieśń...

PRZY PUHARZE. PIOSNKA.

Precz, precz, nudy, troski!
Hej, lej nektar boski,
Niech wino tryska nad szklanki,
Dla przyjaciół i kochanki!

Hej, daj nam skrzypaka,
 Hej, graj nam polaka!
 To król tańców, to ojczysty,
 To poważny, uroczysty.

On nam niech przypomni,
 Ze my tych potomni,
 Którzy, chociaż tego pili,
 Tężej jeszcze wrogów bili.

Chodź, chodź, moja miła!
 Tyś, tyś mnie zwalczyła,
 Lecz ja ciebie zwalczę w tanie:
 Sił w nóżkach twych nie staniesz!

Hejże, szlachta-braty!
 Gdy ty dziś wiwaty
 Spelnisz za zdrowie kochanki,
 Bądź mężną, spelnisz szklanki!

JA RYMÓW NIE DOBIERAM...

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
 Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
 W piersi tylko uderzę, wnet źródło słów wytrysnie,
 A jeśli na tym prądzie iskra Boża błysnie,
 Nie wynik to rozumu, ani plód marzenia:
 Od Boga ją przyjąłem na skrzydłach natchnienia;
 Niem widzę przyszłość, chwytam myśli, czuciem rządę,
 Niem silny, grzechy nasze i przyszłość osądzę.

.....
 Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga:
 W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!

DO DEOTYMY.

Z powodu jej improwizacji.

To nie marnej błyskawicy,
 To natchnienia ogień szczery;
 Nie skowronka drżące kręgi,
 Co tam kwili gdzieś wysoko:

To silny polot orlicy,
Co pewna swojej potęgi,
W nadchmurne szybuje sfery,
Zajrzeć słońcu oko w oko.

To nie pozory zachwytu,
To nie martwa forma bytu:
Tam coś nieziemskiego wieje,
Tam duch zewsząd promienieje.

„NA TWĄ PIERŚ”...

Na twą pierś białą padł śnieżek biały
I bielszym od niej się mienił;
Lecz wkrótce poznał błąd swój zuchwały,
I z żalu w lżę się przemienił.

KSIEGI NARODU POLSKIEGO.

OD POZATKU ŚWIATA

AŻ DO UMĘCZENIA NARODU POLSKIEGO.

Na początku była wiara w jednego Boga, i była wolność na świecie. I nie było praw, tylko wola Boga, i nie było panów i niewolników, tylko patriarchowie i dzieci ich.

Ale potem ludzie wyrzekli się Boga jednego, i naczynili sobie bałwanów, i kłaniali się im, i zabijali na ich cześć krwawe ofiary, i wojowali za cześć swoich bałwanów.

Przeto Bóg zesłał na bałwochwalców największą karę, to jest niewolę.

I stała się połowa ludzi niewolnicą drugiej połowy, chociaż wszyscy pochodzili od jednego Ojca. Bo wyrzekli się tego pochodzenia i wymyślili sobie różnych ojców: jeden rzekł, iż pochodzi od ziemi, a drugi od morza, a inni od innych.

A gdy tak, wojując, jedni drugich brali w niewolę, wpadli wszyscy razem w niewolę imperatora rzymskiego.

Imperator rzymski nazwał siebie bogiem i ogłosił, że nie ma na świecie innego prawa, tylko jego wola: co on pochwali, to będzie nazywać się cnotą, a co on zgani, to będzie nazywać się zbrodnią.

I znaleźli się filozofowie, którzy dowodzili, iż imperator, tak czyniąc, dobrze czyni.

A imperator rzymski nie miał ani pod sobą, ani nad sobą nic takiego, co by szanował.

I ziemia cała stała się niewolnicą; a nie było takiej niewoli nigdy na świecie ani przedtem, ani potem, oprócz w Rosji za dni naszych.

Bo i u Turków sułtan musi szanować prawo Mahometa, ani może go sam wyklądać, ale są na to księża tureccy.

W Rosji zaś imperator jest głową wiary i, w co każe wierzyć, w to wierzyć muszą.

I stało się, iż, gdy niewola wzmocniła się na świecie, nastąpiło przesilenie jej; jako przesilenie nocy w noc najdłuższą i najciemniejszą, tak przesilenie niewoli w czasie niewolnictwa rzymskiego.

Wówczas przyszedł na ziemię Syn Boży Jezus Chrystus, nauczając ludzi, iż wszyscy są braciai rodziną, dziećmi jednego Boga.

I że ten większy między ludźmi, kto im służy i kto poświęca siebie dla dobra ich. A im kto lepszy, tem więcej poświęcić powinien. A Chrystus, będąc najlepszym, miał dla nich krew poświęcić męką najboleśniejszą.

Więc uczył Chrystus, że nie jest szanowana na ziemi ani mądrość ludzka, ani urząd, ani bogactwo, ani korona, ale jedno tylko jest szanowane poświęcenie się dla dobra ludzi.

I kto poświęca siebie dla drugich, znajdzie mądrość i bogactwo i koronę na ziemi, w niebie i na każdym miejscu.

A kto poświęca drugich dla siebie, aby miał mądrość, i urząd, i bogactwo, znajdzie głupstwo, i nędzę, i potępienie na ziemi, w piekle i na każdym miejscu.

I rzekł nakoniec Chrystus: „Kto pójdzie za mną, zbawion będzie, bo Ja jestem prawdą i sprawiedliwością“.

A gdy tak nauczał Chrystus, przelekli się sędziowie, którzy sądzili w imię imperatora rzymskiego, i rzekli: „Wypędziliśmy z ziemi sprawiedliwość, a oto powraca; zabijmy ją i zagrzebajmy w ziemię!“

Umęczeni tedy najświętszego i najniewinniejszego z ludzi, złożyli w grobie i wykrzyknęli: Niema już sprawiedliwości i prawdy na ziemi, a któż teraz powstanie przeciwko imperatorowi rzymskiemu?“

Ale wykrzyknęli głupio, bo nie wiedzieli, iż, popełniwszy zbrodnię największą, już dopełnili miary nieprawości swych — i skończyła się potęga ich wtenczas, kiedy największej cieszyli się.

Bo Chrystus zmartwychwstał i, wypędziwszy imperatorów, zatknął krzyż swój na stolicy ich, a wtenczas panowie uwolnili niewolników swoich i poznali w nich braci, a królowie, pomazani w imię Boga, uznali nad sobą prawo Boże, i wróciła na ziemię sprawiedliwość.

A wszystkie narody, które uwierzyły, czy to Niemcy, czy Włochy, czy Francuzi, czy Polacy, uważali siebie za jeden naród, i nazwano ten naród „Chrześcijaństwem“.

I królowie różnych narodów uważali się za braci i szli pod jednym znakiem krzyża.

A kto był człowiekiem rycerskim, ten jechał wojować pogany w Azji, aby chrześcijany azjatyckie obronić, i grób Zbawiciela odzyskać.

I nazywano tę wojnę w Azji „wojną krzyżową“.

A chociaż chrześcijanie wojowali nie dla sławy, ani dla zdobycia ziem, ani dla bogactw, ale dla oswobodzenia ziemi świętej, przecież Bóg nagrodił im za tę wojnę sławą, ziemiami, i bogactwami, i mądrością. I Europa oświecała się, urządziła się, i bogaciła się. I nagrodił ją Bóg za to, że zrobiła poświęcenie się dla dobra drugih.

I wolność w Europie rozszerzała się powoli, ale ciągle i porządnie; od królów szła wolność do panów wielkich, a ci, będąc wolnymi, rozlewali wolność na szlachtę, a ze szlachty szła wolność na miasta, i wkrótce miała zniść na lud, i całe chrześcijaństwo miało być wolne, a wszyscy chrześcijanie, jak bracia, równi sobie.

Ale królowie zepsuli wszystko.

Bo królowie stali się źli, i szatan wstąpił w nich, i rzekli w sercach swych: „Patrzmy, oto narody przychodzą do rozumu i do dostatków, i żyją uczciwie, że ich karać nie możemy, i miecz rdzewieje w rękach naszych, a narody przychodzą do wolności, i władza nasza słabieje, a skoro dojrzeją i całkiem wolne będą, władza nasza ustanie“.

A królowie, tak myśląc, myśleli głupio, bo, jeśli królowie są ojcami narodów, tedy narody, jako dzieci, dorastając, wychodzą z pod różgi i opieki.

A przecież, jeśli ojcowie dobrzy są, dzieci dorosłe i zupełnie wolne nie wyrzekają się ojców swych, owszem, sędziw-szych jeszcze więcej szanują i kochają.

Ale królowie chcieli być jako ojcowie dzicy, w lasach mieszkający, którzy dzieci swe zaprzęgają do wozów, jako zwierzęta, i sprzedają kupcom za niewolniki.

Rzekli więc królowie: „Starajmy się, aby narody zawsze były głupie, a tak nie poznają sił swoich — i żeby się kłócili z sobą, a tak nie połączą się z sobą przeciwko nam“.

Zawołali tedy do ludzi rycerskich: „Poco macie chodzić do ziemi świętej? Daleko jest; bijcie się lepiej jedni z drugimi!“ A filozofowie dowodzili zaraz, iż głupstwem jest wojować za wiarę.

Królowie tedy, wyrzekłszy się Chrystusa, porobili nowe bogi, bałwany, i postawili je przed obliczem narodów, i kazali im kłaniać się i bić się za nie.

I tak zrobili królowie dla Francuzów bałwana i nazwali go *Honor*; a był to ten sam bałwan, który za czasów pogańskich nazywał się „cielcem złotym”.

Zaś Hiszpanom zrobił król bałwana, którego nazwał *Preponderencją polityczną*, albo *Influencją polityczną*, czyli mocą i władzą; a był to ten sam bałwan, który Asyryjczycy czcili pod imieniem Baala, a Filistynowie pod imieniem Dagona, a Rzymianie pod imieniem Jowisza.

A zaś Anglikom zrobił król bałwana, którego nazywał *Panowaniem na morzu i handlem*; a był to ten sam bałwan, który się nazywał dawniej Mamonem.

A zaś Niemcom zrobiono bałwana, który się nazywał *Brodsinn* czyli *Dobrobyt*; a był to ten sam bałwan, który się nazywał dawniej Molochem i Komusem.

I kłaniały się ludy bałwanom swoim.

I rzekł król Francuzom: „Powstańcie a bijcie się za Honor!”

Powstali więc, i bili się lat pięćset.

A król angielski rzekł: „Powstańcie, a bijcie się za Mamona”.

Powstali więc i bili się przez lat pięćset. A inne też narody były się, każdy za bałwana swego.

I zapomniały narody, iż od jednego pochodzą ojca, I rzekł Anglik: „Ojcem moim jest *Okręt*, a matką moją *Para*”. Francuz zaś rzekł: „Ojcem moim jest *Ląd*, a matką moją *Burza*”. A Niemiec rzekł: „Ojcem moim jest *Warsztat*, a matką moją *Knajpa*”.

I ciż sami ludzie, którzy mówili, iż głupstwem jest bić się za wiarę przeciwko poganom, ciż sami ludzie bili się za kawał papieru, nazwanego traktatem, bili się o port, o miasto, jako chłopci, którzy biją się tykami o granice ziemi, której nie posiadają, a którą ich panowie posiadają.

I ciż sami ludzie, którzy mówili, iż głupstwem jest iść w dalekie kraje na obronę bliźnich, ciż sami ludzie pływali za morze z rozkazu królów i bili się o faktorję, o wór bawelny i o wór pieprzu. I królowie przedawali ich za pieniądze w kraj zamorski.

I psuły się narody, tak, że z pomiędzy Niemców, i Włochów, i Francuzów, i Hiszpanów, jeden tylko znalazł się człowiek chrześcijanin, mędrzec i rycerz. Był rodem z Genui.

Ten namawiał, aby zaprzestano wojować w domu, a raczej odzyskano grób Pański i Azją, która stała się stepem, a mogła być krajem ludnym i pięknym w ręku chrześcijańskich. Ale wszyscy śmieli się z owego Genuńczyka i rzekli: „Śni mu się, i głupi jest“.

Więc ów człowiek pobożny pojechał sam na wojnę; a że był sam i ubogi, więc chciał najprzód odkryć kraje, gdzie się złoto rodzi i, stamtąd nabrawszy bogactwa, wojsko nająć i ziemię świętą odzyskać. Ale wszyscy, słysząc to, krzyknęli: „Szalony jest“.

Wszakże Bóg widział dobre chęci jego i pobłogosławił mu; i ów człowiek odkrył Amerykę, która stała się ziemią wolności, ziemią świętą. Nazywał się ów człowiek Krzysztof Kolumb, i był ostatnim rycerzem krzyżowym w Europie, i ostatni, który przedsięwziął wyprawę dla imienia Bożego, a nie dla siebie.

Ale w Europie tymczasem mnożyło się bałwochwalstwo. A jako u poganów czczono najprzód różne cnoty w postaci bałwanów, a potem różne zbrodnie, a potem ludzie i bestje, a potem drzewa, kamienie i różne figury nakreślone, tak się stało i w Europie.

Bo Włosi wymyślili sobie bałwana boginię, którą nazywali *Równowagą polityczną*. A tego bałwana nie znali dawni poganie, a Włosi zaprowadzili u siebie cześć jego i, bijąc się pierwsi o niego, osłabli i zgłupieli, i wpadli w ręce tyranów.

Tedy królowie Europy, widząc, iż cześć tej bogini *Równowagi* wycieńczyła naród włoski, sprowadzili ją prędko do państw swoich, i rozszerzyli cześć jej, i kazali bić się za nią.

Aż pruski król nakreślił *koło*, i rzekł: „Oto jest Bóg nowy“. I kłaniano się temu *kołu* i nazywano tę cześć *Zakrągleniem politycznem*.

I narody, stworzone na obraz Boży, kazano uważać jako kamienie i bryły i obcinać je, aby jedno ważyły jedne jak drugie. I państwo, ojczyznę, ludzi, kazano uważać jako sztukę monety, którą dla okrągłości obcinano.

I znaleźli się filozofowie, którzy pochwalili wszystko, co wymyślili królowie.

A z tych mędrców fałszywych, kapłanów *Baala* i *Molo-cha* i *Równowagi*, dwóch było najślawniejszych.

Pierwszy nazywał się *Machiavel*, co znaczy z greckiego człowiek *chciwy wojny*; iż jego nauka prowadziła do wojen ustawicznych, jakie były między poganami Grekami.

Drugi zaś żyje dotąd, i zowie się *Ancillon*, co znaczy z łacińskiego *syn niewolnicy*: iż jego nauka prowadzi do niewoli, jaka była u łacinników.

Nakoniec w Europie bałwochwalczej nastalo trzech królów: imię pierwszego *Fryderyk Drugi* pruski, imię drugiego *Katarzyna Druga* rosyjska, imię trzeciego *Marja Teresa* austriacka.

I była to trójca szatańska, przeciwna trójcy Bożej, i była niejako pośmiewiskiem i podrzeźnianiem wszystkiego, co jest święte.

Fryderyk, którego imię znaczy *przyjaciel pokoju*, wynajdywał wojny i rozboje przez całe życie, i był, jako szatan, wiecznie dyszący wojną, któryby przez pośmiewisko nazwał się *Chrystusem*, Bogiem pokoju.

I ten *Fryderyk* na pośmiewisko dawnym zakonem rycerskim ustanowił zakon bezbożny, czyli *order*, któremu na pośmiewisko dał hasło *suum cuique*, czyli: „oddaj każdemu, co jest jego;“ a ten *order* nosili słudzy jego, którzy cudzą własność zabierali i łupili.

I ten *Fryderyk* na pośmiewisko mądrości, napisał księgę, którą nazwał *Anti-Machiavel*, czyli „przeciwnik *Machiawela*“, a sam czynił podług nauki *Machiawela*.

Katarzyna zaś znaczy po grecku *czysta*, a była najwścieczniejsza z kobiet i jakoby *Wenera* bezwstydną, nazywająca się *czystą dziewicą*.

I ta *Katarzyna* zebrała Radę na ustanowienie praw, aby wyśmiać prawodawstwo, bo prawa bliźnich swoich wywróciła i zniszczyła.

I ta *Katarzyna* ogłosiła, iż broni wolności sumienia czyli tolerancji, aby wyśmiać wolność sumienia, bo zmusiła kilka milionów bliźnich do odmienienia wiary.

Zaś *Marja-Teresa* nosiła imię najpokorniejszej i niepokalanej *Matki Zbawiciela*, aby wyśmiać pokorę i świętość.

Bo była djablicą dumną i prowadziła wojnę dla podbicia ziem cudzych.

I była bezbożną, bo, modląc się i spowiadając się, zabrała w niewolę kilka milionów bliźnich.

Miała zaś syna Józefa, który nosił imię patriarchy, który patriarcha nie dał się uwieść żonie Patyfera i braci swoich, co go w niewolę zaprzędali, z niewoli uwolnił.

A ten Józef austriacki podwiódł matkę własną do złego i braci Polaków, którzy cesarstwo jego od niewoli tureckiej obronili, zabrał w niewolę.

Imiona tych trzech królów, *Fryderyka, Katarzyny i Marji-Teresy*, były to trzy bluźnierstwa, a ich życia trzy zbrodnie, a ich pamięć trzy przekleństwa.

Tedy owa trójca, widząc, iż jeszcze nie dosyć narody głupie i zepsute były, wyrobiła nowego bałwana, najobrzydliwszego ze wszystkich, i nazwała tego bałwana: *Interes*, a tego bałwana nie znano u pogan dawnych.

I psuły się narody, tak że z pomiędzy nich znalazł się tylko jeden człowiek, obywatel i żołnierz.

Ten namawiał, aby zaprzestano wojować dla *Interesu*, a raczej broniono wolności bliźnich; i pojechał sam na wojnę, do ziemi wolności, do Ameryki. Człowiek ten nazywa się Lafayette. I jest ostatni z ludzi dawnych europejskich, w którym jest jeszcze duch poświęcenia się, reszta ducha chrześcijańskiego.

Tymczasem kłaniały się *Interesowi* wszystkie narody. I rzekli królowie: „Jeśli rozszerzymy cześć tego bałwana, tedy, jak naród bije się z narodem, tak potem bić się będzie miasto z miastem, a potem człowiek z człowiekiem.

„I zdziczeją znowu ludzie, a my znowu będziemy mieć taką władzę, jaką mieli niegdyś królowie dzicy, bałwochwalscy, i jaką mają teraz królowie murzyńscy i królowie kani-balscy, iż mogą zjadać poddanych swoich“.

Ale jeden naród polski nie kłaniał się nowemu bałwanowi i nie miał w mowie swojej wyrazu na ochrzcenie go po polsku, równie jak na ochrzcenie czcicieli jego, którzy nazywają się z francuskiego *egoistami*.

Naród polski czcił Boga, wiedząc, iż, kto czci Boga, oddaje cześć wszystkiemu, co jest dobre.

Był tedy naród polski od początku do końca wierny Bogu przodków swoich.

Jego królowie i ludzie rycerscy nigdy nie napastowali żadnego narodu wiernego, ale bronili chrześcijaństwo od pogan i barbarzyńców, niosących niewolę.

I szły króle polskie na obronę chrześcijan w dalekie kraje, król Władysław pod Warne, a król Jan pod Wiedeń, na obronę Wschodu i Zachodu.

Nigdy zaś króle i mężowie rycerscy nie zabierali ziem sąsiednich gwałtem, ale przyjmowali narody do braterstwa, wiążąc je z sobą dobrodziejstwem wiary i wolności.

I nagrodził im Bóg, bo wielki naród, Litwa, połączył się z Polską, jako mąż z żoną, dwie dusze w jednym ciele. A nie było nigdy przedtem tego połączenia narodów. Ale potem będzie.

Bo to połączenie i ożenienie Litwy z Polską jest figurą przyszłego połączenia wszystkich ludów chrześcijańskich w imię wiary i wolności.

I dał Bóg królom polskim i rycerzom wolności, iż wszyscy nazywali się bracią: i najbogatsi i najubożsi. A takiej wolności nie było nigdy przedtem. Ale potem będzie.

Król i mężowie rycerscy przyjmowali do braterstwa swego coraz więcej ludu, przyjmowali całe pułki i całe pokolenia. I stała się liczba braci wielka, jako naród, i w żadnym narodzie nie było tylu ludzi wolnych i bracią nazywających się, jako w Polsce.

A nakoniec król i rycerstwo dnia trzeciego maja umyślili wszystkich Polaków zrobić bracią: najprzód mieszczan, a potem włościan.

I nazywano braci „szlachtą“, iż się szlachcili, to jest, zbratali z Lachami, ludźmi wolnymi i równymi.

I chcieli zrobić, aby każdy chrześcijanin w Polsce szlachcił się i nazywał się szlachcicem na znak, iż powinien mieć duszę szlachetną i być zawsze gotowym umrzeć za wolność.

Jak zwano każdego dawniej, ewangelją przyjmującego, chrześcijaninem, na znak, iż gotów krew przelać za Chrystusa.

Szlachectwo tedy miało być chrztem wolności, i każdy, ktoby gotów był umrzeć za wolność, byłby ochrzczony z prawa i z miecza.

I rzekła nakoniec Polska: „Ktokolwiek przyjdzie do mnie, będzie wolny i równy, gdyż ja jestem wolność“.

Ale królowie, posłyszawszy o tem, zatrwożyli się w sercach swych i rzekli: „Wypędziliśmy z ziemi wolność, a oto powraca w osobie narodu sprawiedliwego, który nie kłania się bałwanom naszym. Pójdźmy, zabijmy naród ten“. I uknowali między sobą zdradę.

I król pruski przyszedł i ucałował naród polski i pozdrowił, mówiąc: „Sprzymierzeńce mój“, a już go był sprzedał za trzydzieści miast wielkopolskich, jak Judasz za trzydzieści srebrników.

A dwaj drudzy królowie rzucili się i związali naród polski. A Gał sądził i rzekł: „Zaprawdę, nie znajduję winy w tym narodzie, i żona moja, Francja, kobieta lekliwa, dręczona jest snami złemi; a wszakże weźcie sobie a umęczcie ten naród“. I umył ręce.

A rządca francuski rzekł: „Nie możemy krwią naszą, ani pieniędzmi tego niewinnego odkupywać, bo krew moja i pieniądz mój do mnie należą, a krew i pieniądz narodu mego do mego narodu należą“.

I wyrzekł ten rządca ostatnie bluźnierstwo przeciwko Chrystusowi, bo Chrystus uczył, iż krew Syna Człowieczego należy do wszystkich braci ludzi.

A gdy wyrzekł rządca słowa te, tedy upadły krzyże z wież stolicy bezbożnej, bo znak Chrystusa już nie mógł oświecać ludu, czczącego bałwana *Interes*.

A rządca ten nazywał się Kazimir Perier, imieniem słowiańskim, a nazwiskiem romańskim. Imię jego znaczy „skaziciela“ czyli zniszczyciela miru, to jest, pokoju, a nazwisko znaczy od słowa *perire* albo *périr*, „zgubiciela“ czyli syna „zguby“. A imię to i nazwisko jest antychrystowe. I będzie zarówno przeklęte w pokoleniu słowiańskim i w pokoleniu romańskim.

I rozerwał człowiek ten przymierze ludów, jako ów kapłan żydowski rozerwał szatę swą, słysząc głos Chrystusa.

I umęczono naród polski i złożono w grobie, a królowie wykrzyknęli: „Zabiliśmy i pochowaliśmy wolność“.

A wykrzyknęli głupio, bo, popełniając ostatnią zbrodnię, dopełnili miary nieprawości swych, i kończyła się potęga ich wtenczas, kiedy się najwięcej cieszyli.

Bo naród polski nie umarł; ciało jego leży w grobie a dusza jego zstąpiła z ziemi, to jest z życia publicznego, do otchłani, to jest do życia domowego ludów, cierpiących niewolę w kraju i za krajem, aby widzieć cierpienia ich. A trzeciego dnia dusza wróci do ciała, i naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli.

I przeszło już dni dwa: jeden dzień zaszedł z pierwszym wzięciem Warszawy, a drugi dzień zaszedł z drugim wzięciem Warszawy; a trzeci dzień wnijdzie, ale nie zajdzie.

A jako za zmartwychwstaniem Chrystusa ustały na ziemi całej ofiary krwawe, tak za zmartwychwstaniem narodu polskiego ustana w chrześcijaństwie wojny.

KSIEGI PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO.

Duszą narodu polskiego jest pielgrzymstwo polskie.

A każdy Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem, bo tułacz jest człowiek błądzący, bez celu.

Ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek, wygnany, wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego.

Polak w pielgrzymstwie nie ma jeszcze imienia swego, ale będzie mu to imię potem nadane, jako i wyznawcom Chrystusa imię ich potem nadane było.

A tymczasem Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrówki do ziemi świętej, ojczyzny wolnej, ślubował wędrować póty, aż ją znajdzie.

Ale naród polski nie jest bóstwem, jak Chrystus, więc dusza jego, pielgrzymując po otchłani, zbłądzić może, i byłby odwleczony powrót jej do ciała i zmartwychwstania.

Odczytujmy więc ewangelję Chrystusa!

I te nauki i przypowieści, które zebrał chrześcijanin pielgrzym z ust i pism chrześcijan Polaków, męczenników i pielgrzymów.

I.

Płynęły po morzu okręty wielkie wojenne i statek jeden mały rybacki. A był czas burzliwy, jesienny; w tym czasie, im okręt większy, tem bezpieczniejszy, a im mniejszy, tem niebezpieczniejszy.

Rzekli więc ludzie z brzegu: „Błogosławieni żeglarze okrętów wielkich! Biada żeglarzom w statku rybackim czasu jesiennego!“

Ale nie widzieli ludzie z brzegu, iż na okrętach wielkich popili się majtkowie i zbuntowali się i potłukli narzędzia, przez które sternik uważa gwiazdy, i skruszyli iglicę żeglarską magnesową. A wszakże okręty zdawały się na pozór równie potężne, jak pierwiej.

Ale, nie mogąc widzieć gwiazdy na niebie i nie mając iglicy magnesowej, zbłądziły i potonęły okręty wielkie.

A statek rybacki, patrząc na niebo i na iglicę, nie zbłądził i doszedł brzegu; a chociaż rozbił się przy brzegu, uratowali się ludzie i uratowali narzędzia swe i iglicę swą. A okręt znowu odbudują.

I pokazało się, że wielkość i moc okrętów dobre są, ale bez gwiazdy i kompasu niczem są.

A gwiazdą pielgrzymstwa jest wiara niebieska, a iglicą magnesową jest miłość ojczyzny.

Gwiazda świeci dla wszystkich, a iglica kieruje zawsze na północ. A wszakże z tą iglicą można żeglować i na wschodzie i na zachodzie, a bez niej i na morzu północnem przyjdzie błąd i rozbiecie.

Więc z wiarą i miłością wypłynie statek pielgrzymi polski, a bez wiary i miłości ludy wojenne i potężne zabłądzą i rozbiją się. A kto z nich wyratuje się, nie odbuduje okrętu.

II.

Dlaczegoż dane jest narodowi waszemu dziedzictwo przyszej wolności świata?

Wiedziecie, iż człowiek, który ma kilku krewnych, nie zapisuje dziedzictwa temu, który jest najsilniejszy, ani temu, który jest najprzemysłniejszy, ani temu, który najsmaczniej jada i najlepiej pija.

Ale temu, który go najwięcej kocha i mieszka przy nim, kiedy inni biegają za kuchnią, zyskiem i zabawą.

Otóż i waszemu narodowi dlatego zapisane jest dziedzictwo wolności.

Dlaczegoż dana jest narodowi waszemu moc zmartwychwstania?

Nie dlatego, że naród wasz był potężny, bo Rzymianie potężniejsi byli i umarli, a nie zmartwychwstają.

Nie dlatego, że wasza rzeczpospolita była starożytna i sławna, bo Wenecja i Genua były starożytniejsze i sławniejsze — i umarli, a nie zmartwychwstają.

Nie dlatego, że naród wasz był oświecony naukami, bo Grecja, matka filozofów, umarła i leżała w grobie, aż zapomniała o wszystkich naukach, a kiedy stała się prostytutką, oto zaczęła ruszać się.

I oświecone były królestwa westfalskie, włoskie i holenderskie, które widzieliście, że porodziły się i poumieraly, a nie zmartwychwstają.

A wy będziecie wzbudzeni z grobu, boście wierzący, kochający i nadzieję mający.

Wiecie, iż pierwszy umarły, którego Chrystus z grobu wzbudził, był Łazarz.

I nie wzbudził Chrystus z grobu ani hetmana, ani filozofa, ani kupca, ale Łazarza.

I powiada Pismo, iż Chrystus kochał go, i był to jeden człowiek, nad którym Chrystus płakał. A któż jest teraz Łazarzem między narodami?

III.

Pielgrzymie polski! Byłeś bogaty, a oto cierpisz ubóstwo i nędzę, abyś poznał, co jest ubóstwo i nędza, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: „Ubodzy i nędzarze współdziedzicami moimi są“.

Pielgrzymie! Stanowiłeś prawa i miałeś prawo do korony, a oto na cudzej ziemi wyjęty jesteś z pod opieki prawa, abyś poznał bezprawie, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: „Cudzoziemcy razem ze mną współprawodawcami są“.

Pielgrzymie! Byłeś uczony, a oto nauki, któreś cenił, stały ci się nieużyteczne, a te, któreś lekceważył, cenisz teraz, abyś poznał, co jest nauka świata tego, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: „Prostaczkowie współuczniami moimi są“.

IV.

Nie uciekajcie się pod opiekę książąt, urzędników i mędrków cudzoziemskich. Głupi jest, kto w czasie burzliwym, kiedy chmury z piorunami ciągną, ucieka się pod opiekę dębów wielkich albo puszcza się na wodę wielką.

Książęta i urzędy wieku tego — są to drzewa wielkie, a mądrość wieku tego — jest to woda wielka.

Nie myślcie, aby urząd przez się zły był i nauka przez się zła była, ale je ludzie zepsuli.

Albowiem urząd, wedle Chrystusa, był to krzyż, na którym człowiek dobry dawał się przybijać i męczyć dla dobra drugich.

Dlatego namaszczano króle, jak kapłany, aby zlać na nich łaskę, potrzebną do poświęcenia się. A namiestnik Chrystusa nazywał się „sługą sług“.

A nauka podług Chrystusa miała być słowem Bożem, chlebem i źródłem życia. Powiedział Chrystus: „Człowiek nie tylko żyje chlebem, ale i słowem“.

A póki tak było, szanowano urząd i naukę. Ale potem ludzie podli zaczęli cisnąć się do urzędu, jako do łoża ciepłego, aby w niem spać, a cenili miejsce urzędowania, jako karczmę przy drodze, wedle dochodów jej.

A ludzie uczeni rozdawali zamiast chleba truciznę, i głos ich stał się, jak szum młynów pustych, w których nie było już zboża wiary, a więc młyny szumią, a nikt się z nich nie nakarmi.

A wy staliście się kamieniem probierczym książąt i mędrków świata tego: bo w pielgrzymstwie waszem aza nie więcej wam pomagali żebracy, niż książęta? A w bitwach waszych i więzieniach i ubóstwie, aza nie więcej was nakarmił pacierz, aniżeli nauka Voltaira i Hegla, które są jako trucizna, i nauka Guizota i Cousina, którzy są jako młyny puste?

I dlatego poszły w pogardę urzędy i mądrość: bo człowieka podłego nazywają w Europie „ministerjalnym“, to jest, człowiekiem urzędowym, a człowieka głupiego nazywają „doktrynerem“, to jest, mędrkiem.

Było tak i za czasów przyjścia Chrystusa, iż publikan rzymski, to jest urzędnik, znaczył to samo, co złodziej, a prokonsul, to jest rządca, znaczył to samo, co ciemieżyciel, a faryzeusz, człowiek piśmienny żydowski, znaczył to samo, co chytry, a sofista, czyli mędrzec grecki, znaczył toż samo, co oszust. I to znaczenie zostało im aż do dnia dzisiejszego.

A od przyjścia waszego takie znaczenie będą miały w chrześcijaństwie słowo *roi*, i słowo *lord*, i słowo *par*, i słowo *minister*, i słowo *profesor*.

Ale wy powołani jesteście, abyście wrócili do poszanowania w kraju waszym i w całym chrześcijaństwie urząd i naukę.

Albowiem starsi między wami nie są ci, którzy najspokojniej na starszeństwie zasypiają i z urzędu swego bogacą się.

Ale ci, którzy najwięcej troszczą się i najmniej śpią a prześladowani są i wyśmiewani gorzej, niż wy, a ziemie wielkie i bogactwa porzucili, a który z nich wpadnie w moc nieprzyjaciela, tedy męczony jest srożej, niż wy.

A w innych krajach, kiedy nadchodzi nieprzyjaciół i odmienia rządy, tedy lud ginie i odzierany jest, a urzędnicy zawsze urzędują i mędrkowie zawsze rozprawiają, i wszystkim zarówno służą i od wszystkich zarówno płatni są.

A z was, wiecie, iż, którzy dobrzy byli senatorowie wasi i posłowie wasi i dowódcy wasi, tych imperator moskiewski nazywa najwinniejszymi, a których on nazywa najwinniejszymi, ci są najszanowniejsi, a których on zamęczy, ci będą święci.

A mądrzy między wami nie są ci, którzy wzbogacili się, sprzedając naukę swą, i nakupili sobie dóbr i domów i zyskali od królów złoto i łaski.

Ale ci, którzy opowiadali wam słowo wolności i cierpieli więzienia i bicia; a ci, którzy najczęściej ucierpieli, szanowani są; a ci, którzy śmiercią zapieczętują naukę swą, święci będą.

Zaprawdę, powiadam wam, iż cała Europa musi nauczyć się od was, kogo nazywać mądrym. Bo teraz urzędy w Europie hańbą są, a nauka Europy głupstwem jest.

A jeśli kto z was powie: „Oto jesteśmy pielgrzymowie bez broni, a jakże mamy odmieniać porządek w państwach wielkich i potężnych?“

Tedy, kto tak mówi, niech uważy, iż cesarstwo rzymskie było wielkie, jak świat, i imperator rzymski był potężny, jak wszyscy królowie razem.

A oto Chrystus posłał przeciwko niemu dwunastu tylko ludzi prostaków, ale, iż ludzie ci mieli ducha świętego, duch poświęcenia się, więc zwojowali imperatora.

A jeśli kto z was powie: „Jesteśmy żołnierze, ludzie nieuczeni, a jakże mamy przegadać mędrków krain, które są krainy najoświecenijsze i najucywilizowańsze?“

Tedy, kto tak mówi, niech uważy, iż mędracy ateńscy byli zwani najoświeceni i najucywilizowańsi, a pokonani są słowem apostołów; bo gdy apostołowie zaczęli nauczać w imię Boga i wolności, tedy lud opuścił mędrków, a poszedł za apostołami.

V.

Nieraz mówią wam, iż jesteście wpośród narodów ucywilizowanych i macie od nich uczyć się cywilizacji, ale wiedząc, że ci, którzy wam mówią o cywilizacji, sami nie rozumieją, co mówią.

Wyraz „cywilizacja” oznaczał „obywatelstwo”, od słowa łacińskiego *civis*, obywatel. Obywatelem zaś nazywano człowieka, który poświęcał się za ojczyznę swą, jako Scewola i Kurjusz i Decjusz, a poświęcenie się takie nazywano „obywatelstwem”. Była to cnota pogańska, mniej doskonała, niżeli cnota chrześcijańska, która każe poświęcać się nie tylko za ojczyznę swą, ale za wszystkich ludzi; wszakże była cnotą.

Ale potem, w bałwochwalczem pomieszaniu języków, nazwano cywilizacją modne i wykwinne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatra i szerokie drogi.

Toć nie tylko chrześcijanin, ale poganin rzymski, gdyby powstał z grobu i obaczył ludzi, których teraz nazywają cywilizowanymi, tedy obruszyłby się gniewem i zapytałby, jakim prawem nazywają siebie tytułem, który pochodzi od słowa *civis*, obywatel.

Nie dziwujcie się więc tak bardzo narodom, które w dobrym bycie tyją, albo gospodarne i rządne są.

Bo, jeżeli naród dobrze mający się i dobrze jedzący i pijący ma być najwięcej szanowany, tedy szanujcie między sobą ludzi, którzy są najtuczniejsi i najzdrowsi. Owóz i zwierzęta mają te przymioty; ale na człowieka to nie dosyć.

A jeśli narody gospodarne mają być najdoskonalsze, tedy mrówki przewyższają wszystkich gospodarnością; ale na człowieka to nie dosyć.

A jeśli narody rządne mają być doskonałe, tedy kto lepiej rządzi się, jak pszczoły? Ale na człowieka to nie dosyć.

Albowiem cywilizacja, prawdziwie godna człowieka, musi być chrześcijańska.

Pewny obywatel miał kilku synów i wychował ich pobożnie i cnotliwie w domu, a potem starszych, skoro z dzieciństwa wyszli, posłał do szkoły wielkiej.

Starsi tedy, będąc cnotliwi i pilni, uczyli się dobrze i zyskali pozanowanie u wszystkich, i dobrze im się wiodło i postąpili znacznie w mądrości.

A widząc, iż im dzieje się dobrze, wzbili się w dumę i rzekli: „Szanują nas ludzie i słusznie, bośmy mądrsi od wielu innych, i potrzeba, żebyśmy lepiej od innych mieszkali i ubierali się i świata używali”.

Ale, iż ojciec nie dosyć dosyłał pieniędzy, bo dosyłał w miarę potrzeb, a nie w miarę zbytku, przestali więc zgłaszać się do ojca, i pokłócili się z nim, i zaczęli sami starać

się o pieniądze sposobem najprzód godziwym, potem robiąc długi na rachunek dziedzictwa; i znaleźli lichwiarza, który im hojnie dodawał, przewidując ruinę ich. Potem, będąc niepokojni i smutni, umyślili pocieszać się pijaństwem i rozpustą i mówili do siebie: „Ojciec nas ostrzegał o złych skutkach pijaństwa i rozpusty, ale mamy teraz swój rozum, spróbujmy, czy się nie pocieszymy, używając trunku i rozkoszy w miarę, jak przystało na ludzi rozumnych“.

Ale potem stracili miarę i stali się pijakami wielkimi i rozpustnikami, a dla dostania pieniędzy oszustami. Lichwiarz zaś, wyrobiwszy na nich wyrok sądowy i mając już dziedzictwo ich w ręku swych, nic im nie dawał.

Wpadli więc w nędzę, a ojciec, dowiedziawszy się, wydziedziczył ich, i oddani są lichwiarzowi do wyrobku, a pracując, przypominali przestrogi ojca i myśleli w sercu: „Szkoda, żeśmy go nie słuchali“. Ale, iż byli pyszni, nie chcieli pisać z przeproszeniem do ojca, który płakał po nich. I ci, co nie wstydzieli się całego świata, wstydzieli się łajdaków, którzy w więzieniu pracowali z nimi, i obawiali się, aby łajdacy nie powiedzieli o nich, iż słabego serca są i płaczą i ojca przepraszają. I tak pomarli.

I, widząc to, sąsiedzi rzekli: „Oto ci młodzieńcy byli cnotliwi, póki siedzieli w domu, a jak się wyuczyli w szkole, stali się źli; nauka tedy musi być złą rzeczą, chowajmy więc dzieci w głupstwie“.

Ale ojciec mądry był, i nie zraził się tem, i posłał młodszych synów także do szkoły wielkiej, ale kazał im brać przykład z braci starszych.

Więc młodszy nie zapominali nigdy nauk ojca i postąpili równie, jak starsi, w naukach, a byli zawsze cnotliwi, i szanowani, i pokazali sąsiadom, iż nauka dobrą jest rzeczą, a ojca zawsze słuchać trzeba.

Otóż kościół chrześcijański był owym ojcem, a dziećmi starszemi byli Francuzi, i Anglicy, i Niemcy; a pieniądzem dobry byt i sława światowa, a lichwiarz był djabłem, a młodszy braćmi Polacy, i Irlandczycy, i Belgowie, i inne narody wierzące.

VI.

Na jakich ludziach ojczyzna wasza największe pokładała nadzieje i dotąd pokłada?

Nie na ludziach, którzy najpiękniej ubierali się, i tańczyli, i najlepszą mieli kuchnię; bo największa część tych ludzi nie miała w sobie miłości ojczyzny.

Ani na ludziach, którzy dawniej wojny robili, i wyuczyli się najlepiej maszerować, i rozprawiać o wojnie, i książki wojenne pisać; bo większa część tych ludzi nie miała wiary w sprawę ojczystą.

Ale na ludziach, których nazywaliście dobrymi Polakami, pełnych uczucia, tudzież na pocziwych żołnierzach, tudzież na młodzieży.

Otóż i świat jest, jak ojczyzna, a narody, jak ludzie. Świat pokłada nadzieję na narodach wierzących, pełnych miłości i nadziei.

Zaprawdę, powiadam wam: nie wy macie uczyć się cywilizacji od cudzoziemców, ale macie uczyć ich prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej.

Dobrze jest uczyć się rzemiosł, i sztuk, i nauk; nietylko u Europejczyków, ale i u Turków, i u dzikich można się nauczyć wiele rzeczy potrzebnych. Uczcie się tedy, abyście żyli pracą własną, jako apostołowie żyli z ciesielstwa i tkactwa, bednarstwa, ale nie zapominali, iż są apostołami, nauczycielami rzeczy większych, niż owe rzemiosła i sztuki i nauki.

Nie spierajcie się z cudzoziemcami rozumowaniem i gadaniem, bo wiecie, iż gadatliwi i krzykliwi są, jako chłopięta w szkole, a najmędrszy nauczyciel nie przegada jednego zuchwałego i języczliwego chłopięcia.

Uczcie więc przykładem, a na gadanie ich odpowiadajcie przypowieściami ewangelji Chrystusa i przypowieściami ksiąg Pielgrzymstwa.

VII.

Powiedział Chrystus: „Kto idzie za mną, niech opuści ojca swego i matkę swoją, i odważy duszę swoją“.

Pielgrzym polski powiada: „Kto idzie za wolnością, niech opuści ojczyznę, i odważy życie swoje“.

Bo kto siedzi w ojczyźnie i cierpi niewolę, aby zachować życie, ten straci ojczyznę i życie; a kto opuści ojczyznę, aby bronił wolność z narażeniem życia swego, ten obroni ojczyznę i będzie żyć wiecznie.

Za dawnych czasów, kiedy zbudowano pierwsze miasto na ziemi, zdarzyło się, iż wszczął się w mieście onem pożar.

Powstali niektórzy ludzie i spojrzeli w okno, a widząc ogień bardzo daleko, poszli znowu spać i usnęli.

A drudzy, widząc ogień bliżej, stali we drzwiach i mówili: „Będziemy gasić, kiedy ogień do nas przyjdzie“.

Ale ogień wzmógł się bardzo i pożarł domy tych, którzy we drzwiach stali; a tych którzy spali, pożarł z domami ich.

Byli zaś niektórzy ludzie poczciwi; ci, widząc ogień, wybiegli z domów swych i ratowali bliskie sąsiady, ale, iż mało było poczciwych, uratować nie mogli.

A gdy miasto zgorzało, oni poczciwi ludzie z sąsiadami odbudowali je, i pomagał im lud całej okolicy, i stanęło miasto większe i piękniejsze, niż pierwsze.

Ale owych, co nie byli u pożaru, ale tylko we drzwiach domów swych stali, z miasta wypędzono. I pomarli głodem.

W mieście zaś ustanowiono takie prawo, iż w czasie pożaru wszyscy z wodą, z drabinami, z hakami, do ognia biec muszą, albo wyznaczą osobne ludzie, którzy nocą czuwać a ogień gasić będą.

I prawo takie i porządek odtąd w miastach nastало, i ludzie spali spokojnie.

Miastem owem jest Europa, ogniem nieprzyjacieli jej, despotyzm, a ludzie śpiący są Niemcy, a ludzie, we drzwiach stojący, Francuzi i Anglicy, a ludzie poczciwi Polacy.

VIII.

Za dawnych czasów byli w Anglii gospodarze, mający wielkie stada bydła i owiec.

Ale wilcy wpadali często na pole ich i czynili szkodę.

Wzięli więc strzelby i psy, odpędzali i zabijali zwierza; ale zwierz, odpędzony jedną stroną, powracał drugą, a na miejscu jednego zabitego rodziło się dziesięć. A gospodarze na polowaniu ustawicznym zubożeli, trzymając wiele psów i kupując broń. Stada ich i trzody ich zniszczały.

Aż drudzy gospodarze, mędrsi, rzekli: „Pójdźmy dalej za zwierzem aż do lasu, a wytępić go w gnieździe jego“. Ale wilcy przyszli znowu z drugich lasów, i owi gospodarze zubożeli i trzody potrącili.

Zubożawszy, poszli do sąsiadów i rzekli: „Zbierzmy cały lud, połujmy rok cały, aż wygładzimy wilki na całej wyspie, bo Anglja jest wyspą“.

Poszli tedy i polowali, aż wytępilli zwierza co do jednego, potem złożyli broń, rozpuścili psiarnię, a barany ich pasą się bez pasterza od owych czasów aż do dziś dnia.

IX.

Zaś w kraju włoskim był powiat, bardzo żyzny w oliwe i ryż, ale niezdrowy, bo latem przychodziło nań powietrze, zwane *malarja*, które febrę śmiertelną przynosi.

Ludzie owego powiatu, jedni kadzili w domach swych, łącząc wielkie pieniądze na kadzidło, drudzy budowali parkany od zachodu, skąd mór przychodził, inni uciekali w niezdrową porę; aż wszyscy wymarli, i stał się powiat ten pusty, a po gajach oliwnych i polach ryżowych chodziły dzikie świnie.

I przyszła malarja do drugiego powiatu, i zaczęli znowu ludzie kadzić się i uciekać, aż znalazł się człowiek mądry i rzekł:

„Złe powietrze rodzi się daleko od was, w bagnie o mil pięćdziesiąt stąd; pójdźcie więc, osuszcie bagno, spuszczaając wodę, a jeśli sami od złego powietrza pomrzecie, zostaną dzieci wasze w dziedzictwie waszem, i powiat was błogosławić będzie”.

Ale owi ludzie lenili się iść daleko i obawiali się śmierci, więc wkrótce pomarli w łóżach swych. Złe powietrze idzie dalej i zajęło już dziesięć powiatów.

Bo kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego.

X.

Pamiętajcie, że jesteście wpośród cudzoziemców, jako trzoda wśród wilków i jako obóz w kraju nieprzyjacielskim, a będzie między wami zgoda.

Ci, co niezgodni, są, jak barany, które się odłączają od trzody, bo nie czują wilka; albo jak żołnierze, którzy odłączają się od obozu, bo nie widzą nieprzyjaciela; a gdyby czuli i widzieli, byłiby w kupie.

A nieprzyjacielem waszym jest nie tylko trójca szatańska, ale wszyscy, którzy czynią i mówią w imię trójcy tej, a tych liczba jest wielką między cudzoziemcami, czcicielami *Mocy i Równowagi i Koła i Interesu*.

Nie wszyscy jesteście równie dobrzy, ale gorszy z was lepszy jest, niż dobry cudzoziemiec, bo każdy z was ma ducha poświęcenia się.

Ale jeśli niektórzy z was różnią się od drugich, tedy dlatego, iż przybrali suknie cudzoziemskie: jedni włożyli czerwone czapki francuskie, a drudzy gronostaje angielskie, a drudzy togi i birety niemieckie. A dzieci przebranych często matka własna nie pozna.

Ale skoro ubiorą się wszyscy w czamary polskie, i poznają się wszyscy, i usiądą na kolanach matki, a ona wszystkich zarówno uściśnie.

Nie wyszukujcie ustawicznie w przeszłości błędów i grzechów. Wiecie, iż ksiądz na spowiedzi zakazuje ludziom o przeszłych grzechach myśleć, a tem bardziej z drugimi gadać, bo takie myśli i gadania znowu do grzechu prowadzą.

Nie krzyczcie: „Oto na tym człowieku taka plama jest, muszę ją pokazać; oto ten człowiek popełnił taki a taki występki”. Bądźcie pewni, iż znajdą się ludzie, których obowiązkiem będzie te brudy wygrzebywać — i sędziowie, do których należeć będzie sąd — i kat, który ukarze.

Jeśli idziecie przez miasto, wszakże nie czyściecie bruku, widząc śmiecie, a jeśli spotkacie złodzieja złowionego, nie spieszycie się ciągnąć go na szubienicę. Są inni ludzie, do których to należy.

Na tych ludziach nigdy nie zabraknie, bo, gdy zabrakło niedawno kata w jednym mieście francuskim, tedy podało się zaraz trzystu sześćdziesięciu sześciu kandydatów.

Mówiąc o przeszłości, jeśli powtarzacie: „Oto w tej bitwie zrobiono taki błąd, a w owej bitwie taki błąd, a w tym marszu taki błąd” — dobrze to jest, ale nie myślcie, żeście bardzo rozumni; bo łatwo widzieć niedostatki, a trudno zalety.

Jeśli na obrazie jest plama czarna, albo w obrazie dziura, tedy lada głupi postrzeże je; ale zalety obrazu widzi tylko znawca.

Ludzie dobrzy sądzą, zaczynając od dobrej strony.

Gotując się do przyszłości, potrzeba wracać się myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek, gotujący się do przeskoczenia rowu, wraca się w tył, aby się tem lepiej rozpedzić.

XI.

Nr _____

Jesteście między cudzoziemcami, jako rozbitkowie na brzegu cudzym.

Onego czasu rozbił się okręt; wszyscy ludzie wypłynęła na brzeg cudzy.

Byli zaś między tymi, co wypłynęli, żołnierze i majtkowie, ludzie morscy i rzemieślnicy i uczeni, piszący książki.

Wszyscy narzekali, i chcieli do ojczyzny wrócić, i weszli w radę.

Lud brzegu onego nie dawał im okrętu ani łodzi, a będąc chciwy, nie dawał im drzewa bez pieniędzy.

Poszli tedy do lasu i zaczęli opatrywać drzewa i rozprawiać, wiele tych drzew potrzeba i jaki okręt zbudować, czy podobny do dawnego, czy nowym kształtem, czy fregate, czy bryg, czy kuter.

Tymczasem ludzie owego brzegu przybiegli na odgłos kłótni i wygnali rozbitków z lasu.

Zaczęli więc narzekać i weszli w radę.

Mówili jedni, iż przyczyną rozbicia był sternik, i chcieli go zabić, ale był utonął; drudzy skarżyli majtków, ale mieli tylko kilku ludzi morskich i, zabiwszy ich, nie mieliby z kim płynąć, więc ich tylko łajali i uragali się nad nimi.

Niektórzy wywodzili, iż rozbicie przyszło z wiatrem północnym, inni składali je na wiatr zachodni, inni obwiniali skałę podwodną. I stała się między nimi kłótnia wielka, trwała zaś rok cały, a nic nie uradzono.

Rzekli więc: „Rozejdźmy się, a szukajmy sposobu do życia“. Więc cięśle poszli budować domy, a mularze mурować, a uczeni książki pisać cudzoziemcom, każdy rzemieślnik wedle rzemiosła swego.

I stało się, że wszyscy tęsknili do ojczyzny, a jedni nie umieli budować według rozkazania budowniczych cudzoziemskich, a drudzy nie umieli pisma onych ludzi.

Narzekali więc — i weszli znowu w radę.

I znalazł się między nimi człowiek prosty, który dotąd milczał, bo był cichy; ten rzekł im:

„Pracując i żywiąc się, zapominacie, że musimy powracać do ojczyzny, a nie powrócimy, tylko okrętem i po morzu.

Niech więc każdy z was buduje i muruje i pisze; ale razem niech każdy kupi siekiere, a uczy się pływać.

Zaś ludzie morscy, którzy między nami są, niech wywiedzą się o morzu i o brzegach tutejszych i o wiatrach.

A gdy będziemy gotowi, pójdziemy do lasu i zbudujemy prędko okręt, nim się obejrzą ludzie brzegu tego. A jeśli zechcą nam wstręt czynić, tedy, mając siekiery, obronimy się“.

Rzekli więc: „Obierzmy sternika“.

Jedni chcieli starego, drudzy młodego; mularze innego, uczeni innego. I trwała ta kłótnia pół roku, i nic nie postanowili.

Natenczas rzekł im ów człowiek prosty: „Obierzcie najprzód cieślę, któryby wam prędko okręt zbudował, a zbudujecie tymczasem kształtem dawnym, bo nie mamy czasu nowego próbować.“

A gdy wsiądziemy i wypłyniemy, zbierzemy ludzi, którzy między nami są ludzie morscy i każemy im obrać z pomiędzy siebie sternika.

Ludzie morscy, równie, jak my, nie zechcą utonąć, więc dobrze wybiorą.

A jeśliby i wtenczas była między nami kłótnia, tedy skończy się, bo mocniejsi słabszych albo powiążą albo w morze wrzucą; a póki jesteśmy na tym brzegu, kłótnia nigdy nie skończy się, bo nam nie wolno ani zabijać drugich, ani wiązać“.

Zrobili ci tak, jak im radził — i wypłynęli szczęśliwie.

XII.

W radach waszych i zмовach nie naśladowcie bałwochwalców.

Bo niektórzy z was zaczynali rady i zмовy i spiski, do których trzeba mądrości i zgody, zaczynali przy obiadach i wieczerzach, od jedzenia i od picia.

A któż kiedy widział, aby brzuch pełny dawał mądrość, i głowa pijana zgodę, aby z mięsa i z wina wskresić ojczyznę?

I dlatego zмовy i spiski takie nie udają się, bo, jaki początek, taki koniec.

A lekarze wiedzą, iż dziecię, poczęte z ojca który się obzał i upił, głupie jest i niedługo żyje.

Przetoż wy zaczynajcie radę i zмовę obyczajem przodków idąc na mszę i do komunji; a, co wtenczas uradzicie, mądre będzie.

I nie widziano nigdy, aby ludzie byli niezgodni dnia tego, kiedy przystępowali pobożnie do komunji, i aby dnia tego byli lękliwi.

Wchodząc na radę albo znowę, upokórzcie się przed oczyma waszemi, albowiem bez pokory niema zgody.

Stąd nie mówić się do ludzi: „Podnieście się do zgody“, ale „Skloncie się do zgody“.

A kto chce związać wierzchołki drzew, musi je nachylać: nachylcie więc rozumy wasze, a zwiążą się.

W uroczystościach. waszych nie naśladowcie bałwochwalców

Albowiem bałwochwalczy, między którymi żyjecie, obchodzą święta narodowe, wesołe czy smutne, zawsze jednym sposobem, to jest jedzeniem i pićm; stół jest ołtarzem ich, a brzuch bogiem ich.

Wy zaś obchódźcie święta wasze narodowe, święto Powstania, i święto Grochowskie, i święto Wawru, obchódźcie obyczajem przodków waszych, idąc z rana do kościoła i poszcząc dzień cały.

A pieniądze, oszczędzone dnia tego od gęby waszej, dajcie starszym na karmienie matki ojczyzny. A takiego obchodu ani urząd żaden nie zabroni, ani potrzeba na taki obchód najmować domy wielkie i schodzić się gromadnie na rynkach.

Nie naśladowcie bałwochwalców w ubiorach waszych!

Bo bałwochwalczy, między którymi żyjecie, urząd chcą zrobić szanownym nie przez poświęcenie się, ale przez ubiór, i czepiają na siebie purpurę, i gronostaje, i wstęgi, i ordery, i są jako nierządnice, które się bielą i różują i stroją i, im brzydsze, tem piękniej ubierają się.

Wy noście czamary powstańskie, i starsi i młodszy: bo wszyscy jesteście żołnierzami powstania ojczyzny. Czamara zaś nazywa się po polsku strój, w który ubierano umierającego.

A wielu z was umrze w stroju powstańskim. Wszyscy zaś niech będą gotowi umrzeć.

Któż nie pozna pod czamara powstańską męża, co zwyciężył pod Wawrem, i męża, co zwyciężył pod Stoczkiem, i męża, co wyprowadził wojsko z Litwy, i męża, który prowadził pułk wołyński, i męża, który powiedział w dniach powstania: „Młodzieńcy, róbcie. coście zamyśleli: idźcie a walcz-

ciel" i młodzieńców, którzy pierwsi wygnali tyrana, i męża, który wyrzekł pierwszy: „Precz z Mikołajem!" Wiadome są na świecie imiona ich.

A któż wie, jak się nazywa król neapolitański i sardyński, chociaż purpurę noszą? Kto zna imiona synów królewskich w innych krajach, i imiona marszałków, i wodzów, noszących buławy i wstęgi? Nikt o nich nie wie.

A o innych wiedzą tylko dlatego, iż znaczni są wielką złością i głupstwem, jako w miasteczku wiedzą imię sławnego rozbójnika i sławnego złodzieja i sławnego kuglarza i warjata, który włóczy się po ulicach i lud śmieszy.

A taka sława jest cara Mikołaja, i carzyka Don Miguela, i carzyka Modeny, i wielu królów i ministrów, których znaćcie.

Noście więc czamary powstańskie!

Kto zaś ma potrzebę wziąć strój inny, droższy, i staje mu na to, niech tak postąpi: jeśli suknią kosztuje talarów dziesięć niech kupiwszy suknię, złoży drugie talarów dziesięć na odziewanie ojczyzny. Toż samo zrobicie i ze strawą i z mieszkaniem, które ma być żołnierskie; a co jest droższe nad żołnierskie, od tego podatek dobrowolny zbórcie.

A wszakże nie patrzcie drugich, jak jadają i ubierają się i mieszkają, tylko patrzcie samych siebie; albowiem napisana jest ta rada nie dlatego, abyście podług niej sądzili drugich, ale samych siebie.

Bo dla drugich bądźcie łagodni, a dla siebie surowi! A podług tego, jak drugich sądzicie, sami będziecie sądzeni. Uważcie jeszcze tę tajemnicę:

Iż, kto bardzo surowie potępi bliźniego za błąd jaki, albo za lekliwość, albo za opieszałość, albo za niestałość, tedy sam pewnie w ten błąd wpadnie i sądzony będzie od drugich.

Jest to tajemnica, którą pewien pobożny Polak odkrył i wam obwieszcza.

Na tchórza najsrożej nastają tchórze, na złodzieja złodzieje, a z warjata najgłośniej śmieją się drudzy warjaci.

A człowiek rozumny i odważny w mowach pobłażający jest; wszakże, jeśli zwierzchnikiem jest i sędzią, i lud mu da miecz w ręce, wtenczas surowy jest i sędzi i karze podług sumienia — albowiem przez usta jego wyrokuje lud cały, a mieczem jego zabija ręka ludu.

A człowiek próżny surowy jest w mowach, póki jest prostym człowiekiem; a gdy zostanie starszym ludu i sędzią, na-

tenczas wydaje się nikczemność jego, bo lekliwy jest i pobłażający, a nie sądzi wedle serca ludu, ale wedle przyjaźni swych i nienawiści swych.

Jeśli o kim powiesz niesłusznie: „Zdrajcą jest” — albo powiesz niesłusznie: „Szpiegiem jest” — tedy bądź pewien, iż o tobie toż samo mówią inni w tejże samej chwili.

Nie rozróżniajcie się między sobą, mówiąc: „Ja jestem ze starej służby, a ty jesteś z nowej służby; ja byłem pod Grochowem i Ostrolęką, a ty pod Ostrolęką tylko; ja byłem żołnierzem, a ty powstańcem; ja Litwin, a ty Mazur”.

Którzy tak mówią, niech przeczytają ewangelję o robotnikach, którzy przyszli do winnicy, jedni wezwani rano, drudzy w południe, a inni wieczorem, a wszyscy równą wzięli zapłatę. A ci, co wcześniej przyszli, zazdrościli późniejszym; Pan zaś rzekł: „Zazdrośnicy, a cóż wam do tego byleście sami wzięli tę zapłatę?”

Znajdziecie wiele dzieci żołnierskich u cudzoziemców, a dzieci powstańców są tylko u wps.

Litwin i Mazur bracia są; czyż kłóć się bracia o to, iż jednemu na imię Władysław, drugiemu Witowt? Nazwisko ich jedno jest, nazwisko Polaków.

XIII.

Nie spierajcie się o zasługi wasze i o pierwszeństwo o znaki!

Do pewnego miasta szturmowali żołnierze mężni; i postawiono na murze drabinę, a wojsko krzyknęło: „Kto pierwszy postawi nogi na murze, będzie miał znak wielki wojkowy”.

Przybiegła pierwsza rota; a iż każdy chciał pierwszy wstąpić na szczeble, zaczęli się odpychać, i obalili drabinę i pobici są z murów.

Postawiono więc drugą drabinę, i nadbiegła druga rota, a który najwierzej wskoczył na szczeble, puszczo go, a drudzy postępowali za nim.

Ale pierwszy żołnierz w pół drabiny stracił siłę, zatrzymał się, drugim zawałając drogę. A więc następujący żołnierz targal się z nim, i oderwał go i w dół rzucił, i innych zepchnął; zrobiło się zamieszanie wielkie i wszyscy pobici są.

Aż postawiono trzecią drabinę, i wbiegła trzecia rota. Pierwszy żołnierz dostał ranę i iść dalej nie chciał. Ale następujący po nim był mąż silny i ogromny, więc, nic nie mówiąc, porwał go. i niósł przed sobą, i zastawiał się nim, jak tarczą, i postawił go na murze; zaczęli wbiegli inni porządkiem i miasto zdobyli.

A wojsko potem weszło w radę i chciało dać znak wielki owemu żołnierzowi silnemu. On zaś tak im mówił:

Bracia żołnierze, okrzyknęliście, iż kto pierwszy na murze nogi postawi, znak weźmie; a oto jest żołnierz ranny, który stanął przedemną, on tedy znak weźmie. Przez niego Bóg miasto zdobył.

Nie ważcie lekce, mówiąc, iż tylko prędkości nóg winien pierwsze miejsce; bo i prędkość jest przymiot w żołnierzu, jako siła i męstwo.

Nie mówcie, iż on nic nie sprawił; bo, gdyby go nie raniono przedemną, tedy ja odniósłbym tę ranę, i możebyśmy miasta dziś nie wzięli. A ten, kto zaślania, równy temu, kto walczy, i tarcz ma równą cenę, jak miecz. Znaku nie potrzebuję, bo wszyscy wiedzą, com zrobił.

Bóg daje zwycięstwo, używając prędkości jednego, męstwa drugiego, siły trzeciego; a skoro człowiek zręczny lub silny, zamiast nieść w górę towarzysza słabszego, strąca go, tedy robi zamieszanie i klęskę; a jeśli chwali się z zasługi swej, zasiewa niezgodę.

XIV.

Niech każdy składa talent swój ojczyźnie, jako dar w karbonę, tajemnie i nie mówiąc, wiele złożył. Przyjdzie czas, że się karbona napelni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.

Ale, jeśli chwalić się będziecie, iż tyle a tyle złożyliście, tedy wyśmieją was ludzie i poznają, żeście dawali talent wasz tylko dla chluby.

Zasluga dla ojczyzny jest jako proch.

Kto proch szeroko rozsypie i podpali, zrobi mały błysk bez mocy, huku i stuku.

Ale kto proch zakopie głęboko i podpali, tedy wyrwieci ziemię i mur z hukiem i stukiem, a ludzie mówić będą: „Zaiste, było tam wiele prochu“ — chociaż było niewiele, ale w zakopaniu głębokiem.

Przetoż i zasługa, głęboko schowana, pokaże się sławnie; a kto ją tak schowa, że się na tym świecie nigdy pokaże,

tedy ukaże się w wieczności, i huk jej będzie nieskończony, i blask jej nigdy nie gasnący, i skutek jej na wieki.

Zasluga dla ojczyzny jest, jako ziarno; kto obnosi ziarno w rękę i wszystkim pokazuje, wołając: „Oto jest ziarno wielkie“, tedy wysuszy je i nic z niego nie otrzyma.

Ale, kto zakopie ziarno w ziemię, a czeka cierpliwie kilka tygodni, tedy ziarno wyda roślinę.

Ale, kto schowa ziarno w kłosie na rok przyszedł, na życie przyszedł, ten otrzyma ziarno sto, a z tych stu — tysiące tysięcy.

A przeto, im kto dłużej czeka nagrody, tem większą weźmie; a kto jej tu nie weźmie, tam weźmie największą.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: „Waleczni byliśmy, a nie mamy starszeństwa i znaku?“ A czyż walczyliście dla starszeństwa i znaku? Kto dla starszeństwa i znaku walczy, niech idzie do Moskale!

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: „Oto ten, który stoi na prawo, lękliwy jest, a wziął znak, oto ten, który stoi na lewo, niemądry jest a wziął starszeństwo?“ A czyliż żołnierz dobry, biegąc na nieprzyjaciela, ogląda się na prawo, na lewo? Nie ogląda się, ale naprzód idzie. Bo kto ogląda się na prawo i na lewo, tchórz jest. Oglądać się i oglądać, jest rzecz naczelnika.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: „Naczelnik nasz pomylił się, dając znaki, wybierając na starszeństwo ludzi złych?“ Bo widzi każdy łatwo wadę w naczelniku, a nie widzi przymiotu: i widzi zaś w sobie przymiot, a nie widzi wady. A często to dobre, które jest w naczelniku, potrzebniejsze jest dla dobra narodu, niżeli to dobre, które w nas jest.

Alboż nie wiecie, iż Chrystus Bóg wybrał między dwunastu apostołów jednego zdrajcę; tedy naczelnik człowiek, jeśli między dwunastu wybierze pięciu złych do urzędu i do znaku, doskonały jest.

A między apostołami Jan święty był najwięcej kochany, chociaż najmłodszy, i nie miał żadnego osobnego urzędu: ani był namiestnikiem, jak Piotr, ani przeznaczony do powołania narodów, jak Paweł, ani podskarbnym, jak Judasz.

A przecież Jan jeden przepowiedział przyszłość w Apokalipsie i nazwany jest orłem; i koniec jego tajemniczy jest, i wielu myśli, iż on nie umarł, ale dotąd żyje; a tego nie myśla o żadnym apostołe.

Otóż widzicie, iż zasługa bez urzędu stała się okazalszą na wieki.

XV.

Jesteście między cudzoziemcami, jako gospodarze, szukający gości i spraszający ich na ucztę swobody do domu swego.

Pewny gospodarz głupi, spraszając gości, pokazywał im najprzód w domu swoim miejsca, gdzie zrzucają śmiecie, i inne miejsca brudne, tak, iż ekliwość obudził, i nikt potem nie chciał siadać do stołu jego.

Ale gospodarz rozumny prowadzi gości czystym przysionkiem do izby biesiadnej. Miejsca na śmiecie i brudy w każdym domu są, ale zakryte od oczu.

Są między wami, którzy mówiąc cudzoziemcom o ojczyźnie swej, zaczynają od tego, co w jej prawach i ustanowieniach niedoskonałe było i niedobre; drudzy zaś zaczynają od tego, co piękne i najprzód godne widzenia. Powiedźcież teraz, którzy z nich są głupi gospodarze, a którzy rozumni — i którzy gości do domu zaproszą?

Nie miotajcie perel przed wieprze! Nie wszystkim cudzoziemcom gadajcie o wielkich rzeczach, które poczynił naród wasz dla dobra świata; bo jedni wam nie uwierzą, a drudzy was nie rozumieją, aż się nawrócą.

Pewien chrześcijanin mieszkał pod lasem, będąc gajowym. Ten ujrzał, iż zbójca wykrada się z lasu i dąży ku karczmie, w której mieszkali żydzi, aby ich pobili i obdarli. Rozbójnik rzekł do gajowego: „Pójdźmy razem na żydy, a podzielim się łupem ich“.

Gajowy miał w rękę strzelbę, ale tylko nabitą śrótem na ptaszki, przecież rzucił się na rozbójnika i ranił go, sam zaś był mocniej zraniony, i porwali się za barki, i bili się długo, aż rozbójnik obalił gajowego, i podeptał i myślał, iż go zabił. Ale, sam będąc zraniony, nie mógł dla ujęcia krwi iść na rozbój i wrócił do lasu. Gajowy zaś zawlókł się do karczmy dla ratunku.

I rzekł żydom: „Oto spotkałem męża rozbójnika, i odpędziłem go, i zraniłem, ale, skoro wyleczy się, wróci; a jeśli tu nie wróci, tedy pójdzie łupić inne żydy po karczmach. Wstańcie więc, pojmacie go i zwiążcie; a jeśli boicie się, pomóżcie mnie; rozbójnik jest mąż dużej ręki, ale, iż osłabiony, pożyjem go“.

Żydzi zaś widzieli z karczyny, co się stało, i wiedzieli, że ich obronił; ale obawiali się, aby nie prosił zapłaty.

Więc udali wielkie zdziwienie, pytając, skąd przychodzi i czego żąda; starsi dali mu wódki i chleba, a bachury płakały, niby z litości.

I rzekli wszyscy: „Nie wierzymy, aby rozbójnik chciał nas zabijać; bywał tu u nas dawniej i pił wódkę, a nie nam złego nie zrobił“.

Odpowiedział im gajowy: „Jeśli tu był, tem gorzej dla was, bo obejrzał dom wasz i skrzynie wasze i obaczył, że w domu mieszkają Żydzi, to jest, lęklivego i słabego serca naród“.

Na to rzekli znowu Żydzi: „Nie bluźń na naród nasz! Alboż nie z niego, nie z naszego narodu był Dawid, który, zabił Goljata, i Samson, najmocniejszy z ludzi?“

Odpowiedział im gajowy: „Człowiek jestem w księgach nieuczony; słyszałem od plebana, że ów Dawid i Samson pomarli i nie powstaną; radźcie więc o sobie“.

Rzekli więc Żydzi: „Nie nasza rzecz lasy ze zbójców oczyszczać. Jest na to urząd i wojsko; idź a powiedz im!“

Odpowiedział gajowy: „Broniąc was, nie pytałem urzędu i nie czekałem na wojsko“.

Rzekli mu Żydzi: „Broniłeś sam siebie“.

Odpowiedział gajowy: „Mogłem wždy pomagać rozbójnikowi łupić was, albo iść z daleka za nim i milczeć, a podzieliłby się ze mną dobrem waszem. Mogłem też z domu nie wychodzić“.

Rzekli mu Żydzi: „Broniłeś nas, bo spodziewałeś się zapłaty. Jakoż daliśmy tobie wódki i chleba, i opatrzyliśmy ranę, i damy ci jeszcze talar bity“.

Odpowiedział im gajowy: „Zapłaty waszej nie chcę, a za chleb i wódkę i leki odesłałem pieniądze, skoro wrócę do domu mego“.

Rzekli mu znowu Żydzi: „Biłeś się ze zbójcą, bo wiemy, żeś człowiek kłótniwy, i lubisz bój i szukasz po lesie zwierza“.

Odpowiedział im gajowy: „Gdybym szedł na bój, uzbroiłbym się lepiej, wziąłbym kulę i tasak, wyszedłbym albo pierwszej albo potem, a widzieliście, że nie wyszedł ani pierwszej, ani potem, ale w tę samą chwilę, kiedy ujrzałem męża rozbójnika, idącego na was“.

Więc żydzi zadziwili się bardzo i rzekli: „Powiedz tedy a przyznaj się dlaczegoś to zrobił, co zrobiłeś, i jakie były myśli twe, bo człowiek dziwny jesteś!”

Odpowiedział gajowy: „Tego jednego wam nie powiem, a choćbym powiedział, nie zrozumiecie, bo inny jest rozum żydowski, a inny chrześcijański, ale, gdybyście się nawrócili do chrześcijaństwa, zrozumielibyście sami postępowanie moje, nie potrzebując pytać się mnie”. I, to rzekłszy, wyszedł od nich.

Idąc zaś, jęczał dla ran.

A żydzi mówili między sobą: „Chłubi się, że jest męzny, a jeczy; rany jego nie są ciężkie, i tylko jeczy, aby nam straszyl dzieci”.

Wiedzieli żydowie, iż ciężko raniony był, ale czuli, iż źle zrobili, a chcieli sami w siebie wmówić, że nic złego nie zrobili. I gadali głośno, aby sumienie swe zagłuszyć.

XVI.

Jesteście w ziemi cudzej wśród bezprawia, jako podróżni, którzy w kraju nieznanym wpadną w jamę.

Do jamy wilejzej wpadło kilku podróżnych. Byli między nimi panowie, słudzy i przewodnik.

A skoro ujrzeli się na dnie jamy, zmierzyl ją oczyma, i, choć nic do siebie nie mówili, zgadli, co trzeba było robić.

Stanął tedy na dnie jamy jeden z nich, najsilniejszy i najgrubszy, a drugi wstąpił mu na barki, a trzeci drugiemu wstąpił też na barki, a ostatniemu na barki wstąpił przewodnik.

Tak robiąc drabinę, nie uważali, kto pan, kto sługa, ale osadzili sami siebie po tusz i szerokości barków. Osadzili też, iż najwyżej trzeba stawić przewodnika i najpierwej z jamy wysadzić, iż znał drogi i miejsca i najrychlej znalazłby pomoc.

A gdy przewodnik wyszedł, czekali w milczeniu, posilając się pokarmem, który mieli w sakwach, obdzielając każdego wedle głodu jego.

Niektórzy lękali się, aby przewodnik nie zostawił ich tam, ale nic nie mówili, aby towarzyszom serca nie psuć, i rzekli w sercu tylko: „Jeśli nas zdradzi, będziemy mieli czas narzekać”.

Po krótkiej chwili przewodnik ludzi sprowadził i podróżnych wyciągnął i do wsi odwiódł.

Więc, milcząc, pożegnali się, i myśleli podróżni: „Przewodnik głupi jest, ale, iż zbłądził z głupstwa, a nie ze złej woli, i miał dosyć strachu, puśćmy go w pokój; wszakże drugi raz lepiej wybierajmy przewodnika”.

Przewodnik zaś myślał „Zbłądziłem, a mało co nie zgubiłem tych oto pocziwych ludzi; drugi raz nie podejmę się nigdy przewodnictwa”.

I trwało między tymi ludźmi od czasu wpadnięcia aż do czasu wyjścia głuche milczenie.

Następnego roku wpadli do tejże jamy podróżni drudzy z drugim przewodnikiem i umyślili tymże sposobem ratować się.

Ale był spór, kogo postawią na dole, bo panowie nie chcieli sług dźwigać na barkach, a słudzy obawiali się, aby panowie, wyszedłszy, nie zostawili ich.

Wszyscy zaś obawiali się wypuścić przewodnika, bo go w gniewie za błąd lajali i bili; musiał im tedy zakląć się przysięgą wielką, iż powróci.

Skoro wyszedł, pomyślał sobie: „Żli to ludzie są i coś na mnie knują, bo mi nie wierzyli; zostawię ich tam w jamie”. Szedł więc do domu swego.

A podróżni kilka dni marli głodem, aż przypadkiem trafili na nich ludzie i wyciągnęli ich.

Ledwie wyszli na wolność, jedni chcieli puszczać się dalej w drogę, drudzy szukać i karać niewiernego przewodnika. Kłócili się więc z sobą i rozłączyli.

Zapalczywsi szli, klnąc i grożąc przewodnikowi, i stało się, iż im nikt nie chciał przewodniczyć, ani na prośby, ani za pieniądze.

Przewodnik zaś ów niewierny kłął i krzyczał, że nie winien że owi ludzie sami zbłądzili, a na dowód, iż dobrze zna drogi, podjął się innych prowadzić. I stało się iż był znowu innym przyczyną nieszczęścia.

I trwała od czasu wpadnięcia ich aż do czasu wyjścia ich ciągła kłótnia.

XVII.

Jesteście w pielgrzymstwie waszem na ziemi cudzej, jako był lud Boży na puszczy.

Strzeżcie się w pielgrzymstwie utyskiwania, i narzekania, i powątpiewania! Grzechy to są.

Wiedziecie, iż, gdy lud Boży wracał do ziemi przodków, do ziemi świętej, tedy pielgrzymował w puszczy, a wielu z ludu Bożego tęskniło i mówiło: „Wróćmy do Egiptu, będziemy tam w ziemi niewoli, ale będziemy mieli obfitość mięsa i cebuli”.

I powiada Pismo święte, iż Bóg, obrażony, przedłużył pielgrzymkę narodu, aż dopóki wszyscy ci, którzy tęsknili, nie wymarli na puszczy; bo żaden z nich nie miał ujrzeć ziemi świętej.

Wiedziecie, iż byli drudzy między ludem Bożym, którzy nie ufali prorokom swym i mówili: „A jakże zdobędziemy ziemię przodków, kiedy mamy przeciw sobie króle mocne i ludy, jako ludy olbrzymów?”

I powiada Pismo święte, iż Bóg, obrażony tem niedowiarstwem, przedłużył znowu pielgrzymkę narodu, aż wszyscy ci, którzy wątpili, pomarli na puszczy; bo żaden z nich nie miał ujrzeć ziemi świętej.

A nie tylko ci, którzy głośno narzekali i wątpili, ale i ci, którzy w sercach swych narzekali i wątpili, pomarli także; bo czyta Bóg w sercach, jako w książce otwartej, chociaż dla drugich zamkniętą jest.

Przetoż strzeżcie się grzechu narzekania i wątpienia, abyście nie przedłużyli dni pielgrzymstwa waszego!

A jako w obozie ludu wybranego byli ludzie zaraźliwi, chorujący na leprę czyli trąd, tak i między wami trafiają się ludzie zaraźliwi, to jest źli Polacy; od tych uciekajcie, bo nad trąd zaraźliwsza choroba ich. Po tych znakach zaś poznać chorobę ich:

Człowiek zaraźliwy nie wierzy w zmartwychwstanie Polski, chociaż bił się o nie i pielgrzymuje o nie. A choroba jego pokazuje się w słowach takich: „Wiedziałem że powstanie było głupstwem, ale białem się walecznie za sprawę powstania, jako dobry żołnierz; wiem, iż niepodobieństwem jest odzyskać Polskę, ale pielgrzymuję, jako człowiek honorowy”.

Skoro posłyszycie takie słowa, uciekajcie, zatknawszy uszy, i donieście starszym; a starsi natychmiast człowieka zaraźliwego ziożą z urzędu, i jeśli jest urzędnikiem, i zdejmą z niego czamare i każą mu namyślać się w domu przez pewną liczbę dni.

A po tej liczbie dni obaczą, czy się wyleczył i czy wstała weń wiara i łaska; a jeśli się wyleczył i wyrzeka się grzechu, tedy ogłoszą go czystym, i przyjęty będzie znowu do pielgrzymstwa.

Jeśli zaś chory też same słowa, co pierwiej, mówić będzie, tedy starsi napiętnują go, ogłaszając, iż jest nieczysty. I wszyscy od niego uciekać mają, od widoku jego i od słów jego; bo ani jest dobry żołnierz, ani człowiek honorowy, ale głupiec i złośnik.

Bo, jeśli w bitwach szedł na ogień, tedy i koń, na którym siedział krakus i bódł go ostrogami, i koń, który wioził harmatę pod biczem furmana, szedł w ogień; a możnaż nazywać konia dobrym żołnierzem?

A jeśli zaraźliwiec mówi, iż bije się dla honoru, tedy i oficer moskiewski mówi, iż bije się dla honoru, i Włoch, który mści się, zabijając sztyletem rywala swego, mówi, że mści się za honor; a cóż znaczy głupi, bałwochwalczy honor taki?

Zaprawdę, mówię wam, iż żołnierz, który walczy bez wiary w dobroć sprawy swojej, zwierzem jest, a dowódca, który prowadzi na bój bez wiary w sprawę swoją, rozbójnikiem jest.

Człowiek zaraźliwy bije się w polu i zabija dwóch nieprzyjaciół, a wróciwszy do namiotu, psuje serca żołnierzy i zabija dziesięciu swoich na duszy.

Jest on podobny do człowieka, który chodzi do kościoła i klęczy, a wróciwszy do domu, śmieje się przed dziećmi z Boga i z wiary.

A niech się nie tłumaczy, mówiąc, iż co innego jest postępowanie i czyn, a co innego myśl i mowa; bo przeciwko ojczyźnie można ciężko grzeszyć mową i myślą, a każdy z tych grzechów nie ujdzie kary swej.

Te są ostrożności przeciwko zaraźliwym w pielgrzymstwie polskiem.

XVIII.

Jesteście wśród cudzoziemców, jako apostołowie wśród bałwochwalców.

Nie obruszajcie się tak bardzo na bałwochwalców; bijcie ich słowem, a inni ich pobiją mieczem; a ci, co ich pobiją, są żydzi, czyli ludzie starego zakonu, którzy czczą wszechmocność ludu, i równość, i wolność. Oni nienawidzą bałwochwalców, a nie mają miłości ku bliźnim, i zesłani są na wytepienie bałwochwalców Chananejczyków.

I pokruszą bałwany ich, a bałwochwalców będą sądzić prawem Mojżesza, i Jozuego, i Robespiera, i Saint-Justa, wy-

łapiąc od starego do ssącego dziecka, od bydłęcia do szczecięcia. Bo Bóg ich, który się nazywa Wszechmocność ludu, jest sprawiedliwy, ale gniewny i trawiący, jak ogień.

A jako między żydami w stolicy ich powstał Chrystus i zakon Jego, tak w stolicach liberalistów europejskich powstanie zakon wasz, nowy zakon poświęcenia się i miłości.

Albowiem Anglja i Francja są, jako Izrael i Juda. Jeśli tedy posłyszycie liberalistów, swarzących się o dwie Izby, i o Izbę dziedziczną, i o Izbę wybieralną, i o sposób wybierania, i o zapłatę dla króla, i o wolność druku — nie dziwujcie się mądrości ich; jest to mądrość starego zakonu.

Są to faryzeusze i saduceusze, którzy klóćą się o tref i o koszer, a nie rozumieją, co to jest kochać i umrzeć za prawdę.

I kiedy słyszają was, przybyłych z północy, mówiących o Bogu i wolności, tedy gniewają się i wołają, jak doktory, na Chrystusa, wołając: „A skąd mu tyle nauki, synowi cieśli? A jakże mógi prorok urodzić się w Nazarecie? A jak on śmie nas uczyć, starych doktorów?”

A kiedy mówią o wojnie waszej dla zbawienia narodów, nie przeczą, iż dobrze zrobiliście, ale powiadają, iż niewczesnie, jako doktorowie wyrzucali Chrystusowi, iż w szabas śmiał ludzi uzdrawiać, i krzyczeli: „Godzi-li się w szabas uzdrawiać?” Godzi-li się w czasie pokoju europejskiego z Rosją wojować?

A jeśli dają jałmużnę wdowom i sierotom wolności, wdowom i sierotom hiszpańskim, portugalskim, włoskim i polskim, tedy dają głośno, w Izbach, jako czynili Faryzeusze.

A jeśli dają ojczyźnie swojej, tedy rozprawiają, ile podług zakonu czyli konstytucji dać mają.

A wasz zakon inny jest, bo wy mówicie: „Wszystko, co nasze jest, ojczyzny jest; wszystko, co naszej ojczyzny jest, wolnych ludów jest”.

Anglicy, którzy kochają wolność według starego zakonu, powiadają: „Odbierzmy Francuzom morze, jak Izrael odbierał miasta od Judy”. A Francuzi starozakonni mówią: „Odbierzmy Francuzom ziemie nadreńskie” i tym podobnie. Przetoż powiadam wam, iż głupią i zarażają się bałwochwalstwem, czcią Baala, i Molocha, i Równowagi.

Albowiem porty i morza i lądy są dziedzictwem ludów wolnych.

Alboż klóci się Litwin z Polakiem o granice. Niemna, i o Grodno, i o Białystok? Przetoż powiadam wam, iż Francuz, i Niemiec, i Moskał muszą być, jako Polak i Litwin.

Wszedł do domu opustoszałego człowiek dziki, z żoną i dziećmi. A widząc okna, rzekł: „Przez to okno będzie patrzeć żona moja, a przez drugie ja sam, a przez trzecie mój syn”. Patrzyli więc, a kiedy odchodzili od okien zastaniali je obyczajem ludzi dzikich, aby światło, do nich należące, innym nie dostało się. A reszta rodziny okien nie miała.

I rzekł człowiek dziki: „Przy tym piecu ja sam tylko grzać się będę”, bo jeden tylko piec był. — „A inni niech sobie zrobią każdy po jednym piecu”. I rzekł potem: „Wybijmy w domu drzwi dla każdego oddzielne”. Przetoż popsuli dom i bili się często o światło, ciepło i granice izby.

Otóż tak robią narody europejskie: zazdroszczą sobie handlu książek, i handlu wina, i bawelny, nie wiedząc, iż nauka i dostatek do jednego domu należą, do wolnych ludów należą.

XIX.

Niektórzy z was rozprawiają o arystokracji i demokracji, i o innych rzeczach starego zakonu; ci bracia wasi mylą się, jako pierwsi chrześcijanie, którzy rozprawiali o obrzezaniu i umywaniu rąk.

Ala narody zbawione będą nie przez stary zakon, ale przez zasługi narodu umęczonego, i ochrzczone będą w imię Boga i wolności. A kto tak ochrzczony, bratem waszym jest.

Nie gadajcie wiele o prawach! Prawa są, jak obowiązki, a rządy, jak wierzyciele, a ojczyzna, jak dobro. Im podlejszy i chytrzejszy jest wierzyciel, tem mocniej go opisują, a ojcu i bratu wierzy się bez obowiązku.

Przetoż bądźcie doskonałymi, jak apostołowie, a zawierzą wam narody i, co postanowicie, prawem będzie nie tylko dla was, ale dla wszystkich wolnych ludów.

Nie rozprawiajcie wiele o formie przyszłego rządu w Polsce! Nie ci najlepiej urządzi, którzy rozprawiają, ale ci, którzy najmocniej czują i najpełniej się poświęcenia.

Pewne sieroty szukały sobie opiekuna, któryby ich do brami zarządzał i ich wychował. Obróciły więc oczy na sąsiada, który był dobrym gospodarzem, ale chciwym, i pieniądze wielkie zebrał, a u ludzi miał sławę przemysłnego, ale nieużytego człowieka. Rzekły tedy sieroty: „Tego nie chcemy, bo z nas bogacić się będzie”.

Obrócili więc oczy na drugiego sąsiada, który księgę o gospodarstwie napisał, ale sam nigdy nie gospodarował. Rzekli więc: „I tego nie chcemy, bo na nas będzie robił próby gospodarcze“.

Ale słyszały o trzecim, iż był człowiekiem ubogim, i znaczny majątek stracił, popierając sprawy wdów i sierot; rzekli więc: „Tego weźmijmy!“

Podobna jest forma rządu przyszłego do kształtu mowy, którą mówi człowiek radny.

Człowiek przemyślny, idąc na radę narodową, obmyśla, jak zacząć mowę, co położyć na początku, co we środku, a co w końcu, bo tak nauczył się w szkole; ale, iż sprawy narodowej mocno nie czuje, więc mowa jego będzie sztucznie ułożona, ale pusta, i przejdzie, i pamięci nie zostawi.

A człowiek poczciwy, idąc na radę narodową, pełne ma serce miłości ojczyzny i, czując prawdę tego, co ma mówić, mówi, nie myśląc o porządku, a wszakże mowa jego będzie porządna, i spiszą ją skoropisowie na wzór dla innych, a on sam zadziwi się, iż tak mądrze mówił.

Urząd i prawodawcy, pełni miłości ojczyzny, postanowią urzędy w kraju, stosownie do potrzeby, i będzie kraj urządzony dobrze, a drudzy to urządzenie przepiszą i naśladować będą.

Podobna jest rzeczpospolita, którą założyć macie, do lasu, który sieje gospodarz.

Jeśli gospodarz zasieje nasienie dobre na ziemi dobrej, może być pewny, iż się drzewa urodzą, i nie ma potrzeby myśleć o formie drzew i lękać się, aby się dęby nie urodziły z kolcami, a jodły z liśćmi.

Zasiewajcie więc miłość ojczyzny i ducha poświęcenia się, a bądźcie pewni, iż wyrosnie Rzeczpospolita wielka i piękna.

XX.

Leżała pewna niewiasta w letargu, i wezwał syn lekarzy.

Rzekli wszyscy lekarze: „Wybierz jednego z nas, aby ją leczył“.

Rzekł jeden lekarz: „Ja będę ją leczył podług nauki Browna;“ Ale drudzy odpowiedzieli: „Zła to jest nauka, niech lepiej w letargu leży i umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług Browna“.

Rzekł drugi: „Ja będę ją leczył podług nauki Hanemanna“. Odpowiedzieli drudzy: „Zła to nauka, niech lepiej umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Hanemanna“.

Tedy rzekł syn niewiasty: „Leczcie jakkolwiek, bylebyście ją wyleczyli!“ Ale lekarze nie chcieli zgodzić się, jeden żadnym sposobem nie chciał ustąpić drugiemu.

Tedy syn z żalem i rozpaczą zawołał: „O matko moja!“ A niewiasta na ten głos syna obudziła się i wyzdrowiała. Lekarzów wypędzono.

Są z was niektórzy, którzy mówią: „Niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby zbudzić się miała według arystokracji;“ a drudzy: „Niech lepiej leży, niż gdyby zbudzić się miała według demokracji;“ a inni: „Niech lepiej leży, niż gdyby miała granice takie“ a inni „owakie...“ Ci wszyscy są lekarzami, nie synami i nie kochają matki ojczyzny.

Zaprawdę, powiadam wam: nie badajcie, jaki będzie rząd w Polsce, dosyć wam wiedzieć, iż będzie lepszy, niż wszystkie, o których wiecie; ani pytajcie o jej granicach, bo większe będą, niż były kiedykolwiek.

A każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic.

O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle powiększycie prawa wasze i powiększycie granice.

XXI.

Słyszycie, iż mówią żydzi i cyganie, i ludzie z duszą żydowską i cygańską: „Tam ojczyzna, gdzie dobrze;“ a Polak powiada narodom: „Tam ojczyzna, gdzie źle;“ bo gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności i walka o nią, tam jest walka o ojczyznę, i za tę walkę bić się wszyscy powinni.

Powiadano dawniej narodom: „Nie składajcie broni, póki nieprzyjaciół trzyma jedną pięćdziesiątą ziemi waszej;“ ale wy powiadajcie narodom: „Nie składajcie broni, póki despotyzm trzyma jedną pięćdziesiątą ziemi wolnej“.

Bo i Francuz, i Anglik, i Niemiec bronią własności swej i nienawidzą nieprzyjaciół swych. A przecież, kiedy Francuz i Anglik i Niemiec podróżują między ludami, tedy ludy nie wychodzą spotykać ich i śpiewać im pieśń ich.

A was spotykają, i ugaszczają, i śpiewają wam pieśni wasze, bo czują, że wy wojujecie za wolność świata.

A przetoż, jeśli wasza nauka o wolności i wasze poświęcenie się dla niej nie będzie doskonalsze od nauki i poświę-

cenia się Francuzów i Niemców i Anglików, tedy, zaprawdę, powiadam wam: nie wnijdziecie do ojczyzny waszej.

Powiadał Chrystus do narodu, wybranego od Boga: „Jeśli ty, narodzie Abrahamowy, nie pójdziesz za mną, tedy Bóg odrzuci plemię twoje, a z kamieni wzbudzi synów Abrahamy;“ co znaczyło, iż z Greków i Rzymian zrobi chrześcijany.

A Polak mówi Francuzom i Anglikom: „Jeśli wy, dzieci wolności, nie pójdziecie za mną, tedy Bóg odrzuci plemię wasze, a wzbudzi obrońców wolności z kamieni, to jest z Moskalów i Azjatów“.

Albowiem, kto odrzuca wezwanie wolności, odrzucony będzie od oblicza jej.

Była pewna królowa, która wezwala żołnierza prostego na wodza wojsk i rzekła: „Pobij wszystkich nieprzyjaciół moich, a ja ci dam połowę królestwa i będę żoną twą“.

Ów żołnierz pociągnął w pole, i szły za nim wojska, którym rozkazywał w imię królowej, i bił nieprzyjaciół i stał się możny i sławny.

Rzekł więc do królowej: „Czas już, pani, abym z tobą ożenił się i królował spokojnie“. A królowa rzekła: „Nie czas jeszcze, bo jeszcze nie pobieś wszystkich nieprzyjaciół moich“.

Tedy wódz, rozgniewany, rzekł: „Oto starzeję się i umiem, a mam ustawicznie wojować za tę kobietę; osiade lepiej w dobrach mych i będę odpoczywał“. Więc osiadł w dobrach i zostawił granice bez obrony, a nieprzyjaciół wzmógł się, i przyciągnął do dóbr jego, i zaczął niszczyć.

Tedy on wódz zerwał się, i wyjechał do ludu, i zaczął wołać: „Uzbrojcie się, a idźcie za mną bronić dóbr moich, jak dawniej chodziliście za mną, kiedyśmy zwyciężali zwycięstwami wielkimi“.

A ludzie rzekli: „A co ty jesteś za jeden, głupi człowieku, żebyśmy szli za tobą bronić dóbr twych? Dawniej szliśmy za tobą, boś nas wzywał w imię królowej; ale teraz już nie jesteś hetmanem jej i jesteś prosty człowiek, jako drugi“. I odpędzili go.

Bo królowa już sobie wybrała drugiego prostego żołnierza, a ten stał się wodzem, i słuchano go, i zwyciężył.

Otóż królowa jest wolność, a wodzem jej był Francuz.

XXII.

Gdy w pielgrzymstwie waszem przyjdziecie do miasta jakiego, błogosławcie mu, mówiąc: „Wolność nasza niech będzie z wami!“ Jeśli was przyjmą i usłuchają, tedy wolni będą; a jeśli wami wzgardzą i nie usłuchają was i wypędzą, tedy błogosławieństwo wasze do was powróci.

Odchodząc z miasta i kraju bezbożnego, niewolniczego waszego; a, zaprawdę, powiadam wam, iż lżej było Tulonowi i Nantes i Lugdunowi w dniach Konwencji, niżli będzie miastu onemu w dniach konfederacji europejskiej.

Albowiem, gdy wolność zasiędzie na stolicy świata, będzie sądzić narody.

I rzeknie do jednego narodu: „Oto bylam napastowana od złobców i wołałam do ciebie, narodzie, o kawał żelaza do obrony i o garść prochu, a tyś mi dał artykuł gazety“. A naród ów odpowie: „Pani moja, kiedyż wołałaś do mnie?“ I odpowie wolność: „Oto wołałam ustami tych pielgrzymów, a nie słuchaliście mnie; idźcie więc w niewolę, kędy będzie świst knuta i chrzest ukazów“.

I rzeknie wolność do drugiego narodu: „Oto bylam w utrapieniu i w nędzy, i prosiłam ciebie, narodzie, o opiekę prawa i o opatrzenie, a tyś na mnie rzucał ordonansami“. I odpowie naród: „Pani moja, kiedyś przychodziła do mnie?“ I odpowie wolność: „Przychodziłam do ciebie w stroju tych pielgrzymów, a tyś mną wzgardził; idź-że więc w niewolę, kędy będzie świst knuta i chrzest ukazów“.

Zaprawdę mówię wam, iż pielgrzymstwo wasze stanie się dla mocarstw kamieniem obrazy.

Odrzuciły mocarstwa kamień wasz od budowy europejskiej, a oto kamień on stanie się kamieniem węgielnym i głową przyszłej budowy; a na kogo on upadnie, tego skruszy, a kto nań potknie się, ten upadnie i nie powstanie.

A z wielkiej budowy politycznej europejskiej nie zostanie kamień na kamieniu.

Bo przeniesiona będzie stolica wolności.

Jeruzalem, która mordujesz ludzi, mówiących o wolności, mordujesz proroki twoje; a lud, który morduje proroki swe, uderza sam siebie, w serce swoje, jako szalony samobójca.

Przyjdzie na Jude i Izraela ucisk wielki.

XXIII.

Rządcy francuscy i mędrkowie francuscy, którzy gadacie o wolności, a służycie despotyzmowi, legniecie między ludem waszym i despotyzmem obcym, jako szyna żelaza zimnego między młotem i kowadłem.

I bici będziecie, a żuźle z was i iskry z was lecieć będą na kraj świata, i rzekną narody: „Zaiste, kucie tam jest wielkie, jako w kuźni piekielnej”.

I będziecie wołać do młota, do ludu waszego: „Ludu, daruj a sfolguj, bo gadaliśmy o wolności”. A młot rzeknie: „Gadałeś inaczej, czyniłeś inaczej”. I spadnie z nową mocą na szynę.

I będziecie wołać do despotyzmu obcego, jako do kowadła głuchego: „O despotyzmie, służyliśmy tobie. Zmiękcź się, zrób otwór, abyśmy się skryli od młota”.

A despotyzm rzeknie: „Inaczej czyniłeś, inaczej mówiłeś”. I wystawi wam grzbiet twardy i zimny, aż będzie przekuta szyna tak, że jej nikt nie pozna.

Rządcy angielscy i mędrkowie angielscy, nadymacie się z rodu waszego i mówicie: „Mój dziad był lordem a pradziad królem, żyjmy więc w przyjaźni z krewnymi naszymi, panami i królami Europy”. A oto przyjdą dni, iż będziecie wołać do ludu: „Daruj nas życiem, bo nie było w rodzie naszym ani jednego króla, ani jednego lorda, ani jednego eskwajra”.

A wy, kupce i handlarze obojga narodów, łaknący złota i papieru, dającego złoto, posyłałiście pieniądź na zgnębienie wolności; a oto przyjdą dni, iż będziecie lizać złoto wasze i żuć papier wasz, a nikt wam nie przyśle chleba i wody.

Słyszeliście o głodach takich, że matki jadły dzieci swe; ale głód wasz będzie sroższy, bo powiadam wam, że będziecie obrzynać uszy bliźnim żywym i uszy samym sobie, i piec, i jeść. Bo zasłużyliście, abyście byli bez uszu, jako są szelmowie.

XXIV.

Te są Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego, nie wymyślone, ale zebrane z dziejów polskich, i z pism, i z opowiadani, i z nauk Polaków, ludzi pobożnych i poświęconych za ojczyznę, męczenników, wyznawców i pielgrzymów. A niektóre rzeczy z łaski Bożej.

Czytajcie je, bracia-wiara-żołnierze, a ci, co są między wami starsi, których nazywacie podoficerami czyli namiestnikami, niech wam objaśniają i wykładają.

Albowiem naczelnicy wasi są, jako rodzice wielu dzieci, zajęci i dziećmi, i gospodarstwem, i domem.

Ale podoficerowie wasi są, jako piastunowie i niańki młodszych braci żołnierzy, i ciągle z nimi są, pilnując ich.

Oni zaczęli wojnę narodów, i im da Bóg dokonać ją szczęśliwie. Amen.

MODLITWA PIELGRZYMA.

Panie Boże Wszechmogący! Dzieci narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalni syberyjskich, i ze śniegów kamczackich, i ze stepów Algieru, i z Francji, ziemi cudzej. A w ojczyźnie naszej, w Polsce, wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie; i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! Zlituj się nad ojczyzną naszą i nad nami! Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków na polu bitwy, z bronią w rękę, przed ołtarzem, zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie nie nasza wola, ale Twoja. Amen.

LITANIA PIELGRZYMSKA.

Kyrye eleison. Chryste eleison.

Boże Ojczy, któryś wywiódł lud Twój z niewoli egipskiej i wrócił do Ziemi Świętej,

Wróć nas do ojczyzny naszej!

Synu Zbawicielu, któryś, umęczony i ukrzyżowany, zmartwychwstał i królujesz w chwale,

Zbudź z martwych ojczyznę naszą!

Matko Boska, którą ojcowie nasi nazwali Królową Polski i Litwy,

Zbaw Polskę i Litwę!

Święty Stanisławie, opiekunie Polski,

Módl się za nami!

Święty Kazimierzu, opiekunie Litwy,

Módl się za nami!

Święty Józafacie, opiekunie Rusi,

Módl się za nami!

Wszyscy święci Opiekunowie Rzeczypospolitej naszej,

Módlcie się za nami!

Od niewoli moskiewskiej, austriackiej i pruskiej,

Wybaw nas, Panie!

Przez męczeństwo trzydziestu tysięcy rycerzy Barskich,
poległych za wiarę i wolność,

Wybaw nas, Panie!

Przez męczeństwo dwudziestu tysięcy obywateli Pragi,
wyrzniętych za wiarę i wolność,

Wybaw nas, Panie!

Przez męczeństwo młodzieńców Litwy, zabitych kijami,
zmarłych w kopalniach i na wygnaniu,

Wybaw nas, Panie!

Przez męczeństwo obywateli Oszmiany, wyrzniętych
w kościołach Pańskich i w domach,

Wybaw nas, Panie!

Przez męczeństwo żołnierzy, zamordowanych w Fischau
przez Prusaków,

Wybaw nas, Panie!

Przez męczeństwo żołnierzy, zaknutowanych w Kron-
sztadzie przez Moskali,

Wybaw nas, Panie!

Przez krew wszystkich żołnierzy, poległych za wiarę
i wolność,

Wybaw nas, Panie!

Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników, wy-
gnańców i pielgrzymów polskich,

Wybaw nas, Panie!

O wojnę powszechną za wolność ludów

Prosimy Cię, Panie!

O broń i orły narodowe

Prosimy Cię, Panie!

O śmierć szczęśliwą na polu bitwy

Prosimy Cię, Panie!

O grób dla kości naszych w ziemi naszej

Prosimy Cię, Panie!

O niepodległość całość i wolność ojczyzny naszej

Prosimy Cię, Panie!

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

HYMNY

NAJŚWIĘTSZEJ PANNY I CHRYSYTA PANA. —

SŁOWA NAJŚWIĘTSZEJ PANNY.

I.

Pamięć ludu mego obcisnęła serce moje dwunastu
taśmami płomienistemi, i czułam zawsze tkwiące w sercu
dwanaście węzłów, zawiązanych na pamiątkę ludu mego.

II.

Żyłam Izraelem i w Izraelu cała, jako oblubienica i w
oblubieńcu.

III.

Przewiewały mnie nawskroś westchnienia jego, lzy jego
wszystkie ściekały w serce moje. Pełna byłam bólów jego,
ale nadziejami jego, jako pierzem, porastałam, nosiłam się
po Izraelu, żądzami jego, jako skrzydłami, sięgałam nie-
bios.

IV.

Odtąd przez pierś moją, jako przez noc letnią pogodną,
przechodziły łyskania, pierś moją oświecały łyskania bar-
dzo szerokie i ciche.

V.

Aż miłość moja zamieniła się w iskrę widomą i duch mój,
cały otoczył ją i tylko w nią patrzył.

VI.

I poczułam w łonie bijące dziecię, jako drugie serce, a da-
wne serce moje utuliło się i ucichło.

VII.

I wypowiedziałam światu całą miłość moją jednym słowem Pańskim, które stało się ciałem. Odtąd żyłam w Synie moim i Synem moim.

VIII.

Ale przez pierś moją, jako przez dzień gorący, zaczęły przebijać się pioruny i serce moje stało się pełne mocy, jako gromów; rozpromienianie się moje siecze ciemności złe; unoszona miłością, depcąc złe i na dnie piekła roztlaczam je.

IX.

Otaczam ziemię dłońmi moimi, jako niebem błękitnem. i w każdej chwili, na każdym miejscu, każdemu dobremu duchowi zapalam się i świecę gwiazdą ranną.

W noc Wszystkich Świętych, 1842 roku.

SŁOWA CHRYSTUSA.

I.

Wierz, iż obejmowałem duchem moim świat słoneczny cały, jako płaz nosi w sobie jaje swoje, napełniałem świat, jako gospodarz napełnia duchem swoim dom cały i trzyma go i skinieniem w nim włada.

II.

A jeśli Pan sam zacznie dziecko swoje uczyć nie przez najętych mistrzów, ale sam, siedząc nad niem dzień i noc, zapominając niejako o mądrości swojej i potępiając się na rozmowy dziecinne — a cóż to za miłość!

III.

Tak ja gadałem z ludem-dzieckiem przez proroki moje starozakonne, a cóż, kiedy pan dorosłego chłopca narowy i namiętności chce powściągnąć, pokazując złe skutki nie na zwierzęciu domowem lub na niewolniku, ale sam na swojej osobie, dając się głodzić i katować, mówiąc: „Dziecię, widzisz, jak mnie to boli; pamiętaj o łzach tych i o krwi tej, jak przyjdiesz do rozumu!”

IV.

Ja tak uczyłem brata mojego. Bo dzieckiem Boga jest człowiek zbiorowy, ludzkość; hodowałem ją, jak wy dzieci wasze, tylko z większą miłością.

V.

Teraz młodzieńcem jest człowiek zbiorowy i pójdzie na wojnę ze złem.

VI.

A duch Pański, duch mój, staje się człowiekiem, a nie poznajecie go, bo uczy was, jako wolnych dzieci.

VII.

Ojciec miłujący stanie z tobą, człowiecze, w postaci kolegi, towarzysza broni, owszem, luzaka wiernego, przypasze tobie miecz, konia tobie poda, usadzi ciebie, a sam, stary wojak bezbronny, iść przed tobą będzie, mówiąc: „Synu, idź tu, za mną, prosto. Złe jest mądre, a widzisz że ja prostszy a mędrzy od niego; obszedłem je, zdybaliśmy je, wydane jest w ręce twoje. Złe jest zbrojne, a ja nie boję się go bezbronny: patrz, błednieje i ucieka“.

VIII.

Zwyciężaj i ciesz się, dziecię me; ale, jak postarzejesz, nie zapominaj i drugim powiedz, gdzie szukać mądrości i co jest waleczność. Widzisz, synu, dlaczego teraz żołnierzem być muszę: a życie młodzieńca jeszcze długie, praca Ojca twojego długa, a ty kochaj Go i noś Go w duchu.

IX.

A kiedy znowu przyjdzie do ciebie, znowu z innem obliczem, poznasz głos Jego i oblicze Jego objaśni się tym, którzy go miłują i noszą w sercu.

ŻYWILA.

POWIASTKA Z DZIEJÓW LITEWSKICH.

Grekwie i rzymskiey historyey pisarze dosyć nam ku zbudowaniu podali o cnotliwych a prawie męskiego serca białych głowach, więc i Litwie naszey na podobnych nie zeszło przykładach; gdyby iedno kto w dziejach ony wypatrzyć, a złotem piórem okryślić chciał — ale wždy widząc, iż nikt o tem, iako żywo, nie myśli, wziąłem przed się, ile ze mnie będzie, krótką historyykę, ze staroświeckich xiąg wyiętą, po prostu wam przelożyć.

Około lata Pańskiego 1400 panowało w Nowogródku, Słomimie i Lidzie, możne i potężne xiąże, na imię Koryat. U tego zasię była córka iedynaczka, arcynadobna niewiasta: zwano ją Żywila, to iest Diana, gdyż i gładkością prawie cudną boginiey tey równała się, i myślano pospolicie, iż ku małżeńskiemu ślubowi znaczne wstępy miała; bo gdy xiążęta a pany możne z dalekich stron przysylali posły, upraszając ją sobie ku małżeństwu, wszystkim stale wzbraniała się — stąd wieść szła, iż w panieńskim stanie do końca żywota być chce. Ano wcale inaksze były tych uporów przyczyny. Xieźniczka Żywila od czasu nieiakięgo rozmiłowała się skrycie Litwina Poraya, męża z rycerskiem sercem, który przez swe wyśmienite przewagi wojenne mocno był xięciu Koryatowi spodobany i w niebycie iego rząd nad wszem państwem sprawował. skąd nietrudno mu było z lubownicą swoją tajemne schadzki miewać, gdzieby miłości swoje wynurzali i wzajemnie się pocieszali.

Stało się, iż krótko potem wrócił z wojny xiąże Koryat i zasmucił się niepomału, wielką w kochaney córce swoiey upatrując przemianę. Ony łzy, ony wzdychania, ony bładości, ony lękania się i drżenia ustawiczne przed oycem, dały mu wszystko, iako było, wyrozumieć. „Córko odrodna — zawołał — na to przywiodła cię rozpusta a wszeteczność, iż zhań-

biłaś na wieki dom oycowski? Idź precz z przed oblicza mego! I ty, i kto cię na tę niecnotę zaprawił, śmiercią okrutną pomrzecie". Iakoż wytrąbiono z urzędu po mieście, iż, ktooby wymienił gamrata xiężniczki Żywili, albo o nim lice iakowe powziął, bogato udarowan odeydzie. Alić trąbienie na świat poszło, gdyż nikt nie był, coby o skrytych miłościach onych coś wiedział, abo, wiedząc, Koryatowi doniósł. Xiężniczka Żywila była w szczególnem zamięłowaniu u sług i poddanych swoich, a na rycerza Poraya, który pokątnie nie-szczęścia swego płakał, a na dworze w wesolą twarz ubrać się umiał, żadne, iako żywo, nie przyszło podeyrzenie.

Widząc tedy Koryat, iż wszystkie iego posłuchy i śledzenia nie skutkują, a w iedno nic się obracaia, mocno na córkę swoją nastawał, wielkie grozy czyniąc, ale ona statecznie w cierpliwości stała. „Oycze mój, przyznam, iżem winna znaczney winy, karay mię, otoć jestem, znam, iżem niegodna znaleźć u ciebie miłosierdzie; przedsię drugiey duszy nie-winney gubić z sobą nie mogę, abych ciężey ieszcze bogów nie obraziła". Xiąże zatem spuścił nieco z onych pierwszych srogości, iął się pochlebstwa i, złość w mowie iedwabney przykrywaiąc, obiecował iey dobrem słowem, iż grzech przepuści, aby iedno wszetecznika, coby zacz był, mógł wiedzieć.

Żywila milczała, łzami i szlochaniem odpowiadając. Xiąże tedy, zagniewawszy się gniewem wielkim, kazał iedyną córkę swoją w łańcuchy wsadzić i do lochu pod straż wrzucić, skąd miała być niedługo wywiedziona do tracenia.

I ma-ż kto style, aby podolał opisać lamentsy i ciężkie smętki a płacze, które stąd po wszem mieście powstały? Bo xiężniczkę Żywilę naród w przedniey, iakoby bóstwo iakie, miał uczciwości, iakoby matkę kochaną miłował, iż rada ubogie ludzic wspierała, a srogą przeciwko poddanym umysł xiążęcy łagodziła.

Szedł tedy lud w gromadach-wielkich na dworzec pański, gorzko płacząc a żebrząc miłości ze strony ubogiej xiężniczki. Przedsię nic uprosić nie można.

Onego czasu także na pograniczu trwały wojny między ruskimi kniaziami i Litwą. Iwan, uzbierawszy siła wojsk wszelakich, miasta ubiegał, ogniem i mieczem następował, tak, iż, nim się o tem wieść rozbiegła, mnogość ludu a krwie uczciwey napsował, zaśie szybko nadsięgnawszy, niedaleko miasta obozy rozłożył.

Działo się to dniem przed świętami Perkuna; nazajutrz miano tracić więźniczkę Żywile.

Poray od Koryata z garstką przebranego rycerstwa ślany był, ażeby wstręty jakowe nieprzyjacielowi uczynić, zaczęmbym obrony przyzwoite u murów nastawiono. Ten, chociaż z daleko ogromniejszym a srogim sobie napastnikiem sprawę miał, przed się serca nie tracąc, na ludzie iego, bez sprawy, łada iako ciągnące, z taką mocą a gwałtem wielkim napadł, iż ie, na głowę poraziwszy, do kosza wegnał, i przyszłąby dnia owego zguba ostateczna na Rusiny, gdyby noc potrzebie końca nie dała.

Poray, nie nie mieszkając, nieprzyjaciół woyski swemi obsaczył, sam do miasta z radosną nowiną biegał. Odprawowano w mieście wesele wielkie. Koryat naprzeciw Poraya z niemalym poczem wyiechał, cześć mu wszelką wyrządzając i obrońcą swoim zowąc, więc i do zamku społem na ucztę z sobą zaprosił, a gdy się sami iedni znaleźli, Poray, iako stał, upadł do nóg książęcia, szerokiemi słowy wierność a stateczność swoją wywodząc: „A toć, książę i panie mój, poraziłem nieprzyjaciół twoje porażką znaczną, i dadzą li bogowie do małego szczeru wygubić ich, w tem zasię to za nagrodę sowitą mieć chcę, abyś córki twej iedyney nie tracił, a mnie ią z łaski swej w małżeństwo oddał, za którą łaskę twoją krwią i majątnością, ile ze mnie jest, odslugować nie chybję“. Książę wmiast dobroci niechęć pokazywał i takimi słowy rzekł: „Porayu, napełniłeś mię weselem i smętkiem; raduję się, słysząc o tak zacnych postugach twoich, a zasię przecz wymagasz, co iest nad moc moję? Owe święte a wielkie przodki nasze, książęta litewskie, wiesz, iak córek swoich poddanym za mąż nie dawali, a źle z tym iest, kto, krwie swej niedbały, na lekkość ią puszcza, więc i z tym, kto się z powodzeniem w pychę wbiła a zbytnie wyżej, iak nań przystało, sięga. Lepak i to imo się puszczaając, córka moja wyrodna domu książęcego godność splamiła... Wierzyć nie chcę, abyś icy do takowey sromoty przywódcą był. Wždy skądby się tak nagle ku tey wszeteczniicy miłość twoja wzięła? Nie rozumiem. Zaś i z tych gołych podeyrzeń oczyścić się musisz; na ten czas obaczę, co z tem mam czynić“.

Po rozhowerze takowym rozeszli się obadwa na pozór łaskawie; obadwa gniewy wewnątrz złamali i pokryli. Poray, niewdzięcznością pańską do żywego poruszony, a prawie gromem rażony, przeczuł, iż zło nad nim wisi, zemstę

przeto, głęboko w sercu zasadzoną, ważył. Xiąże też rozumiał o Porayu, iż krom wątpliwości przez ów z xięźniczką nierząd i przez rycerskie szczęście stolicę pana swego chce posiadać. Dlatego przemyślał, iakoby mu żywot wzięty być mógł, teraz uczynić tego nie śmiejąc, snąc, by się rozruch nie stał pomiędzy ludem, który Poraya po mieście obrońcą wykrzykiwał, zaczem ku wytłuczeniu do reszty nieprzyjaciół prawica Poraya ieszcze potrzebną była.

Działo się to w noc przed świątkami Perkuna; nazajutrz miała być tracona xięźniczka Żywila.

Iwan tymczasem, porażony i ściśniony srodze, wyglądał, rychło mu czas ostateczny zabłyśnie i, wszelkiedy nadziei próżen, biedził się, nie wiedząc, iaką lepszą radę wziąć przed się, gdy oto drabanci obozowi wbieżeli, mówiąc, iż mąż nieiaki w czarnéj zbroiey do obozu iechał, a słuchania xiążcego prosi. Kazano go wpuścić. Szedł więc i rzekł: „Kniaziu Iwanie, Poray iestem, który ludzie twe dwakroć pobił i ciebie obsaczanego zewsząd trzymam, a otoć przychodzę oddać w ręce twe miasto z xiążciem iego, i ze wszystkiemi dostatki i woyskiem iego. Masz mnie iedno przysiądz przysięgą wielką, iż ludzi ogniem i mieczem psować nie będziesz, a iż xięźniczka pewna, w mieście uwieziona, żoną mi dana być musi ze wszelakiem bezpieczeństwem“.

Iuż się zabierało na brzask przededniem świąt Perkuna a dnia onego miała być tracona xięźniczka Żywila.

Nagle hałas i zgłęb nad podziw wielki rozszedł się po wszem mieście. Co zwawsi obywatele, zastawiając się oney gwałtowney napaści, gardła dali, innych trwogą potłumiono, tak, iż poddanność nieprzyjacielom uczynić musieli.

Poray wybiła więzienie i znalazł (zgroza mówić) ulubioną swoją bladą, półżywą, na lichem postaniu, ładą iak porzuconą, w ciemnicy. Obaczywszy Poraya, zemgłała.

Niesiono ją zatem na ulicę, aby iakokolwiek ocucić, a ducha iey przywołać. Ratowano, a ona się nie czuła; zbiegł się lud, to widząc, i stało się wołanie i krzyk wielki; ano przedsię nie czuła. Nareszcie, wdzięczne oce otwierając, cudowała się mocno. widząc wokoło ciżbę ludu i zbrojne męże nieprzyjacielskie. Na on czas Poray, przystąpiwszy rzekł: „Złóż twoje boiaźni, naysmilsza, to są boiownicy Iwana zemściciela krzywd naszych, którego opieka z nas nie zeydzie“. Żywila, to usłyszawszy, dobrze znowu nie zemgłała, potem zaś nagle miecz od boku Poraya wychwyciwszy, tak

silnie sztychem w piersi mu uderzyła, iż na skrót przepadł. „Zdrayco — wołając — tak li u ciebie małą była oyczyzna, iż ią dla trochę tey gładkości zaprzedałeś? Człowieku beze czci, tak li odpiaciłeś za moje stateczne miłości? Aza wy, obywatelowie, przecz stoicie, iakoby nie do was mówiono, przecz nie obróćcie na tych oto zbóyców gniewu i zemsty waszey?” To mówiąc, z mieczem na nieprzyjacioly, blisko stojące godziła; czem lud wszystek, iakby kto ogniem po nich rzucił, poruszony, dopadłszy, co kto mógł, z broniami i mieczami na Rusiny, nic takowego nie spodziewaiące się, bieżał. Wytepieno ich moc wielką po domach i ulicach, resztę żywcem brano a więziono. Żywila, przybiegłszy, kędy Koryat, z tarasu świeżo wypuszczony, stał, „Oycze mój” — zawołała — i padła bez duszy.

Pochowano ią pod Mendogową górą, kędy kopiec usypano i drzewa na pamiątkę sadzono. Staruszkwie, dziękuiąc Panu Bogu wszechmogącemu, iż ich na hańbę a uragowisko nieprzyjaciela nie podał, powtarzają dziatkom swym imię Żywili.

KARYLLA.

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Nad pięknymi brzegami Nary, w rozkosznej dolinie, gdzie potem stało miasto, niepamiętne dziś dawnej chwały, a przyszłych klęsk tylko smutny obraz stawiające, mieszkał niegdyś zamożny starzec, który własną ręką uprawiał ziemię, wydobytą z pod odwiecznych lasów. Trzody jego pasły się po górach okolicznych; trzech waleczni synowie służyli pod chorągwiami księcia litewskiego, który ciągnął z dzikimi Połowcami prowadził wojnę. Karylla, najukochańsze ojcowi dziecię, ozdoba pól narskich, przewyższała cnotą i wdziękami swoje rówieśniczki. Serce jej czule nie miało jeszcze innego przedmiotu, prócz słodkich ku sędziwemu ojcu obowiązków. Pasterze tych gór ubiegali się o nią, lasy brzmiały jej pochwałami — lecz Sario, młodzian ubogi, którego całem bogactwem była szczupła trzoda owiec, umiał nad innych się jej podobać. Zebrane nad brzegami Nary kwiaty przynosił często w darze Karylli, i te były jej przyjemniejsze od wspańiałych upominków bitnej młodzie, która z łupami powracała z nad Dźwiny. Polne owoce, które Sario jej przynosił, słodszymi nad inne jej się zdawały. Serce młodej dziewczyny zazwyczaj w takich drobnostkach znajduje pierwszą przyjemność uczucia, które wkrótce całą jej duszę ogarnia. Poczciwy i dobry Sario był równie miłym ojcu Karylli; sędziwy starzec wysoko cenił dobroć jego serca, z rozkoszą przyjmował pomoc jego we wszystkich trudach około pola i domu i przenosił go nad innych sąsiadów swoich. Wkrótce uczuła Karylla, że jeden Sario może jej szczęście zapewnić.

Niebawnie dobry starzec złożony został ciężką chorobą. Sario i Karylla czule około niego podejmowali starania. Starzec, spokojny i szczęśliwy, czekając śmierci, tem się jedynie zasmucał, że nieobecnym synom nie mógł dać ostatniego błogosławieństwa; lecz, widząc rychło żywota swego

koniec: „Przystąp — rzekł — Sario, do mnie! Czemuż ci, którym dałem życie, nie mogą dziś zamknąć powiek ojcu swojemu? Atta, Celi i Oral walczą ze srogimi nieprzyjaciółmi naszej ojczyzny; ich ojciec skończy tu życie na ręku Karylli i twoich. Kiedym osiadł na tej dolinie, nie było tu jeszcze śladu stopy człowieka; ręka moja zwała ogromne drzewa; zbudowałem tu chatę moją, wdzięczna ziemia wydała mi bujne plony: dziękowałem niebu za błogosławieństwo mojej rodziny. Dziś ta dolina liczy do kilkadziesiąt mieszkańca, którzy, moim przykładem zwabieni na te miejsca, pracą rąk swoich oczyścili, uprawili i rozweselili tę dolinę. Może to miejsce będzie kiedyś przybytkiem obfitości, dostatków i szczęścia! Może...! Ja dzieciom moim zostawiam liczną trzodę, uprawne i pięknym plonem okryte niwy nad brzegami Nary; zbiorą go oni już po mojej śmierci. Ty mi byłeś pomocą w zatrudnieniach i pracy. Karylla jest najulubieńszą i droższą mi nad wszystko; ta ostatnia chwila życia mojego niech będzie zakładem waszego szczęścia; zimną już ręką łączę was z sobą. Wam polecam usypać własnymi rękami moją mogiłę“. Kończąc te słowa, dobry starzec czuł już ustający głos w piersiach swoich; podniósł ręce ku niebu, które pomimowolny ciężar zwałił mu na piersi — i już nie żył.

Karylla rzuciła się na ojcowskie ciało, oblewała je łzami; jęki jej rozległy się po całej dolinie. Smutny Sario pocieszał strapioną kochankę i sam zalewał się łzami. Zgromadzili się przyjaciele i sąsiedzi dobrego starca. Żalność, która mocniej działa w ludziach prostych i nie umiejących czynić refleksji, żywo malowała się na twarzach pocziwych przyjaciół i domowników starca. Nie przyjmująca żadnej pociechy Karylla zdawała się być martwą przy zwłokach najukochańszego rodzica; tyle ją żal prawdziwy ogarnął! Zaczęto czynić przygotowania do pogrzebu, a wtem Atta, Celi i Oral, okryci chwałą i obciążeni chlubnymi łupami, przybywają do domu ojcowskiego. „Ojciec wasz nie żyje!“ były pierwsze wyrazy, które zamiast radosnego przyjęcia usłyszeli waleczni młodzieńcy od mieszkańców tej doliny. Nagle ich wesołość w czarny przemieniła się smutek. Dzień ten był poświęcony łzom i żałobnemu rozpamiętywaniu. Nazajutrz zwłoki dobrego starca oddano ziemi.

Wkrótce dowiedzieli się bracia Karylli o ostatecznem rozporządzeniu ojca. Dumny Atta, który siostrę przeznaczał

w małżeństwo zamożnemu Kledowi, nie mógł przenieść na siebie, iżby zostać miała żoną Sarii, ubogiego pasterza. Uwiadomił braci o swoich zamiarach i wszyscy przystali na to, iżby nie dopuścić ich związku. Atta powiedział Karylli, że zostanie żoną Kleda, i odtąd Sarii widzieć nie powinna. Te wyrazy, jak piorun, uderzyły w jej serce, iżby rześiste oblały jej piękne lica; napróżno przypominała mu ostatnie rozkazy ojca, napróżno błagała jego litości, i powiadała, że jej szczęście, jej pokój a nawet i życie zawisło od tego związku. Nieubłagany Atta nieczułym był na jej wyrazy. Karylla, pilniej odtąd strzeżona, uczuła całe nieszczęście stanu swojego; wzdygała się na wspomnienie wszelkiego innego związku — zlorzeczyła braciom. Każdy moment niewidzenia ukochanej osoby był dla niej najsroższą męczarnią, lecz Atta, Celi i Oral ozięble na to patrzali i naigrawali się z jej smutku.

Potrąfiła przecież wykradać się z domu braci i widywać co wieczór ukochanego Saria pod wspaniałym dębem, który stał w miejscu łączenia się dwóch rzek, przerzynających dolinę, otoczoną Narskimi górami. „Chcą cię mi wyrzec — rzekła, ściskając czule ukochanego pasterza — chcą cię mi wyrzec na to zawsze, okrutnicy! Lecz pierwszej życie mi odebrać, niż z tobą rozłączyć będą mogli“. Łzy i westchnienia były ich językiem. Lecz wkrótce złośliwi bracia dostrzegli, że pomimo ich usiłowań Karylla widywała Saria i karmiła w piersiach coraz gwałtowniejszy ku niemu ogień. Naradzali się wspólnie, jakby przeszkodzić temu i na zawsze ją pozbawić nadziei i posiadania najczulszego przyjaciela. Po krótkim namyśleniu się okrutny Celi rzekł do braci: „Atta i Oralu! Nie tajno wam, jak gwałtowną miłością pała Karylla ku temu podłemu pasterzowi; bliskie jego sąsiedztwo karmi w niej pochlebną nadzieję, która coraz bardziej rozżarza ten ogień. Nie chce nawet słyszeć o związku z walecznym i zamożnym Kledem, którego odwaga i męstwo przypodobane są naszemu księciu. Kledo pragnie pojąć Karyllę, a my siostrę naszą oddać mu obiecaliśmy. Nie widzę innego sposobu wygaszenia w sercu Karylli tej miłości, nad oddalenie z tych stron Sarii. Czas, nieobecność i utrata nadziei zwykły najgorętszą miłość przytłumiać. Oddalmy go z tych stron na zawsze, zniszczmy wszelkie ślady jego pamięci“. „Tak jest, przerwał Atta, należy go niezwłocznie sprzątnąć. Wyprowadźmy go jutro na polowanie w góry Narskie i tam grób swój znajdzie“. Pochwalili dwaj bracia myśl Atty i przy-

obietali sobie wzajemnie dopomagać w dokonaniu strasznego zamysłu. Od tej chwili zdawali się pochlebnymi nadziejami pocieszać nieszczęśliwą Karyllę, której uciśnione smutkiem serce przyjmowało z uprzejmością zdradliwą słodycz ich mowy. Zaproszono Saria na wieczerzę. Piękne Karylli oblicze było wiernym jej duszy obrazem; słodką niespokojność jej serca malował często zapalający się i niknący natychmiast żywy rumieniec na twarzy: westchnienia i błędzące spojrzenia, które pomimowolnie w każdej stronie spotykało oczy ukochanego pasterza i rodziło rokoszny na ustach jej uśmiech. Fałszywi bracia wymuszoną uprzejmością dla Sarii i wykrętnie skierowanemi słowy, ożywiali ich uczucia; Karylla sądziła się być najszczęśliwszą w świecie; nie umiając wymówić słowa i nic sama nie wiedząc, za co, ścisła braci i zdała się za swe szczęście im dziękować. Nareszcie wprowadzono rozmowę o łowach. Atta oświadcza chęć wyjścia na pobliskie góry, na łowy jeleni; bracia chętnie przyjmują jego podanie i zapraszają Saria do towarzystwa, który nie śmie odmówić. Układają porę wybrania się nazajutrz po południu i wkrótce rozstają się z Saria.

Karylla, która, jak każda młoda dziewczyna, więcej czuła, niż rozumować umie, przepędziła noc bezsennie w najprzyjemniejszych myślach, czekając dnia jutrzejszego, żeby mogła widzieć znowu ukochanego pasterza. O naznaczonej porze przybył Sario, uzbrojony oszczepem, łukiem i strzałami. Ujrzała go z daleka piękna Karylla; słodka radość ożywiła jej zmysły i każdy krok młodzieńca przyjemnie rozruszał jej serce. Bracia Karylli przygotowali już wszystko do łowów; wyprowadzono psy ochocze i, posiliwszy się owocami, zatrąbiono w drogę. Karylla czule pożegnała braci; oczy dwojga kochanków, które pomimowolna łza zrosiła, posłały sobie ostatnie, niestety, pożegnanie. Wkrótce Karylla straciła ich z oczu i, usiadłszy pod rozłożystym bukiem, który dom ich ocieniał, rozkosznemu oddała się marzeniu.

Pokryte lasem góry rozlegały się odgłosem psów i rogów — echo roznosiło go po brzegach Nary. Pograżona w dumanie Karylla wiodła myśl błędną za odgłosem, którym brzmiały lesiste wierzchołki gór Narskich; niebawmie i ten odgłos ustał, gdyż myśliwi zapędzili się w odległe góry. Ogromny rogacz porywa się z wielkiej rozpadliny. Atta, Celi, Orat i Sario starają się go doścignąć; pasterz wypuszcza strzałę, która w grzbiet mu utkwiała, i sam z oszczepem

w rękę leci ku ranionemu jeleniowi, lecz dwie zdradzieckie strzały, ciśnione z łuku Celi i Orala przeszywają mu grzbiet i piersi na wylot; pada nieszczęśliwy na ziemię, a okrutni mordercy, przyskoczywszy ku niemu, sztyletami ostatni cios zadają. Na pochyłości tejże góry rozgrzebują oszczepami piasek i, nędznego młodzieńca, a razem łuk, strzały, oszczep i nóż jego myśliwski zakopawszy, udali się za tropem jelenia. Ciemny mrok osiadł już piękną dolinę, kiedy trzech bracia, obciążeni ubitą zwierzyną, zbliżyli się do domu. Karylla, jakby z letargu obudzona ich głosem, pobiegła ku nim i, nie widząc powracającego Sarii, zmienionym głosem: „Gdzieżeście waszego towarzysza podzieli?” zapyta. „Zapędził się za jeleniem — odpowiedzieli dwaj starsi bracia — a my, nie mogąc się go dowołać, powróciliśmy do domu“. „Lecz zna on dobrze te góry — dodał Celi — i wkrótce tu przybędzie“. Nie znając zbrodni Karylla nie dała żadnemu podejrzeniu wejścia do niewinnego serca. Każdy szelest zdawał się jej oznajmować przybycie ukochanego pasterza; czasami smutne wyobrażenia nieszczęśliwego jakiego przypadku przypuszczała do myśli, to znowu cieszyła się nadzieją ujrzenia go jutro, pędzącego ubogą swą trzodę na pastwisko; układała w umyśle skargi, które mu jutro wynurzyć miała, ile zapędzenie się jego sprawiło trwogi w jej sercu, i temi myślami niespokojny sen przeplatała.

Zaledwo pierwsze promienie słońca oświeciły góry Nar-skie, niespokojna Karylla nie spuszczała oka z chaty Sarii, chcąc ujrzeć go wychodzącego; lecz wkrótce obaczyła owce swojego pasterza, bez stróża i przewodnika blakające się po urwistych górach, które oblewała niewielka rzeka, wpadająca na tejże dolinie do wspanialej Nary. Wierny pies Sarii był, leżąc u progu ubogiej chaty nieszczęśliwego pana. Smutna Karylla wskazywała go braci swojej, powiadając im, że Sario nie powrócił. Przewrotni młodzieńcy ozięble odpowiedzieli, że nie wiedzą, gdzieby się podział. Rozpaczył jej powiększała się co chwila; nareszcie podobna do pozbawionej przytomności umysłu, błakała się samotna po dolinie i nad brzegami Nary, stroniła od towarzyszek i, w pośrodku ludzi zostając, sądziła się być w okropnej pustyni.

Dnia pewnego, ponurzona w dręczących myślach i miotana niespokojnością, usiadła pod wspaniałym dębem, który dawniej był świadkiem ich niewinnych zabaw i czulej rozmowy. Czarne dumanie ogarnęło jej duszę. Słońce już spu-

ściło się za góry Narskie i ciemność przyjemna panowała na dolinie. Karylla, ocierając łzy, które pomimowolnie płynęły jej po licu, tak, smutna, śpiewać, dumaniem i płaczem przepłatając, zaczęła:

Ucichły z głosem pieszczonym
Powietrznych ptaków tysiące,
Gdy ja, na swem łonie śpiące,
Płaszczem utula zielonym.

Wszystko jest nieme w naturze
Szumią tylko leśne ściany,
I od matki obłąkany
Jelonek klęka na górze.

W którą tylko spojrzę stronę,
Okropność panuje wkoło,
I księżyc na srebrne czoło
Czarną zapuszcza zaslone.
Smutek i sroga rozpacz przywała mię społem:
Okropność dla mnie wdziękiem, a łyz mym żywiołem;

O luby ojczę! Widzę twój cień drogi,
Błądzący po górach Nary:
Przybliż się! W odludne drogi
Pójdę, w okropne pieczary,
Pójdę, z tobą, ojczę miły,
W straszliwe groby, w ponure mogiły!...

Będę wśród ciemności nocy
Razem się z tobą błakała:
Weź mię ku swojej pomocy,
Przy tobie będę dość śmiała.

Ty znikasz, o ojczę luby!
Gdzież-eś, Sario ulubiony?
Które trzymają cię strony?
Może-ś jeszcze uszedł zguby?
Może-ś...

Łzy rześiste przytłumiły jej słowa. Upadła bez przytomności na ziemię, nieznana jakaś słabość członki jej objęła, i wkrótce sen przyjemny zamknął jej powieki.

Zeledwo sen przyjemny rozlał słodkie odrętwienia na skolatane cierpieniem i żalem zmysły Karylli, kochany Sario, którego pamięć była jedyną życia jej duszą, staje przed nią, uchyla suknię, pokazuje przebite dwoma strzałami i razami sztyletów piersi, głowę zbitą i krwią oblaną, i tak do niej przemawia: „Poległem z ręki przewrotnych twych braci,

ciało moje zagrzebione jest na górze odległej; wstań i idź za mną!" Nieszczęśliwa Karylla, nie przebudzając się ze snu, powstaje z ziemi i, nadziemską jakąś wiedzioną siłą, mniema iść za przewodnictwem ulubionego cienia. Jak okropna scena! Wpółśród ciemności nocy, sama nie czując tego, przebywa nędzny mostek, z gałęzi drzew zbudowany na rzeczce, wpadającej do Nary, drze się na wierzchołki gór urwistych pomiędzy drzewami i cierniami, wyciąga drżącą rękę ku cieniowi, za którą, jak się jej zdawało, wiodła ją mara, kaleczy piękne nogi, które krew jej własna czerwieni — nareszcie przybywa na wierzchołek góry, gdzie mara znika, a Karylla upada na ziemię i, snem twardym ujęta, zostaje tak aż do wschodu słońca.

Już lesiste wierzchołki gór Narskich rozlegały się głosem rozlicznego ptactwa, gdy Karylla przebudziła się ze snu. Nie mogła pojąć, gdzie się znajduje i jak się na to miejsce dostała; lecz, przywołując na pamięć okropne widzenie we śnie, zaczyna się przekonywać o istotnej prawdzie. Na samo wspomnienie śmierci Sarii ły się jej rzuciły potokiem z oczu, lecz, chcąc się zapewnić dokładniej, miarkuje miejsce, w którym widziała we śnie wstępujący cień kochanka do ziemi, poznaje niedawno naruszaną ziemię, rozgrzebuje ją własnymi rękami i znajduje... O smutny widoku! Poznaje prawdziwe nieszczęście swoje; rzuca się na zimne zwłoki kochanka, oblewa je łzami i przez czas niejaki bez pamięci zostaje; na koniec wygrzebuje myśliwski nóż przy nim i, okropnem oblakaniem uniesiona, ucina głowę zabitemu pasterzowi i, zawinawszy ją w odzienie swoje, żegna czule pozostające zwłoki, przysypuje piaskiem i wraca z drogim ciężarem do domu.

Nie znajdując rano w domu Karylli, przełęknieni bracia przebiegają wzdłuż i poprzek dolinę, poruszają wszystkich mieszkańców, którym to dobre dziewczę było ulubione: jedni się rozsypują po górach, drudzy biegają wzdłuż Nary, upatrząc wszędzie Karylli i bojąc się jej nieszczęśliwej rozpaczy. Tymczasem niespostrzeżona Karylla przybywa do domu, składa głowę kochanka w naczyniu, nasypuje na nią ziemię i młody krzak róży, tuż przy domu rosnący, przesadza do smutnego wazonu. Po uspokojeniu rozruchu wszyscy cieszą się z jej przybycia, wypytują się, i starają się rozweselić; nieszczęśliwa Karylla, karmiąc w piersiach okropność i straszliwe oblakanie, gorzko się do nich uśmiecha i stroni od braci i domowych. Smutna roślina, polewana jej łzami.

w dzień i w nocy zostawała przy niej; wkrótce rozwinęły się najpiękniejsze kwiaty. Karylla zdawała się w nich upatrywać wdziek, słodycz, niewinność i nawet rysy nieszczęśliwego młodzieńca. Twarz jej straciła tę rozkoszną świeżość, która ją zdobiła. oczy ten ogień, a umysł wesołość przyjemną. Ciało jej niszczało widocznie, a sama zdawała się być żyjącą marą. Podejrzliwi bracia, widząc tak wielkie przywiązanie Karylli do tej smutnej rośliny, z której nigdy oka nie spuszczała, w czasie jej snu porwali ukochany wazon i, rozłukłszy go, zadrżeli na widok okropnej swej zbrodni. Nie chcąc jednak dać najmniejszego pozoru Karylli, nieszczęśliwe naczynie wrzucili do Nary. Przebudziwszy się ze snu. Karylla nie znajduje ulubionej róży; napróżno szuka jej wszędzie, pyta się braci i domowych, nakoniec przekonywa siebie, że i tę ostatnią pociechę wydarli jej okrutni Sarii mordercy. Smutny jej stan pogarszał się codziennie, nakoniec krótkie, aż nadto nieszczęśliwe życie skończyła ta nędzna gwałtownej miłości ofiara. Śmierć jej wycisnęła lzy wszystkim mieszkańcom doliny. Pamiątka tego smutnego zdarzenia dochowana została w litewskiej ludu prostego pieśni, zaczynającej się od tych wyrazów:

Karylla piękna, Narskich łąk królowa.

KOGO WYBRAĆ ZA MĘŻA?

PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO.

— Jaka jest różnica między miłością poety i miłością filozofa? — rzekła młodzianka pani, wlepiając oczy w swą garderobianę z wyrazem niepewności.

— Lepiej mi prosto powiedz — odpowiedziała ta (a była to kobieta stara i przebiegła) — kogo panna sama wolisz: czy poetę Iwana, czy filozofa Wasyla?

— Ach! — rzekła, wzdychając, pani. — Obydwaj są chłopcy poczciwi, obaj zakochani we mnie, ale, ile razy się namyślam, zdaje mi się, że filozof silniej mnie kocha. Czy nie uważałaś, jak się on rumieni, kiedy mnie zobaczy? Ostatnią razą weszłam do salonu — rozprawiał o rzeczach niesłychanie ważnych i głębokich, o skończoności i nieskończoności, o kołach i kątach i Bóg wie, o czem jeszcze, czego ci powiedzieć nie jestem w stanie. Wyobraź sobie filozofa w najwyższym ogniu dowodzeń — a mimo to, kiedy mnie zobaczył, zapomniał końca wszystkich argumentów. Czoło jego, które dotąd było okryte obłokami i mgłą filozofii, rozjaśniło się od razu, a lica pokryły się barwą róż. Powiedział mi, że podobny jest do książki do nabożeństwa, która, choć poważna, powinna być oprawna w czerwony safjan, aby mogła znaleźć miejsce w buduarze damskim.

— Przewybornie! — krzyknęła staruszka. — Bierz tę książkę safianową, idź za filozofa Wasyla i przestań męczyć ludzi twojem wahaniem się bez końca!

— Ależ, moja kochana — krzyknęła piękna niezdecydowana pani — cóż się stanie z moim biednym poetą? Ach, gdybyś wiedziała, jakie on składa śliczne akrostychy, ody, bajki, a wszystkie na moje pochwały i, co większa, te wszystkie wiersze drukuje w dzienniku. Z jaką on niecierpliwością oczekiwał wyjścia tej gazety, z jakim upojeniem i radością przyniósł mi pierwszy arkusz, świeżo odbity i wilgotny jesz-

cze, z jaką niecierpliwością rozcinał stronicę palcem, nie mając noża pod ręką! Co tam były za wspaniałe rzeczy! Wyobraź sobie... były tam gwiazdy, palmy, obrazy, ideały! Ale ty tego wszystkiego nie rozumiesz!... Wiedz tylko, że widziałam tam moje imię, drukowane wielkimi literami. Córką sprawnika i wdowa po jenerale zżółkły z zazdrości. Moje imię w dzienniku!

— To prawda! — mruknęła garderobiana. — Ja nie cierpię tej wdowy po jenerale, która rozpowiada wszędzie, że jest młodszą odemnie. Ach, gdyby twój poeta mógł to zrobić, żeby ta jenerałowa pękła z zazdrości! Idź za poetę!

— Ależ-bo powiadają — westchnęła pani, — że poeci są niestali. Ja sama wiem, że Iwan już nie dla jednej damy pisał akrostychy i bajki. Co zaś do filozofa, jego serca jestem pewna. Prócz bibliotek nie chodzi on nigdzie, mówi z zapamiętaniem tylko o książkach. I, jeżeli po swoim ożenieniu się mógłby się w czym zakochać, to tylko w kole, bo słyszałam, jak mówił, że niema nic piękniejszego i doskonalszego na świecie, niż koło. Trudno być zazdrosną o figurę geometryczną; niestrasza to rywalka.

— Masz rację, moja droga, masz wielką rację bać się męża niestalego. Mój nieboszczyk (niech Bóg świeci nad jego duszą) żalił się na mnie nieraz, kiedy-m mu od czasu do czasu dobre boki kijem obila, choć nieraz zasłużył na to za swoją niewierność małżeńską. Biedny mój kapral! Ja myślę, że on był także poetą, bo często śpiewał tę piosenkę: „*Gde gusary przeżnych let*“ i to go utrzymywało niezawodnie w hultajstwie. Ja jestem za filozofem.

— Ależ — rzekła pani — poeta mi poprzysiągł na wszystkie bóstwa Tenaru, że mi będzie wiernym. Plakałam, patrzył na mnie i ze łzami w oczach składał mi przysięgę; przyznam ci się, że mnie mocno poruszył. Filozofa nie widziałam nigdy płaczącego. Ja wołałabym męża czulego. Ile razy mi się zechce płakać, niech i mąż mój płacze, a gdyby mi się podobało zemdleć, mój poeta umarłby z rozpacz, gdy tymczasem filozof kazałby szukać doktora.

— Dobrze mówisz! Przewybornie! — zawołała garderobiana, klaszcząc w ręce. — Mąż nieczuły to istny potwór! Ja sama próbowałam zemdleć dwa razy; wiesz, co zrobił wtedy ten kapral, mój mąż? Zwinął dudkę z papieru, zapalił ją z jednego końca, a drugi wziął w usta i dmuchnął mi w nos tyle dymu, że umarłego-by wskrzesił. A lotr!

Niegodziwiec niewierny! Myślę, że on musiał być filozofem cokolwiek. Dobrze rozważywszy rzeczy, powiem ci, że jestem za poetą.

— Ach, gdyby on tylko nie był kapryśnym — przerwała panienka — ale co chwila zmienia humor. Krytykuje czasem moją toaletę, szydzi z moich wyrażań, oskarża mnie o okrucieństwo, o niestalość, traktuje mię surowo — ach, mój Boże, jak on mi bywa nieznośnym! Wtedy zwracam się do filozofa: zawsze spokojny, zadowolony, niepodejrzliwy. A kiedy ja siedzę zamyślona nad dziwactwami poety, filozof jest pewny, że mój duch zagroził po same uszy w tezach, które on przedemną rozwija. Nigdy on mnie nie nazwał ani okrutną, ani niestalą. Ostatnią razą powiedział mi, że jestem jego *absolutum*, co według mnie musi znaczyć, że będę panią absolutną jego losu.

— *Panią absolutną!* Mój Boże, to już niema co i gadać więcej! Bierz filozofa i to dzisiaj zaraz, każ go natychmiast przywołać. Ach, co za szkoda, że mój kapral nie był filozofem!

— A jednakże ja nie mogę zaprzeczyć — przerwała panienka — że poeta ma bardzo wielkie zalety: ma on małą wioseczkę, z niezłemi dochodami, lubi życie wesołe, pohulać z przyjaciółmi. Mogę być pewną, że w domu jego nudów nie będzie.

— Było-ż mi to powiedzieć pierwiej! — krzyknęła stara garderobiana. — Taki sposób życia i mnie się bardzo podoba; śmiało możesz oddać swoją rękę poecie, a mnie zrobicie intendentką w waszym majątku na wsi.

— Niedługoby to jednak trwało — rzekło młode dziewczę kręcąc główką smutnie. — Lubi on rozrzucać pieniądze i strwoni wszystko, co ma. Marnotrawstwo, to bardzo niebezpieczna rzecz, bo jakże to jest szkaradne ubóstwo! Ach, filozof jest bardziej oględny, bardzo rządny i oszczędny nadzwyczaj.

— To mi już więcej o poecie nie gadaj! Będziesz żoną filozofa i koniec.

— Ależ — przerwała nasza heroina — jeżeli-m ci powiedziałam, że filozof jest oszczędniejszym, to zapomniałam dodać, że nieborak nie ma co oszczędzać: on dziś już jest tak biednym, jak poeta pewno wkrótce zostanie.

— Jeżeli tak — odezwała się z największą powagą garderobiana — to ci radzę wziąć za męża naszego starego hore-

dnicznego Borysa. Prawda, że on nigdy nie gada ani o *ideale*, ani o *absolutum*, ale zato ma wspaniałą kamienicę o trzech piętrach w Moskwie, na Twerskiej ulicy, i do tego dwadzieścia tysięcy rubli i pięćdziesiąt kopiejek czystego dochodu.

Z rozmowy tej, prowadzonej wieczorem na progu jednego domu, wypada prawie samo przez się rozwiązanie; chciałem rzecz na tem zakończyć, ale, widząc, jak ważną jest sprawa, kiedy chodzi o poetów i filozofów, a przytem ośmielony cierpliwością mojej publiczności, považam się dodać od siebie jeszcze słów kilka.

Przebiegając dzieje rozkochanych poetów i filozofów, zauważyłem, że wielka jest różnica postępowania w takich rzeczach obu tych gatunków ludzi. Wszyscy prawie poeci opisywali historje swojej miłości, wspominając nawet drobne szczegóły, tyżące się ich kochanek — ale ciż sami, skoro się ożenią, nie mówią ani słowa o swoim małżeństwie i milczą bardzo skromnie o swoich żonach. Przeciwnie dzieje się z filozofami; historia ich miłostek ginie dla potomności, ale zato historia ich żon bywa rozgłośniejsza, niżby tego sobie życzyć należało. Wiecie doskonale, jak się umizgali Owidjusz, Petrarca i inni; dosyć jest stworzyć „Sztukę kochania” albo sonety o Laurze lub Glycerze: można się tam wszystkiego dowiedzieć. Jak się brał do rzeczy Sokrates, aby pozyskać serce Ksantypy, o tem nikt nic nie wie — ale zato w każdym zbiorze anegdot napotkać można tysiące sarkazmów o tej nieszczęśliwej małżonce.

Przychodzę zatem do tego wniosku, że poeci po ślubie stają się filozofami, filozofowie po swoim ożenieniu się puszczają się na poezję satyryczną. Damom pozostaje rzecz do rozstrzygnięcia, który z tych dwóch systematów bardziej się im podoba.

Co jest jednakże wspólnego w losach tych dwóch rodzajów ludzi, filozofów i poetów, to samo rozwiązanie ostateczne ich miłości. Brak im najważniejszej z zalet; zgadujecie, że mówię o pieniądzach. Poeta, który pisał i wdzieczył się przez cały czas swej młodości, puka nareszcie do drzwi swojej ulubionej i mówi, jak konik polny La Fontaina: „Śpiewałem przez całe lato”. „Potańcuj-że sobie teraz” — odpowiada ogłędna na przyszłość mrówka.

Filozofa najczęściej tenże sam los spotyka, a jeżeli mu się uda pozyskać serce ukochanej piękności, czy bywa szczęśliwym? Posłuchajmy Swifta.

Otóż dziekan Swift porównywa głowę filozofa z tem narzędziem, które poeta Sina w domu obłąkanych przyciska do swych piersi, to jest z miotłą. „Głowa filozofa, powiada on, jest zielona, dopóki jest młoda; chce ona świat oczyścić. Przebiega ona wszystkie pokoje natury i wszystkie kąty stworzenia, jak miotła. Z czasem miotła ta traci swój liść, staje się lysą — wtedy stara baba obraca nią czas jakiś, jak jej się podoba, nim ją wyrzuci oknem na kupę błota i śmieci“.

Kto tedy lepszy, poeta czy filozof? Niechaj to damy rozstrzygną, ale, z przeproszeniem jednych i drugich, ja tymczasem wotuję za horodniczym Borysem, który ma wielką kamienicę i czystego dochodu dwadzieścia tysięcy rubli i pięćdziesiąt kopiejek.

TYDZIEŃ MIODOWY REKRUTA.

Zazdroszczę Attyli, który stoczył tysiąc bitew, a w tysiącnej jeszcze czuł w sobie to, co nazywał *gaudia certaminum*: rozkosz rzezi. Oj, był to krwawy rozpustnik ten stary hetman! Co do mnie, piastującego stopień sierżanta lekkiej artylerji, wyznaję, że naprawdę zakochany byłem w wojence, ale tylko przez pierwszy tydzień mojego wojskowego zawodu i że w rozkoszy Attyli raz tylko jeden zasmakowałem. Z tej to przyczyny nigdy już nie wyjdzie mi z pamięci pierwszy miodowy tydzień i pierwsza bitwa.

Pierwsza bitwa ma szczególniejsze podobieństwo do pierwszej miłości. Ileż nadziei, ile złudzeń! Przed tą uroczą akcją, która rozstrzyga o losie narodów, lada rekrut czuje się powołanym do odegrania co najmniej roli... jakiego bohatera historii lub romansu.

Przychodzi wreszcie do rozprawy: stajesz do niej z niecierpliwością i pewnym niepokojem, doznając to trwogi śmiertelnej, to znowu szalonej radości; strach cię przeszywa, to znowu podnosi cię pycha triumfatora. W jednej godzinie przechodzisz przez tłumy wzruszeń i zbierasz wspomnienia na całe życie! Lecz, aby to czuć z całą mocą, potrzeba mieć serce dziewicze, serce rekruckie.

Powiedział ktoś, że każdy człowiek może skomponować dobry romans, opowiadając tylko po prostu historję swej pierwszej miłości. To spostrzeżenie zachęciło mię do opisanja pierwszej bitwy, w której uczestniczyłem. Trzeba wiedzieć, że ta bitwa jest tylko epizodem sławnej wojny, że w niej odnieśliśmy świetne zwycięstwo i że w swoim czasie zjednała nam podziw ludów europejskich. Wprawdzie dawne to czasy, bo ludy dobrze już zapomniały i o naszych klęskach, i o naszych triumfach. Mimo to żołnierz polski nigdy nie zapomni o bitwie pod Stoczkiem.

Po rewolucji 29 listopada postanowiłem wstąpić w szeregi i rozmyślałem, czy do piechoty, czy do jazdy. Ażeby zro-

bić stanowczy wybór, przebiegałem ulicę Warszawy, przypatrując się bacznie mundurom różnych pułków. Najprzód zatrzymałem się przed bataljonem grenadierów, którzy maszerowali w ściśniętych szeregach, milcząc, w porządku i poważnie. Wszystko wąsacze, z szewronami na ramionach. Były to resztki legionów Napoleońskich. Kiedy przechodzili, ustępowano im z uszanowaniem i szeptano w tłumie: „*Te mi żołnierze! To nasi obrońcy!*“ „*Zazdroszczę im — pomyślałem.* — *Piękna to rzecz być grenadjerem!*“ I zbliżyłem się do oddziału, a zajmawszy miejsce obok dobosza, maszerowałem krokiem grenaderskim, upatrując komendanta, któremu chciałem ofiarować swoje służby.

Wtem, na drugim końcu ulicy, ukazał mi się nowy meteor wojskowy. Był to krakus na białym koniu, w białej sukmance, w czerwonej czapeczce z białym piórkiem, który, jak labędź, przerywał czarne fale mieszczuchów. Ślicznie kierował koniem: pieszych witał skinieniem głowy, z kawalerzystami ścisnął się za ręce, a pięknym damom, stojącym w oknach, posyłał wdzięczne pocałunki. Oczy wszystkie zwróciły się ku niemu: mężczyźni klaskali, kobiety uśmiechały się w milczeniu, a piękny krakus stał się bożyszczem chwili.

Przyszło mi zaraz na myśl, że mundur krakusa będzie stosowniejszy dla mego wieku i wzrostu. A tak objawiło mi się moje właściwe powołanie: „*Bóg mię stworzył krakusem!*“

Zwróciłem się więc w stronę koszar jazdy, ale w połowie drogi wpadłem w niezmierny tłum, który mię porwał ze sobą i uniósł ku rogatkom. Lud cisnął się na spotkanie nowo nadciągających szeregów. Osobliwsza figura jechała na przodzie: był to stary kapucyn w habitie i na koniu: w jednej ręce miał lancę, a drugą błogosławił krzyżem lud, który mu nogi całował. Za kapucynem postępowało tysiąc strzelców z lasów augustowskich. Mieli przewieszone dubelówki i wielkie torby borsucze z pazurami i wyszczerzonymi zębami, biejącymi na zielonych kurtkach. Drugi tysiąc wieśniaków, uzbrojonych w krzywe kosi i siekiery, zamykał pochód. Nigdy wejście najpiękniejszych pułków, nawet wejście księcia Józefa na czele zwycięskich legionów, nie wzbudziło takiego zapалу, jak ten, w którym Warszawianie witali torby borsucze i łyczane łapcie. Nie były to już oklaski ani uśmiechy, ale krzyki, grzmiące „*Hurra!*“ i błogosławieństwa, pomieszane z głośnym płaczem. Lud bowiem dziwnym swoim

instynktem umiał uchwycić wzniosłą i piękną stronę obrazu. Na widok tych kapłanów, tych wieśniaków, co porzucili cele klasztorne i swoje bory, ażeby się bić z wrogiem ojczyzny, lud zrozumiał całą grozę niebezpieczeństwa, oraz pojął z całą ufnością, że to jedyny środek obrony.

Wzięła mnie nagle pokusa porwać natychmiast za kosę lub dubeltówkę i stanąć do szeregu z chłopami, by z nimi podzielać triumfalne wejście do stolicy. Ale jakże to zrobić? Jak nadać sobie ruchy kosyniera mazowieckiego, zuchowate i wyzywające, lub ponury i dziki wyraz strzelca z nad Niemna? Jak wyrównać im wzrostem i szerokością pleców? Wśród tych olbrzymów wyglądałbym, jak królik między wilkami.

Cóż więc pocznę ze sobą? Czy mam być krakusem, czy grenadjerem? Niepewność ta dużo mnie kosztowała.

Znajomy mi pułkownik spotkał się ze mną w przecho-dzie i, klepiąc mnie po ramieniu, rzekł:

— Dowodzę oddziałem partyzantów; część moich ludzi wyszła już w pole, ja sam dziś wyruszam z Warszawy. Potrzebuję kanonierów; może wiesz, gdzie ich znaleźć?

— Wiem o jednym — odrzekłem, przybierając postawę wojskową. — Potrzebujesz kanoniera, oto go masz!

— Zgoda! — rzekł pułkownik. — Naciągaj mundur i staw się u mnie dziś wieczorem punkt o dziewiątej. Rozumiesz?

W taki sposób werbowano żołnierzy w czasie naszego powstania.

Tegoż dnia o jedenastej w nocy maszerowałem umundurowany przy mojej armacie.

W ciągu marszu ćwiczyliśmy się w użyciu tej broni, a ja tyle dokładałem pilności, że po trzech dniach mianowano mnie sierżantem i pod moje rozkazy oddano armatę. Zawistni utrzymywali, że stopień swój zawdzięczałem osobliwym względom pułkownika.

Bądź co bądź, sam się zdziwiłem, zmieszałem i niemal zawstydzilem z powodu tak nagłego awansu. Zawróciło mi się w głowie i dopiero po kilku godzinach osłupienia zacząłem uczuwać wpływ tej nowej godności. Mimowolnie przybrałem minę marsową i poważniejszą; wyciągnawszy uroczyste prawą rękę, położyłem ją na mojej własności, na wylocie armaty. „Ten kawalek bronzu — myślałem sobie — będzie filarem w świątyni mojej sławy, będzie pierwszym stopniem w rycerskim zawodzie, a może... i na tron mię zawiedzie!

Dobrze wycelowane działo rozstrzyga nieraz los wojny. A Napoleon od czego zaczął, jeżeli nie od stopnia kanoniera?" Pelen tych marzeń, zakochałem się w swojej spiżowej armacie, jak w pannie, i odtąd zawsze byłem przy niej. Badałem jej wady i przymioty, roztrząsałem charakter i poznałem najdokładniej cały jej skład i naturę, zarówno fizyczną, jak moralną. Tak dobrze wbiła mi się w pamięć, że zrobiłem z pamięci jej portret. Dźwięk jej głosu znałem tak dobrze, że mógłbym być go rozróżnić wśród huku najżywszej kanonady, choćby pod Lipskiem lub Ostrołęką. Kochana moja armatko! Cóż stało się z tobą? W czyjeś ręce popadła? Zapewne nikt cię tak nie popieści, jak ja cię pieściłem. Ta myśl mię jedynie pociesza. Była to wprawdzie niewielka ośmiofuntówka, ale dla mnie była ogromną, bo brzemenna całą moją przyszłością. Zresztą dobrze osadzona, łatwa do manewrowania i dziwnie celna.

Cały dzień ledwo mi wystarczył na spełnienie obowiązków przy kochanej armatce, a i przez noc nie przestawałem myśleć o tym przedmiocie mojej miłości. I tak jednej nocy śni mi się bitwa, a na przeciw siebie kogoż widzę? Feldmarszałka Dybicza! Zaraz biorę go na cel — paf! — i moja kula przecina go na dwie połowy. Puszczam się, aby oderwać mu głowę i jeszcze ciepłą zanieść do naczelnego wodza, księcia Radziwiłła, ale trup Dybicza tak zawzięcie się bronił, że aż wybiłem się ze snu; w rzeczywistości, zamiast głowy moskiewskiego wodza, trzymałem głowę śpiącego obok mnie kanoniera... Innej nocy gorsza rzecz mi się zdarzyła: śniłem, że jazda moskiewska wpadła na nas niespodziewanie i mnie naprzód zabiło, potem wycięto moich kanonierów, a nareszcie kirasjer moskiewski siadł na mojej armacie, jak na koniu, i zaczął ją zagważdzać, spoglądając na mnie pogardliwym okiem. Wtedy uczulem wszystkie mężnie meża Lukrecji i mężnie ojca Wirginji! Chociaż byłem już trupem zimnym i skostniałym, jednak dobywałem wszystkich sił, aby dać znak życia: pasując się ze sobą, krzyknąłem nareszcie tak głośno, że i sam się przebudziłem i zaalarmowałem cały obóz. Zerwawszy się na nogi — a właśnie dzień poczyniło — szukam oczyma mojej armaty i widzę z niemłą radością, że jest, że spoczywa wolna i spokojna na swojej lawecie. Otwarta jej paszcza zdawała się wciągać chłodek poranka, a lśniąca powierzchnia odbijała pierwsze promienie słońca. Położyłem się znowu na mokrej ziemi, ale tym razem, przez

ostrożność, trzymałem ręką za sprychę, ażeby bronić mego skarbu przeciw rzeczywistej lub sennej napaści.

Tak przeszedł cały tydzień, mój pierwszy tydzień po zaślubieniu pięknej ośmiofuntówki, tydzień miodowy sierżanta artylerji, najszczęśliwszy tydzień w mojem życiu. Każdą chwilę miałem zajętą, byłem przekonany, że już osiągnąłem cel mego bytu na świecie; dusza moja przeszła w zupełności w ukochaną armatkę.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej do brzegów Wisły; lody puściły już w wielu miejscach i widać było tu i ówdzie występującą wodę. Pułkownik nasz z tyką w rękę pierwszy puścił się na lód, brodząc w wodzie po kolana, potem rozkazał nam iść za sobą. Iść za nim i to z naszymi armatami, po tak słabym lodzie? Na ten rozkaz zbladłem, jak śmierć, cała bowiem moja przyszłość wojenna mogła utonąć. Nakoniec przeszliśmy szczęśliwie i na drugim brzegu stanęliśmy z okrzykiem: „Niech żyje Polska!“

Tego samego wieczora nastąpiło połączenie się z korpusem, wysłanym poprzednio z Warszawy. Oczekiwał on nas niecierpliwie; młodzi bowiem żołnierze wysokie mają wyobrażenie o potędze artylerji, a bardzo ich niepokoiło, że w przededniu spodziewanej bitwy nie mieli dział. Posłyszawszy turkot kół armatnich, cały obóz nie posiadał się z radości. „Nasza artylerja nadciąga! Niech żyje artylerja!“ — wołali ze wszystkich stron, wybiegli na nasze spotkanie i postawili nas w środku obozu.

My także z zapalem powitaliśmy naszych towarzyszy. Dotąd odbywaliśmy marsze w osamotnieniu — teraz znaleźliśmy się w tłumie dzielnych żołnierzy, których liczba na oko wydawała się znaczną. To podniosło naszą ufność. Wszystkiego jednak nie było więcej nad dwanaście szwadronów, zajmujących szeroką przestrzeń. Dumnie spoglądaliśmy na las zatkniętych lanc, których nowe chorągiewki iskrzyły się barwami, nie znającemi jeszcze krwi i kurzu. Po wesolej i hucznej wieczery pokładliśmy się spać, kołysani dźwiękami muzyki wojskowej i śpiewem mazurka.

O świcie, kiedy korpusik nasz wchodził do wsi, doleciały nas pomieszane krzyki. Zatrzymujemy się; wysłano na zwiady i okazało się, że to okrzyki zwycięstwa. Nasza bowiem awangarda pojmała kilkudziesięciu kozaków. Pierwszy to triumf! Trzeba było widzieć, jak cieszyliśmy się nimi. Kozacy ci, brodzące rozbrojeni, szli piechotą ze spuszczone

głowami i kwaśną miną. W miarę, jak przechodzili koło nas, nasi młodzi żołnierze przedrwiwali z nich, kłęli lub grozili. I mnie brała chętka, by robić to samo, ale obowiązek, przywiązany do stopnia, nie pozwalał na to, więc, surowo ich gromiąc, rzekłem: „Polacy! Szanujcie nieszczęście! Wątpliwy bywa los wojny! Śmierć naszym wrogom! Litość nad zwyciężonymi! Niech żyje Polska!”

Żołnierze uspokoiili się, rażeni, jak płorunem, wspaniałością mych uczuć i sentencjonalną wymową. Od niejakiego czasu zwrócił moją uwagę pewien stary kanonier, jadący obok mnie, który ciągle się wspinał na strzemionach, zadzierał głowę i wyciągał szyję ponad ramiona swych towarzyszy.

— Czego tak szukasz wzrokiem, Mateuszu?

— To te bestje, panie sierżancie, niech ich tam kaci porwą!... — I wskazał palcem na wzgórze, rozciągające się przed nami. Ujrzałem wtenczas, że coś się czerniło na szczycie wzgórza. Były-ż to krzaki, czy kaszkiety piechoty moskiewskiej? Nie miałem czasu przypatrywać się dłużej, albowiem nadbiegli adjutanci, wołając z całej siły: „Artylerja naprzód! Stawać do pozycji!” Ruszyliśmy, co koń wyskoczy. Padł strzał armatni i kula, zabijwszy nam konia, osypała nas ziemią i poleciała dalej, odbijając się. Zajęliśmy pagórek wprost nieprzyjaciela, który podwoił ogień.

Szeroka płaszczyna, obwiedziona krzakami i borem, rozciągała się przed nami. W środku niej, na wzgórk, zatoczyli Moskale baterję dwunastu dział ciężkiego kalibru, które nas osypywały kulami i granatami. Za baterją widać było gęste szeregi jazdy, stojącej nieruchomie. Nasza jazda podobnie stała spokojnie, zostawiając czas działania artylerji.

Zauważyłem, że żołnierze różnej broni zachowują podczas bitwy postawę i pewien właściwy sobie wyraz twarzy. I tak artylerzysta nie ma kawaleryjskiej rzutności ani niecierpliwości piechura, lecz, baczną na komendę, szybki i dokładny w każdym poruszeniu, zdaje się zachowywać zimną krew, chociaż oczy jego, dymem gryzione, krwią zaszele, zmarszczone brwi, twarz blada, usta ściśnięte, mowa krótka i twarda, wyrażają tłumioną zawziętość i wściekłość.

Śród tego ognia, mimo że śmierć zmiatała głowy, nie przestano żartować; każdym razem, gdy kula odskakiwała, młodzi żołnierze nie omieszkiwali rozmawiać z nią i dawać jej rady. Gdy odbijającą się kulę można było widzieć z daleka, jak skakała po polu, gdy szła na bok, na lewo, wolano

za nią: „Gdzie lecis, ślepa! Bierz się na prawo!” — a jeżeli szła prosto, zachęcano ją: „Dobrze, dobrze!” — i tak rozmawiano z nią, dopóki nie wpadła w sam środek linii nieprzyjacielskiej. Wtedy dopiero dawano jej brawo.

Już nie wiem, ile godzin trwała ta kanonada. Chociaż gorączkowo uwijaliśmy się przy działach, jednak zabawka ta ciągnęła się za długo, abyśmy nie pragnęli nadejścia nocy. Artylerja rosyjska miała nad nami widoczną przewagę tak co do liczby, jak i co do kalibru dział. Ubito nam już kilku ludzi, wielu było ranionych, a wszyscy, lubo nadzwyczaj zmęczeni, byli jednak dobrej myśli i nikt ani myślał o odwrocie.

Naraz od lewej strony okropnie ryknęły działa. Moskale właśnie tam postawili nową baterję, którą nas ostrzeliwali z boku. Zwróciliśmy dwie nasze armatki przeciw tej nowej zaczepce, z którą trzeba było pogadać, lecz położenie nasze stawało się coraz przykrzejszem, bo sześciora połowami armatkami odpowiadać na dwadzieścia dział ciężkiego kalibru — to nie przelewki. Nasi żołnierze na widok tej nierówności sił zdawali się pomieszani. Już ruchy ich słabły, już wystrząsały nasze rzadziej się odzywały a nawet dykteryjki i zarciki jakoś ustaly.

Można sądzić, że nasz dowódca czekał na to, aż Moskale rozdziela swe siły, aby skorzystać z tej chwili i uderzyć na nich; tak przynajmniej przypuszczam, lubo nie kuszę się rozprawiać o planie bitwy. Tyle wiem, że w najkrytyczniejszej chwili usłyszeliśmy od lewej strony tętent konnicy, pędzącej galopem — i w kilka minut potem owa druga baterja umilkła, gdyż była zdobyta.

Nasz dowódca zawrócił i poskoczył ku głównej sile naszych szwadronów, wołając: „Naprzód klusem! Naprzód, wiara!” I cała nasza jazda, uszykowana w dwa szeregi, posunęła się, mijając naszą baterję. „Idą do szarży!” — wołali nasi kanonierzy — i zaraz zaprzestaliśmy strzelać. Jakież to widowie! Młodzi ulani, z zapalonym wzrokiem, rozognioną twarzą, rwali się niecierpliwie naprzód, ale, radzi nie radzi, musieli słuchać surowych rozkazów dowódcy, który ciągle powtarzał: „Klusem! Naprzód klusem!...” Widać było z ruchu chorągiewek, jak gorączkowo drgały ręce żołnierzy. Naconieć ozwały się trąby, zniżyły chorągiewki i już kopnięto się na nieprzyjaciela „Naprzód! Galopem! Naprzód, wiara!”

Popeździli! — Myśmy zostali przy naszych armatach, nie nie robiąc, a nawet nie nie myśląc. Artylerja, niedawno tak ruchliwa i hałaśliwa, wydawała się skamieniałą. Dusze nasze uleciały daleko i usiadły na ostrzach grotów ułańskich. Oto są już blisko Moskali! — Już moskiewskie szeregi uwijają się, aby ich przyjąć. Kanonierzy powychodzili na lawety, na jaszczyki, i patrzą w przestrzeń, podani naprzód, z głębi otwartą; a była taka cisza, że usłyszałbyś lot muchy. Każdy z nas czuł, że od tego starcia zawisł nasz los, los naszego wojska, może i ojczyzny! Była to chwila oczekiwania i strasznej niepewności; szczęściem trwała tylko kilka minut.

Nasi ułani starli się z Moskalami na wyżynie. Obie linje zetknęły się ze sobą i pomieszały. W całej tej masie zawrzało — i cała zniknęła, jak tuman kurzawy, pędzonej wiatrem.

Nie wiem, kto taki, lecz ktoś wśród nas krzyknął na całe gardło... Okrzyk ten przerwał grobową ciszę, ogłaszał bowiem zwycięstwo. Wszakże nikt mu nie wtórował, my bowiem, młodzi żołnierze, jeszcześmy nie rozumieli ani odgadywali skutku tej bitwy, a przytem lękaliśmy się oddawać przedwczesnej radości. „Poczekajmy — mówił ten i ów — dotąd niema nic pewnego, nic nie widać, wszyscy gdzieś się podzieli!...”

Nareszcie część tej masy, którą widzieliśmy, jak zginęła nam z oczu, zaczęła się ku nam zbliżać. Poznaliśmy naszych ułanów po barwach i po okrzyku wojennym: „Jeszcze Polska nie zginęła!...”

Już niema co wątpić, zwycięstwo przy nas! Zbliżająca się masa przedstawiała osobliwy widok. Widać w niej było mnóstwo pieszych żołnierzy rozmaitej broni, przytem furgony, jaszczyki, działa... Byli to jeńcy moskiewscy, zabrani z artylerji a całym taborem.

Nie potrafiłbym opisać naszej radości, tej szalonej radości. Jakto! Cała ich artylerja, ta potężna artylerja, w naszych rękach?! Rzuciliśmy się obces na te armaty, ściskając je, pieścąc się z niemi, a ja sam na chwilę zapomniałem o mojej kochance, ośmioletówce.

Piękne-ż to były te rosyjskie armaty, takie ogromne, nowe, doskonale umontowane i opatrzone we wszystko.

— Patrzone, panie sierżancie — wołał kanonier Mateusz — patrz, jakie czerwone, jakie błyszczące armaty mają te przekłete Moskale!

Zacząłem z rozkoszą głaskać ręką wypolerowaną powierzchnię spiżową, a wszyscy powtarzali chórem: „Ależ to się świecą te moskiewskie działa!” „A jaki kaliber!” — zauważył jeden kanonier. — „To mi to kaliber! To mi to pukawka!”

Zacząłem mierzyć wylot granatnika, a żołnierze powtarzali: „To nie żarty, taka paszcza!”

Potem, kiedyśmy zaczęli oglądać uprząż, znowu chórem wołali: Ależ to tęgie rzemienie mają te przekłete Moskale!”

Nie zgadnie nikt przecież, co nam sprawiło największą radość — oto ni mniej ni więcej, tylko zwykły owies, zabrany łupem. Nasza jazda nie miała już furazu, a Moskale mieli go pod dostatkiem; ich furgony, jaszczyki, lawety nawet pełne były owsa. Żołnierze rzucili się nań łapczywie, napełniając nim worki, ładownice, kieszenie i opowiadając, że nigdy jeszcze nie widzieli tak pięknego owsa.

Nadjechał wódz, i na jego widok zagrmiał okrzyk zapamiętany i uwielbienia. Widocznie bardzo był zmęczony, bo, choć dzień był chłodny, pot płynął z niego kroplami. Otoczyliśmy go gęstym tłumem. Śród ogólnego poruszenia i wybuchów radości on jeden był spokojny i milczący, choć widocznie wzruszony.

— Dzieci moje — rzekł do nas — przyrzekłem poprowadzić was na nieprzyjaciela, wy przyrzekliście pobić go, a tak i ja i wy dotrzyaliśmy słowa.

Taki był koniec pamiętnego dnia pod Stoczkiem. Z zapadającą nocą zaczęły się opowiadania przy obozowych ogniskach. Słuchaczów nie było, wszyscy bowiem mówili; wszyscy się dzielnie spisali w bitwie, wszyscy mieli dowcip — bo wszyscy byli szczęśliwi.

Jeżeli nadejdzie dla mnie ta błogosławiona godzina, że jeszcze będę mógł walczyć w obronie ojczyzny, widzieć armję moskiewską w popłochu, odszukać moją ukochaną ośmiofuntówkę i miotać z niej kule na złociste dachy stolicy carskiej — natenczas nazwę się prawdziwie szczęśliwym. A jednak nawet śród triumfów nie potrafiłbym uczuć tego, czegom doświadczał w pierwszej bitwie, w pamiętnej bitwie pod Stoczkiem.

Paryż, 1835.

URYWEK PAMIĘTNIKA POLKI.

W czasie, kiedy pierwszy raz zaczęłam coś myśleć o sobie, znalazłam się na pensji, miałam lat ośmnaście. Wspominałam, że mnie przywieziono ze dworu wielkiego od matki, brata Aleksandra. Od tego przyjazdu żyłyśmy na pensji w ciągłych strachach. Było to w czasie rewolucji, to jest przyjechałam na pensję w tym czasie, a potem żadnej wiadomości z domu. Na pensji co dzień płacz; odbierano wiadomość o śmierciach rodziców i braci i krewnych. Co dzień modlitwy, nowenny. Leżałyśmy krzyżem często. Metresa we łzach ciągle, a jak pytałam o nowiny z domu, prawie mnie nie słyszała. Ah! módlmy się duszko, Dembiński żyje, Francuzi idą i tem podobnie. Nie zajmowano się tam ani naukami, ani nawet pisaniem. Słowem nie nauczyłam się pisać przez rok na pensji. Nareszcie przyjechał pojazd, wsadzono mnie, pani podkomorzyna, krewna odwiozła do domu. Przez całą drogę płakała. Nic od niej nie dowiedziałam się o rodzinie, tylko mi opowiadała, że mąż jej zabity, a tak żałośnie, że ja też z nią płakałam i dotąd pamiętam szczegóły tej śmierci. W domu wpadłam w inne towarzystwo. Przypomniał mi się jakiś czas, widziałam ciągle rozruch, sprowadzano konie, uzbrajano się, wszyscy byli zajęci wojną. Teraz coś podobnego, mnóstwo mężczyzn, mowa o wojnach jeszcze burzliwsza, ale wszyscy smutni. Było to po rewolucji. Zjeżdżali się do nas, żeby się zobaczyć, żeby sobie przypomnieć wojnę. Gadano też, czego pierwsi nie było, o Sybirze, o dekretach, o wywożeniach. Siedziałam oślepiała. Od kilku już lat byłam sierotą, dawniej ojciec odumarł mnie, nie pamiętałam go. Matka umarła przed moim wyjazdem na pensję. Brat był najmilszy i jedyny mój towarzysz dzieciństwa. Adolf, kiedyś jechała do domu, nie myślałam tylko o nim: „A gdzie braciszek, wołałam, a Adolcio!“ „Chory, ranny, Panienko“. — „Ale gdzież?“ „O! daleko, chory mocno“. — Ciągłe się dopytywałam, próżno. Na końcu, moja pokojowa, moja towarzyszka od dzieciństwa.

Ludwisia, wpadła raz blada i zanosząca się od płaczu. — „Co tobie? co to jest?“ — Nie odpowiada. Nie wiem, jak odgadłam: „Ach Adolcio umarł!“ Na to Ludwisia padłszy mi do nóg zemdląła. Już wiedziałam. W kilka dni potem przyszedł do mego pokoju pan Michał, przyjaciel mego brata. Przypominałam, że go dawniej widywałam w domu z bratem. Przypomniałam to w tej chwili, bo, już od tygodnia spotykając go prawie codziennie, wcale go sobie nie przypominałam. Smutniejszy jeszcze jak Ludwisia, blady, prawie czarny. Pani, panno Zuzanno, ja byłem, ja byłem przy nim, ja to tobie wszystko opowiem, tylko słuchaj, i ciągle powtarzał, że wszystko opowie, ale prócz płaczu a raczej ryku nic mi nie powiedział. Po dwóch dniach znów przyszedł opowiadać i odszedł w szlochach. Potem z boku dowiedziałam się, że Adolfa rannego on pan Michał także bardzo ranny uwięził z pola bitwy do wsi, gdzie umarł. Długo to trwało, że jak spotkał się z panem Michałem, ja zaczynałam płakać a on błędnąć i czernieć, i na tem się skończyła rozmowa o bracie moim.

Byłam tedy samiutka w domu z babką moją matczyną. Babka, chora od dawna, mieszkała na górze dla lepszego powietrza. Ode dnia na dzień obiecywała ozdrowieć i zejść na dół. Krzesło jej zawsze stawiano u stołu, ale nie schodziła, i nie było nadziei, żeby zeszła na dół. Ja tedy sama z Ludwisią siedziałyśmy u stołu wśród kilkunastu mężczyzn a czasem kilkunastu kobiet. Nigdy tam nic nie słyszałam nieprzyzwoitego, tylko głośna zbyt rozmowa, a prawdę mówiąc krzyk bardzo mię trzymał i straszył, po mojej cichej pensji i cichem dzieciństwie; najkrzykliwszy był wśród nich pan Michał.

Pan Michał u nas prawie zawsze mieszkał. On pomagał babuni prowadzić interesy. Klócił się z ekonomem, komisarzem, odprawiał sługi, słowem jak pan. Nazywali go wszyscy paniczem. Zawsze go było słyhać na dziedzińcu, na wielkie moje utrapienie. Widziałam nieraz, że bił ludzi. Coraz to bardziej stawał się mnie nieznośnym. Mimo to lubili go wszyscy we dworze. Wszystko się koło niego kręciło i zasługiwało się jemu. Najbardziej go lubiły kobiety dworskie a między niemi jeszcze z najbardziej najbardziej moja Ludwisia. W ustawicznych podziwieniach. „Panienko! Panienko! Przybiegam. Panicz już wjechał! Z polowania jada. Co oni tam polowali. To panicz wszystko spoliwał. Patrz no panienka, jaki to konik. To trzeba panicza, żeby tak jeździć,

Nie odchodźże pani, to on umyślnie tu skacze". I znowu: — Czy pani wiesz nowinę, czy pani wiesz, że pułkownikowa proces wygrała. — Nie wiem. Jaki proces? — To panicz wszystko zrobił, wszystko wygrał. Pułkownikowa mówi, że ją zbawił. Byliby ją z torbą wyrzucili, żeby nie panicz. — Słuchałam tego wszystkiego obojętnie i nawet niechętnie.

Tymczasem babunia zaczęła mi mówić poważnie o potrzebie postanowienia. Często uciekałam do babuni od tych krzykliwych panów. — Zuzio, mówiła, czas już, żebyś myślała o postanowieniu wedle woli Bożej i krewnych. Niema co czekać. Ja chora, ty już w latach. Bóg to wszystko zarządził, znasz męża z imieniem i majątkiem. — Jakiego męża babuniu? — Pana Michała, a jużci Michała. Majątek ma taki, żeby mógł starać się o daleko lepszą partję. Bóg zrządził na twoje szczęście, że woli szukać żony u nas. Niema co czekać. I ty pewno nie od tego. — Co babunia chce! ale, babuniu, ja nie chcę iść za męża. — Jak to? Za pana Michała? Moja babuniu, dajcież mi pokój. Ja nie chcę pana Michała! — Na to babunia: Jesteś dziecko i głupia. Bardzo to mi dziwno. Cóż to ty pleciesz. Kiedy ja ci mówię, i opiekun i pan gubernator. Otóż, otóż wychowanie na pensji! Co tobie się dzieje! Nie chcesz iść za męża? To cóż? pójdziesz do klasztoru. He! i to jest służyć Bogu, ale nieboszczyk twój ojciec a mój syn, co by na to powiedział? On chciał żebyś szła za męża. Idźże sobie spać. Jesteś głupia i zła dziewczyna. — I nie dała mi ręki pocałować na dobranoc; babunia, jedyna moja w domu podpora, jedyna moja ucieczka.

Opowiedziałam zaraz tę rozmowę Ludwisi, jedynej mojej powiernicze. Zamiast mnie potakiwać albo przynajmniej rozważać ze mną tak ważne przedstawienie ze strony babuni, Ludwisia skoczyła jak szalona, klaszcząc w ręce. Ah! panienko, no to już wszystko dobrze, ach panienko, panienko! Otóż będzie wesele, otóż panicz wesół. Dalejże mi prawić o przyszłym szczęściu, a kocz jaki panicz sprawi! a suknie ze srebra aż będą dzwonić, a potem nawet o dzieciach, i jakie będą mieć chrzestne nazwiska. Syn to będzie Emanuel, a córka etc. etc.

Ludwisia sypiała w moim pokoju na kanapie, czasem kładła się przy mnie na mataracu, żeby bliżej rozmawiać, teraz położyła się przy łóżku na podłodze gołej i paplala i paplając zasnęła.

Z rankiem jeszcze mi było smutniej. Już miałam trudność zwierzać się Ludwisi. Widocznie ona była w przeciwnym obozie. Bo w moich myślach już się zakładał obóz inny.

Od czasu rozmowy z babunią, myśl małżeństwa coraz to mocniej mi dokuczała. Dotąd o tem nie myślałam. Co się tyczy kochania się, nie wiem, jak i kiedy powzięte wyobrażenie najśliczniejsze. Czy z rozmów z panienkami z pensji czy z kilku książek romansów, czy wreszcie nie wiem skąd, kochanek pokazywał mi się skądś, jak widzenie niebieskie, jak cel mojego życia. Kochanek jakiś ze światłem księżyca, wśród strumieni, były tam kwiaty i śpiewania ptaków, a czasem na siwym koniu, jak widziałam w dzieciństwie mego brata z dodatkiem szyszaka i zbroi jasnej, niby Jan Potocki w śpiewie Niemcewicza.

Małżeństwo! co to jest? Domyślałam się wprawdzie, również nie wiem skąd, coś o stosunkach płci, domysły bliskie prawdy. Ale oh! wzdrygałam się na to, wyobrażenia moja cofała się przed tem, jak przed opisem jakichś scen pijanych, czytanych w romansach. Mieć męża! a cóż spać z kimś, z mężczyzną. Podskakiwałam w łóżku na ten pomysł. A cóż dopiero z panem Michałem! Oh! horreur! horreur! wykrzyknęłam w duszy po francusku.

Przeciwny panu Michałowi obóz w duszy skupiał się około innego mężczyzny na imię Roderyk. Ten pan był także jeden z przyjaciół nieboszczyka brata, był z nim w bitwie, a choć nie widział go przy zgonie, dowiedział o szczegółach. On mnie pierwszy wszystko opowiedział, to jest opowiadał ciągle o tym najdroższym bracie. Z czuciem opowiadał głębokiem i żywo, jakby przed oczyma wszystko stawiał. Słuchałam i słuchałabym rada dzień i noc opowiadań pana Roderyka. Co za różnica z panem Michałem. Jaka postać wykształcona, jaka cera delikatna, każdy ruch pełen wdzięku. Nigdy ani gniewów ani krzyków nieznośnych.

R. 1855.

ROZPRAWY LITERACKIE

O POEZJI ROMANTYCZNEJ.

Jest to dawna i bardzo zbawienna dla artystów przestroga, ażeby, wystawiając dzieła sztuk pięknych na widok publiczny, spokojnie w milczeniu oczekiwali sądu doskonałych znawców, według którego miarkować mogli o wartości pracy dokonanej, a dla przyszłych brać pożyteczne upomnienia i naukę. Lecz jeśliby który, doświadczeniem cudzem nauczony, przewidywał, że dzieło jego z góry potępione być może za to, że te a nie inne wybrał do naśladowania wzory, do tej a nie innej przyłączył się szkoły — wtedy powinienby usprawiedliwić się dłaczego w wyborze przedmiotu dla sztuki swojej odważył się pójść przeciwko mniemaniu pewnej liczby widzów, słuchaczów lub też czytelników. Przetoż, ogłaszając zbiorek niniejszy ballad i pieśni gminnych, uważanych zwyczajnie za gatunek poezji romantycznej, zostając pod kłatwą, rzucaną dziś przez wielu poezji arbitrów, teoretyków, a nawet samychże mistrzów, uczulem potrzebę wstępnie przemówić, wprowadzić nie jako artysta, lecz imieniem tych artystów, których rodzaj pracy był też i mojego ćwiczenia się przedmiotem. Mniemam zaś, że uczynię zadość powinności lub potrzebie, gdy, zamiast zbijania zarzutów strony przeciwnej, wystawię rzecz moją we właściwej czystości, gdy, zamiast bronięcia poezji romantycznej, wywiodę jej początek, oznaczę charakter, tudzież wymienię wzory celniejsze. Aby zaś pokazać dowodnie, jak rodzaj poezji, romantycznym zwany, powstał, doskonalił się i na udzielny, w sobie skończony ukształcił się nareszcie, potrzeba wyłącznych okoliczności, wpływających nań, czyli tworzących go, szukać i odróżniać między mnóstwem innych okoliczności, tworzących inne poezji rodzaje. Należy poszukiwać zwyczajnej zaawistości i następstwa zdarzeń, jak za odmianą uczuć, cha-

rakteru, opinii narodowych zachodzi odmiana w samej poezji, która najpewniejszym bywa znamię wiekowego usposobienia ludów. Tym sposobem zamiar opisanie samej poezji romantycznej wciąga mimowolnie do uwag nad innemi jej rodzajami, albo raczej zniewala przebiegać historję powszechną poezji, przynajmniej ile rzecz przedsięwzięta wymaga, a granice przedmowy pozwalają.

Nie wszystkie wszakże narody zastanawiać nas mogą; ze starożytnych grecki naprzód i najmocniej zwracać powinien uwagę. Naród ten co do płodów imaginacji, ich początku i rozwijania się musi mieć, jako naród, podobieństwo z innemi narodami. Lecz, jeżeli Grecy podobni są w tej mierze do innych, są tylko naturą rzeczy, wszystkim pospolitej; ta zaś sama rzecz, uważana co do kształtu i przeznaczenia, jakie przyjmowała u Greków, odznacza ich i wynosi nad wszystkie inne narody. Wszystkie w dzieciństwie mają podostatek baśni rozmaitych. Fenomena przyrodzenia zadziwiające, lecz słabemu jeszcze pojęciu niedostępne, tłumaczone więc potwornie; na tłumaczenie ich wymyślane siły tajemne, duchy, mianowicie pod ludzką i zwierzęcą postacią; uczucia także i namiętności uosobiane i częstokroć w akcji wystawione; zdarzenia nawet prawdziwe, zmyśleniem zdobione — oto jest po części, co stanowi świat bajeczny, wszystkim może narodom wspólny. Tworzy go młoda, ognista, lecz nieukształcona imaginacja; pomaga w tem język, zwyczajnie z początku gruby, zmysłowy, wyobrażenia oderwane pod postacią rzeczy zmysłom malujący. Ale ten świat bajeczny u Greków rozleglejszy, bogatszy, rozmaitszy był, niż u innych narodów, bo też imaginacja grecka żywsza i płodniejsza była, niż gdziekolwiek, i język grecki giętkością, obfitością, zmysłowością przewyższał inne. Wszakże nie dosyć na tem. Świat ten bajeczny niezadługo stał się przedmiotem rozmaitym, nieprzebrany i bardzo stosownym do sztuk pięknych, w całym wysokim wziętych znaczeniu. Albowiem zbieg szczęśliwy okoliczności sprawił, że w Grecji więcej, niż gdzieindziej, pozjawiało się razem talentów twórczych, które, samą powodowane naturą, ich ziemi właściwą, zwracały uczucie i imaginację ku poszukiwaniu tego, co by było delikatne, foremne, piękne, równie w poezji, jak muzyce, tańcu, malowidłu i innych sztukach. Nadto Grecy, długo swobodni, weseli, życie publiczne wodzący, czystą narodowością w całej mocy przejęci, największych cnót liczne przykłady mający, nie mogli nie

kształcić się moralnie w wysokim stopniu; kształcili więc drugi oddział władz, które łączą się w charakter moralny. Naostatek umysły greckie, podniesione, ciekawe, wytrwale, wcześniej poszukiwać zaczęły prawdy; ćwiczyły się nieustannie rozumowaniem, rozmaita w niem a najczęściej oryginalną postępując drogą; tym sposobem obudzał się duch filozoficzny, nawykano myśleć porządnie i głęboko, czyli tym sposobem kształcił się, wzmacniał i ustalał rozsadek. Gdy więc wszystkie władze umysłowe w ścisłej harmonji doskonalone były, gdy żywa imaginacja miarkowaną była przez delikatność uczucia i dojrzałość rozsądku, mogła więc w dziele sztuki wydawać wielkość przy prostocie, foremność przy rozmaitości, piękność przy łatwości. Tak sposobiony talent twórczy sztukmistrza greckiego zwracał się ku staremu światowi bajecznemu i umiał go wkrótce na nowo przetworzyć. Odrzucił wszystko, co było grube, potworne, rażące; wyobrażenia różnorodne i pomieszane uszykował, powiązał i w porządną ułożył całość. Te zaś wyobrażenia, w całość układane, jakkolwiek oderwane czyli umysłowe, zawsze wyrażane były pod postacią rzeczy zmysłowych, ale rzeczy tak doskonałych i skończonych w sobie, jakie przymioty umysłem tylko, czyli idealnie, pojęte i wystawione być mogą. Tym sposobem ze świata bajecznego powstał ideał świata zmysłowego, czyli świat mitologiczny. Stworzył go, jak uważaliśmy dotąd, talent sztukmistrza, rozwinięty pośród harmonijnego kształcenia się wszystkich sił umysłowych, już z samej natury niepospolitych. Świat ten nie był bez celu i przeznaczenia. Mistrze albowiem greccy, wystawując w dziełach sztuk pięknych przedmioty, ze świata mitologicznego brane, starali się wpływać na podnoszenie i doskonalenie w całym narodzie tych wszystkich sił umysłowych i zdolności, jakie już to świat rzeczony tworzyły, już na utworzenie jego wpływały. Gdy zaś talent twórczy sztukmistrza greckiego był wypadkiem równowagi pomiędzy imaginacją, uczuciem i rozsądkiem, stąd dzieła sztuk pięknych u Greków miały pewną wymiarkowaną foremność równie w układzie, jak zewnętrznem wydaniu, który przymiot i charakter sztuk pięknych zowie się stylem greckim albo klasycznym. Styl ten panował za wieku Peryklesa i dotknął się jeszcze czasów Aleksandra W. Cośmy powiedzieli ogólnie o talencie sztukmistrza i charakterze sztuk pięknych u Greków, to wszystko oczywiście stosuje się do talentu poetyckiego i poezji w szczególności; dodajmy tylko, że poeta był zawsze

w sztuce swojej swobodniejszy, niż inni sztukmistrze, i mógł rozmaitszym sposobem, tudzież do większej masy narodu skutecznie przemawiać. Jakoż poeci greccy w najświetniejszym okresie swojej sztuki zawsze śpiewali do gminu; pienia ich były składem uczuć, mniemań, pamiątek narodowych, ozdobionych zmyśleniem i wydaniem przyjemnem, wpływały więc silnie na utrzymanie, wzmacnianie, owszem, kształcenie charakteru narodowego. Następnie, ze zmianą okoliczności, gdy uczucia, charakteru i energia narodu słabnąć poczęły — już to koleją czasu, już wpływem cudzoziemców, już przez klęski publiczne, utratę znaczenia i swobód krajowych — wtedy i talent poetycki przestawał być wielkim, i poezja traciła dawny swój charakter i wysokie przeznaczenie. Poeci rozstawali się z ludem, nic już w polityce nie znaczącym i gardzonym, i przenosili się na dwory samowładców, gdzie składali pochlebstwa, lub też słabo, niesmacznie, więcej uczenie, niż poetycko, naśladowali dawniejsze wzory klasyczne, jak przykładały poświadczenia z wieku Ptolomeuszów. Tym sposobem poezja, która była niegdyś potrzebą narodową, przeszła w zabawę erudytów lub próżniaków.

Po Grekach, Rzymianie są drugim sławnym w starożytności narodem, którego i w dziejach poezji pominąć nie należy. Naród ten wszakże niewiele nas pod tym względem zastanawiać może, bo jego obyczaje pierwiastkowe i życie mniej pomyślną dla poezji miały postać i kierunek. Ludy łatyńskie, jako z natury dzikie i surowe, przez długi czas wojenne i zaburzone, jeżeli miały poezję narodową, ta w grubej zostawać musiała prostocie, z małym lub bez żadnego wpływu na cywilizację tych ludów. Nierychło, za otworzeniem się związków z Grekami, poezja grecka przemawiać zaczęła do uczucia rzymskiego; było to mianowicie w czasie poniżenia ludu a ustalenia się przewagi możnych, u których artykułem głównym poloru wyższego stała się też znajomość języka greckiego i literatury. Zjawily się wkrótce liczne talenta poetyckie w Rzymie, lecz, które tłumaczyły tylko lub naśladowały wzory greckie, zachowując całkiem duch i nawet formy poezji greckiej. Same wyobrażenia mitologiczne całkiem były przenieszone albo mieszane tylko z mitami krajowemi. Czytano więc poezję po łacinie, ale poezję grecką, w słowa łacińskie przybraną. Nadto czytała ją sama tylko klasa możniejszych, nader szczupła częśćka narodu. Tym sposobem w narodzie rzymskim nie było właściwie poezji, bo nie było poezji naro-

dowej, któraby, wpływając na charakter i kulturę całego narodu, dopełniać mogła była właściwego jej przeznaczenia. Tak więc u Rzymian kultura obca, od Greków pożyczona, przerwała bieg naturalny kultury narodowej, i poezja grecka położyła tamę właściwej poezji rzymskiej, która, może być, iżby się jeszcze była rozwinięła.

Na ruinach państwa rzymskiego usadowione hordy północne i z ludem miejscowym zmieszane miały kiedyś obudzić uśpioną długi czas imaginację i zdobyć się na wcale nowy rodzaj poezji. Hordy te, ile być mogło, miały zapewne właściwe sobie uczucia, opinie, wyobrażenia mityczne i podania, lecz pośród nich nie powstawały talenta poetyckie, któreby tak świetnie, jak niegdyś u Greków, mogły świata bajecznego użyć, wpłynąć na uobyczajenie ludów, charakter narodowy oczyszczać i wzmacniać. Rozwinięciu się w tym sposobie talentu poetyckiego liczne stawały przeszkody. Dzikie lub tułackie życie ludów północnych, mieszanie się jednych z drugimi, udzielanie sobie nawzajem wyobrażeń, mniemań, obyczajów i wyrazów języka sprawiły, że mitologia północna, jakkolwiek po niektórych stronach, w poezję bogatszych, kształcona, nigdy nie ustaliła się jednak; wyobrażenia mityczne nie złożyły foremnej, pięknej i harmonijnej jedności czyli systematu świata mitycznego: zawsze tam przebiła się nieforemność, potworność, brak porządku, związku i całości. Dla tejże samej przyczyny język tych ludów długo był nieokrzesany; mógł być śmiały w wyrażeniach, ale mniej dobitnych i ścisłych. Lecz, ponieważ stan rzeczonych ludów nagle i szybko zmieniał się, zawsze dla poezji pomyślnie, aż się nareszcie nieco ustalić musiał, stąd i poezja, idąc statecznie za zmianami, przyjmowała zawsze coraz pewniejszą postać i charakter. Nowe uczucia i wyobrażenia, samym barbarzyńcom właściwe, tak nazwany duch rycerski i z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknej, Grecji i Rzymianom obcy, ścisłe przestrzeganie praw honoru, uniesienia religijne, podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich, dawniejszych pogan i nowoczesnych chrześcijan, pomieszane razem — oto jest, co stanowi w wiekach średnich świat romantyczny, którego poezja zowie się też romantyczną. Poezja ta miała swój charakter, miarkowany tylko miejscowym wpływem ponurych i uniesionych Normandów, wesółych Minnesängerów, czułych trubadurów. Zewnętrzne wydanie czyli język, zlewkiem będąc języków północnych i rzymskiego, na-

zwany został romanckim — skąd poszło, że późniejsi i ową poezję i duch czasu „romantycznymi” mianowali.

Złanie się ostateczne ludów germańskich i skandynawskich z dawnym plemieniem Rzymian, starcie się wyobrażeń i uczuć nowego świata z wyobrażeniami i uczuciami dawnych, musiało znowu wywrzeć wpływ na charakter ludzkości, a stąd i na charakter poezji. Skoro poznano lepiej wzory klasyczne Greków i Rzymian, poeci uczeni nie mogli być na nie obojętni, a korzystając z nich rozmaitym sposobem, utworzyli różne szkoły, różne poezji gatunki. Jedni, biorąc przedmioty z dziejów dawniejszych, chcieli je zupełnie, tak co do istoty, jak i co do formy, sposobem Greków traktować (Trissino) a, niedosyć jeszcze z klasyczną literaturą oswojeni i niedosyć przejęci duchem starożytności, naśladować tylko umieli układ, podziały czyli zewnętrzne formy starożytne — drudzy, stosując się do usposobienia wieku, w którym żyli, woleli brać przedmioty ze świata romantycznego, szykować w stosowny układ, starając się wszakże szczególne części tudzież mowę wykształcać podług wzorów starożytnych (Ariosto) — inni nakoniec średnią niejako udali się drogą, rzecz i treść, czyli materję, w istocie romantyczną, podciągając ściśle pod formy klasyczne, szczególnież co się tyczy proporcji w układzie i ozdób w zewnętrzznem wydaniu (Tasso).

Śród takiej różnorodności, każdy z poetów, oceniając ich pod względem sztuki, tyle celu swojego dopiął, ile mu talent i potrzebne usposobienie wystarczało. Ale, jeśli zwrócimy uwagę na lud, dla którego pisali, okaże się oczywiście, że dzieła, w których starano się duch i postać grecką zachować, nie mogły być powszechnie smakowane przy mało upowszechnionej znajomości literatury starożytnej, że poeci, opiewający zmyślenia narodowe sposobem przyjemnym, byli najupodobańsi i torowali drogę tym, którzy do świata romantycznego zaprowadzali coraz większy porządek, harmonję i okrasę.

Rodzaje poezji, teraz wyliczone, jako powstałe w nowym stanie rzeczy ówczesnej Europy, musiały być nowe i od starożytnych całę różne. Naprzód rozwinęły się one u Włochów, gdzie obok narodowej poezji nauki starożytne wcześniej i pomyslniej uprawiano.

W sąsiedniej Włochom Francji już podówczas zniknęła narodowa romantyczna poezja. Trubadurowie prowanscy przenieśli się na dwory panujących i niedługo tam utrzymali znaczenie, pomiędzy ludem nabyte. We Francji książęta i mo-

zni, szybko przyjmując polor towarzyskiego życia, niewiele znajdowali powabu w pieniach wiejskich i prostaczych, do dworskiego tonu źle przypadających. Wkrótce, za ugruntowaniem władzy królewskiej i nadwyrężeniem feudalnego systemu, cały interes narodowy przeniósł się na dwór królów. Wszystko tam musiało stosować się do etykiety, łagodzonej nieco francuską lekkością; koterje prywatne przyjęły ton dworu, którego cechą było przestrzeganie form etykietałnych, dysymulacja, prawie dyplomatyczna, grzeczność, ujmująca wprawdzie, ale ceremonjalna, ściśle podług miejsca i osób wyrachowana. Obok towarzyskiego poloru z postępem nauk wzrastało oświecenie. Zapal do starożytności, ożywiający Włochy, udzielał się przy częstych związkach Francuzom. Coraz mocniej zajmowało uczonych, a za nimi całą oświecszą klasę, wszystko, co było greckiem i rzymskiem: nie, żeby zgłębiano historję tych narodów i z niej wyciągano ważne w polityce i moralności prawdy, ale starano się naśladować Greków i Rzymian — naśladowanie zaś, według rozumienia Francuzów ówczesnych, polegało na przybraniu powierzchowności i tonu starożytnego.

W takim stanie rzeczy, kto chciał podobać się Francji, to jest Paryżowi, powinien był ostrość swojego indywidualnego charakteru stosować do mody panującej, ażeby się nie wydać pedantem i dziwakiem; musiał trzymać w karpach swój talent, miarkować imaginację i uczucie, gdyż wszelki zapęd, wszelkie gwałtowne uniesienie obrażało przyzwoitość dworską, poszukującą raczej dowcipu i rozsądku — potrzeba mu było nareszcie w dziełach sztuki podług mody i zwyczaju naśladować Greków i Rzymian, tyle przynajmniej, ile dworacy Henryków i Ludwika naśladowali Katonów i Flaminjuszów.

Poeci więc, idąc za popędem wiekowym, zwrócili uwagę nie tak na naturę i na charakter ludzi, jako raczej na charakter społeczeństw paryskich, wyśmiewali trafnie i zręcznie uchybienia przeciwko przyzwoitości, obyczajowi i modzie: etykietę, panującą na pięknym świecie, wprowadzając do świata imaginacji podciągali wszystko pod prawidła, rozsądnie ułożone i wydane ozdobić, bawili nareszcie widowiskami dwór i Paryż. Powstały tym sposobem i kształciły się satyry, tudzież rodzaj dydaktyczny. A jako kultura ówczesna francuska, nosząca cechę poloru przy podniesieniu i wyćwiczeniu władz wyższych rozsądku i dowcipu, była zupełnie różną od kultury greckiej i wieków średnich, tak i świat

poetycki francuski, utworzony z biegiem innych okoliczności, działaniem umysłów, inaczej kształconych, ukazał się w nowej całości postaci, od świata mitologicznego i romantycznego nieskończenie różny. W pierwszym widzieliśmy skojarzoną harmonję i równoważące się niejako uczucie, imaginację i rozsądek, w drugim przemagały władze niższe, a ostatni, to jest francuski, któryby światem stosunków towarzyskich, światem konwencjonalnym nazwać można, jest pod panowaniem rozsądku, dowcipu i formalności.

Nie mogły więc znaleźć tam miejsca żadne zmyślenia śmiałe i wznoszące się nad zakres rzeczywistości, wszelkie podania, nazbyt z baśniami powikłane. Szukano raczej przedmiotów historycznych, a czyli je brano ze starożytności, czyli z wieków średnich, naginano zawsze do trybu francuskiego. Kiedy w takiej sferze ćwiczyły się sztukmistrzów talenta, rozwijanie się ich co do mocy i kierunku postępowało drogą nową, sobie tylko właściwą. W poezji, na którą tu szczególnie zwracamy baczną uwagę, zdaje się, iż imaginacja francuska nie ważyła się sama przez się żadnego uczynić kroku i pośpiesza tylko na usługi innym władzom umysłu. Powołana od rozumu, okrasza ile możności prawidła dydaktyczne i fakta historii; w rodzaju opisowym trzyma się gościńca, wytkniętego od rozwagi systematycznej, i, zawsze krążąc blisko ziemi, maluje nasuwane sobie przedmioty z natury rzeczywistej, albo, właściwiej mówiąc, zdejmuje z tych przedmiotów portrety, wykończone wprowadzić co do kolorytu, ale co do układu zbyt architektoniczne, zbyt wzorom swoim podobne i przez to obumarłe; jeżeli czasem podlatuje wyżej, szuka tylko w krainie zmyślenia materiałów, z których dowcip tworzy zimne, coraz upodobańsze budowy lub emblematy alegoryczne. Równie skrupowana była druga władza, to jest uczucie. W materjach, dotyczących się moralności i obywatelstwa, usta poetów francuskich powtarzają tylko to wszystko, co rzetelnie czuły serca poetów greckich, jak retorowie aleksandryjscy powtarzali Peryklesa i Demostenesa; gdzie szło o wydanie delikatniejszych uczuć serca, pisarze z wieku Ludwika XIV tchną zawsze duchem romantycznej sentymentalności, ale zbyt wyrafinowanej, zbyt wykwintnej; w obu dwu zaś razach ton namiętny miesza się z rozumowaniem i dowcipem w maksymach i antytezach. Utworzone tym sposobem dzieła sztuki, co do isoty francuskie, miały formę grecką, nie od sztukmistrzów wszakże, ale od teoretyków

starożytnych przejętą i częstokroć zmienioną. W tragedji na przykład, interes, zasadzający się u Greków na mocnem wystawieniu charakterów, patetyczności lirycznej i klasycznym oddaniu, w dramatyce francuskiej zależy od pewnego uszykowania i wikłania akcji — prosty więc układ grecki zastąpiła tak nazwana intryga dramatyczna. Nakoniec pod względem zewnętrznej okras, to jest stylu, jeśli stawimy obok siebie rodzaje klasyczny, romantyczny i francuski, a materję, treść i układ dzieła uważać będziemy za duch i ciało poezji — styl da się porównać do ubioru, i okażą się znów różnice, odpowiednie charakterowi wieków i ludów.

Szata grecka, poważna a razem lekka i powiewna, naginała się i układała rozmaicie do najmniejszych ciała poruszeń: stąd w sztukach obrazowych tak ważną jest częścią dzieła draperja grecka, od wszystkich artystów przejęta, tyle przydaje posagom lub obrazom wydatności i powabu. Mowa Greków, podobne mająca przymioty, stanowi ważną część ich poezji, czyli tak nazwany „styl klasyczny“, odrębnie nawet od samej rzeczy uważany. Wieki średnie, nie tak gustowne, uderzały przeciw swoim charakterystycznym ubiorem. Wielkie płaszcze góraków szkockich, stalowa odzież rycerska, pióra i barwy familijne ze znakiem krzyża albo wstęga, odróżniają bohatera czasów krucjaty. W stylu poetyckim romantycznym równie panuje śmiałość, w składniach mniej giętkich obok prostoty jakiś hart i tęgosc, w wyrażeniach blask i częstokroć nastrzeplenie. Wreszcie strój francuski zbyt jest prosty i jednostajny; zarówno służy bohaterom, radcom stanu i tancerzom, drobnymi tylko rozróżniony ozdóbkami. Do zatrudnień życia towarzyskiego najstosowniejszy, i dlatego powszechnie przyjęty, sztukmistrzom wszakże okazał się niewygodnym. Artyści dramatyczni i mówcy w ubiorze francuskim muszą swoje poruszenia i akcję zewnętrzną bardzo miarkować, gdyż każdy gest gwałtowniejszy, draperja nie zlagodzony, wyda się zbyt ostrym i rażącym. Rzeźbiarz i malarz nie śmie posagu lub obrazu po francusku ustroić: wszelka albowiem piękność składu i proporcji ciała pod tym ubiorem zakryć się i zniknąć musi. Też same są właśnie przymioty i niedostatki mowy francuskiej; można w niej wydać każdą myśl i uczucie, byleby niezbyt śmiałe i gwałtowne, gdyż dla niedostatku odmian w składni i wyrażeniach wszelkie niepospolitości nadto uderzają — i jasna

w wykładzie umiejętności ścisłych, w rozmowie potocznej łatwa i wygodna, a stąd upowszechniona, jest znowu dla zbyt-niej regularności nadto niewolniczą i zawsze jednostajną, czyli się nią rozum, czy serce tłumaczy.

Jaką zatem widzieliśmy różnicę między światem mitologicznym, wieków średnich i kowencjonalnym, pod tyłu względami poezja francuska różni się od klasycznej i romantycznej. Pienia Greków ożywiał duch publiczny, romantyków rycerski, poetów Ludwika XIV dworactwo. Pierwsi przemawiali do całego oświeconego narodu, drudzy do wojowników i do gminu, ostatni mieli na celu zabawę klasy oświeconszej tylko. Grecy wykształcili mowę poetyczną do najwyższego stopnia doskonałości — poeci romantyczni język nieokresany zdobili śmiałą imaginacją i gorącym uczuciem — francuska poezja, w zewnętrznych ozdobach wynekana, nie miała właściwego stylu, była zawsze prozaiczną.

W historii poezji europejskiej z kolei nastąpić powinien naród Wielkiej Brytanji, z charakteru swojego od innych bardzo różny, odcięty morzem, a stąd na obce wrażenia mniej wystawiony. Żywe uczucie i imaginacja wojennych Szkotów i Saksonów nie mogły nie zajmować się poezją silnym sposobem. Mitologia tego narodu przez druidów i bardów więcej, niż gdzieindziej, była wyrobiona. Lubo zaś wprowadzenie nauki chrześcijańskiej zniszczyło ludu tego mniemanie religijne, z religją wszakże, na ziemi greckiej i rzymskiej rozkrzewioną i do Anglii szczepem przeniesioną, nie przeszła tak łatwo Greków i Rzymian poezja. W Anglii, w stanie jej feudalnym, dawne zwyczaje i dawny dla poetów narodowych szacunek dochowały się czystiej i dłużej, niż gdzieindziej. Lud, mający udział już w życiu politycznym, już w wyprawach wojennych, niemal ciągłych, lubił pienia rycerskie, ożywiane uczuciem narodowym i do miejscowych okoliczności stosowane. Dukowie możni i panujący feudatarjusze w poezji bardów dzieje przodków swoich znajdowali. Dlatego w Anglii dłużej, niż u innych narodów, kształcona była poezja gminna, a Szkocja zachowała ją do ostatnich czasów. W takim stanie i usposobieniu ludu Wielkiej Brytanji poeci ówczesni, stosując się do opinii i potrzeby powszechnej, pienia narodowe powtarzali i kształcili. Na ten sposób utworzyła się szkoła Chaucera, i nie innym duchem tchną także dzieła dramatyczne, wpływające następnie na charakter narodowy. Szekspir wielki, słusznie nazwany dzieckiem uczucia i wyobraźni,

kształcony jedynie na wzorach narodowych, zostawił w dziełach swoich dobitną cechę genjuszu indywidualnego i wiekowego usposobienia. Znaćca głęboki serca ludzkiego, malował w śmiałych i prawdziwych rysach naturę człowieka w nowo utworzonym rodzaju poezji dramatycznej, którego głównym jest charakterem walka namiętności z powinnością, jedno z wyobrażeń świata romantycznego. Mniej szczęśliwy był Szekspir w traktowaniu przedmiotów z dziejów greckich i rzymskich, bo dla mało upowszechnionej wtedy znajomości historii i literatury nie podobna było trafić doskonale w charakter i w ducha dwóch starożytnych narodów. Szekspir, znając człowieka, nie znał Greka, Rzymianina, ani Anglika. Tymczasem zaprowadzał się w Anglii polor towarzyski. Na dwór Saint James przeniosła się etykieta wersalska, a z nią smak francuski. Szkoła więc Chaucera i Szekspira ustępować musiała przed rozumującym Popem, wymuskany Adissonem i dowcipnym Swiftem. Naśladowcy tych znamiennych pisarzy, coraz gorsi, zrzadzili upadek poezji angielskiej, z którego ledwo dźwignęła się w wieku dzisiejszym za zjawieniem się dwóch genjuszów: Waltera Skota i Byrona. Pierwszy poświęcił swój talent dziejom narodowym, wydając powieści gminne świata romantycznego, klasycznie wyrobione — potworzył poemata narodowe i został dla Anglików Arjostem Byron, ożywiając obrazy uczuciem, stworzył nowy gatunek poezji, gdzie duch namiętny przebija się w zmysłowych rysach imaginacji. Byron w rodzaju powieściowym i opisowym jest tem, czem Szekspir w dramatycznym.

Te rozmaite charaktery poezji, któreśmy przebiegali, zdaje się, że wszystkie rozwinęły się w szkole niemieckiej, jako najpóźniejszej. Od połowy przeszłego wieku poczęły wielkie genjusze spółcześnie jaśnieć po Niemczech. Rozległe przed nimi otworzyło się pole, liczne przybywały ułatwienia za postępem niewymownie szybkim nauk i całej kultury w krajach niemieckich, mianowicie północnych. Przez upowszechnianie znajomości gruntownej języków starożytnych i oraz nowożytnych można było korzystać zarówno ze wzorów greckich, włoskich francuskich i angielskich. Poeci więc niemieccy biorąc przedmioty już ze świata klasycznego, już romantycznego, częstokroć od jednych duch i istotę, od drugich formy i wydanie i miarkując to wszystko podług indywidualnych usposobień, nie dziw, że w płodach swoich ukazali się

rozmaici i do siebie niepodobni. Ma jednak szkoła niemiecka pewny stały charakter, u różnych poetów mniej lub więcej wydlatny. Niemcy bowiem, od czasów mianowicie reformy, skłonni będąc do uniesień i sentymentalności, dumając nad ulepszeniem bytu moralnego ludzi i społeczeństw, filozofując przez głębsze pojęcia umysłowe, usposobili się do dawania uczuciom i wyobrażeniom formy coraz bardziej oderwanej i ogólnej. Nadto duch, ożywiający Niemców, jest kosmopolityczny, nie tak skierowany ku jednemu krajowi lub narodowi, jako raczej zajmujący się całą ludzkością w malowaniu delikatniejszych uczuć serca, sentymentalność rycerska do czystości prawie umysłowej podniesiona. Świat więc poetycki Niemców nazwać można światem idealnym umysłowym, od świata mitologicznego różnym; jego cechy najdobitniej wydalając się w płodach wielkiego Szylera.

Z tych dziejów poezji, jakkolwiek zbyt krótko i ogólnie przebieżonych, widzieć można, iż rodzaj romantyczny nie jest zgoła nowym wynysłem, za jaki niektórzy chcą go uważać, ale powstał, równie, jak inne, ze szczególnego usposobienia ludów — że dzieł, właściwie romantycznych, w całym znaczeniu tego wyrazu, szukać należy u poetów wieku średniego, wszystkie zaś twory późniejsze, romantycznemi nazwane, z istoty lub z układu, z formy lub stylu należą częstokroć do innych, bardzo od siebie różnych poezji rodzajów. Jeśli, nie dając względu na takową rozmaitość, ustanowimy podział ogólniejszy, ten okaże się absolutnym i niewłaściwym. Niektórzy pisarze w całej literaturze poetycznej widzą tylko klasycyzm i romantycyzm i, dzieła wszystkich poetów od Orfeusza do Byrona uważając za klasyczne lub romantyczne, po prawicy lub po lewicy kładą. Wtenczas z jednej strony „Iljada“ staje obok „Henriady“, hymny na cześć bohaterów olimpijskich przy odach Francuzów do potomności, do czasu i t. p. — na drugiej zaś stronie „Heldenbuch“, i „Nibelungen“ spotykają się z „Boską Komedją“ Danta i pieśniami Szylera. Wiele dzieł nareszcie, jako „Mesjadę“, sonety Petrarki, „Jeruzolimę Wyzwoloną“, „Hermana i Dorotę“ Goethego, i cała poezję francuską, nie podobna zgadnąć, gdzieby na tym strasznym sądzie odesłano. Taką korzyść przynoszą dla poetyki podziały ogólne i nieoznaczone; wszakże i w szczegółach podobnie można wprowadzić zawichrzenie, jeśli, klasyfikując poetów, krytyk, jak Nestor homeryczny, cały tłum na narody podzieli. Wszystkich pisarzy jednego plemienia, np.

Niemców obwoła za romantyków, równie Lessinga, jak Szylerra, Wielanda i Goethego, Hagedorna i Bürgera, *Tros Italusve fut* — albo też jednemu pisarzowi każe być koniecznie romantykiem, np. Goethemu, chociaż jego „Ifigenja w Taurydzie” sądem znawców, ze wszystkich dzieł nowoczesnych najbliżej do rodzaju klasycznego Greków przystępuje, chociaż jego „Tasso” łączy duch romantyczny ze stylem klasycznym, chociaż tenże Goethe we wszystkich prawie dziełach swoich ukazuje się coraz innym i nieskończenie rozmaitym. Cała nie stosowność podziałów i nagłych wniosków stąd pochodzi, że piszący o poezji, pochwyciwszy od teoretyków niemieckich wyrazy „klasyczność” i „romantyczność”, podszywają pod nie własne swoje wyobrażenia; póty więc twierdzenia ich zrozumiałemi dostatecznie nie będą, póki pomienieni pisarze nie zaczną używać wyrazów technicznych w znaczeniu powszechnie przyjętem, albo nie wytłumaczą się z tego, jakie im nadają. Bo, jeśli klasyczność i romantyczność weźmiemy w znaczeniu Schlegla, Buterweka, Eberharda, którzy pierwsi te wyrazy do teorii wprowadzili i oznaczyli, jeśli za charakter poezji romantycznej uznamy przebijające się w niej cechy ducha czasu, sposobu myślenia i uczucia ludów w wiekach średnich — natenczas powstać przeciwko romantyczności nie jest to powstać przeciwko poetom, ale wypowiadać wojnę uczoną narodom rycerskim, których obyczaje i dzieła opiewali poeci. Nadto, jako w teraźniejszym Europy stanie wiele zatrzymało się opinii, wiele odzywa się uczuć z czasów rycerskich, tak i w wielu dziełach nowożytnych różnego rodzaju widać mniej lub więcej cechy romantyczności. Chcąc w poezji cechę tę zupełnie zniszczyć, potrzeba wprzód zmienić charakter narodów, co nie jest w mocy teoretyków, albo dowieść, iż przedmioty z wyobrażeń i uczuć świata romantycznego nie dają się szczęśliwie poetyckim sposobem traktować, przeciwko czemu mówią przykłady tylu wzorowych romantycznych sztukmistrzów. Jeżeli zaś odrzucamy definicje teoretyków niemieckich i do romantyczności przywiązujemy inne jakieś wyobrażenie, jeśli np. zasadzamy jej istotę na łamaniu prawideł i wprowadzaniu djabłów — wtenczas zarzuty przeciwników takiej romantyczności będą słuszne i niezbite.

Dla uniknienia podobnych dwuznacznych twierdzeń lepiejby było w pochwałach albo naganach jakiego rodzaju wymienić zaraz pisarzy i dzieła, tudzież ich zalety lub uchy-

bienia. Wszakże ocenianie krytyczne nie dosyć jest opierać na samej części prawidłowej krytyki. Chcący albowiem podług ułamku „Poetyki” Arystotelesa wyrokować o Homerze, Arjoście, Klopstocku, Szekspirze, podobnym będzie do sędziego, któryby podług praw Solona albo VII tablic stanowił w sprawie Greka, Włocha, Niemca i Anglika. Nie idzie za tem, aby krytyka sztuk pięknych nie miała pewnych i stałych zasad, ale, jako w świecie moralnym są jedne prawa wrodzone sumieniu każdego poczciwego człowieka w każdym czasie i narodzie, drugie od prawodawców, stosownie do okoliczności, stanowione, za zmianą ducha czasu i obyczajów zmieniać się mogące — tak i w świecie imaginacji są istotne i przyrodzone sztuki prawidła, które instynkt poetycki we wzorowych dziełach jakiegokolwiek bądź rodzaju zachować umie i powinien, kiedy dalsze przepisy krytyczne, z uwag nad dziełami wyciągnięte albo wyciągnąć się jeszcze mające, za zmianą usposobień umysłowych, a stąd i za zmianą charakteru dzieł sztuki, zmieniać się i miarkować muszą. To wszystko jeśli ma na oku estetyczna krytyka, odnosząc zawsze dzieła do czasu i ludzi uniknie stronniczej natarczywości w wytykaniu błędów sztuki jednego rodzaju — dla krytyków zaś, rozważających sztukę nie tylko estetycznie, ale też historycznie, filozoficznie i moralnie, wszystkie rodzaje zarówno uwagi godne będą, wszystkie są tworem ludzi, ze wszystkich wyczytujemy charakter rozmaicie wykształconego umysłu ludzkiego, a najwyraźniej z tych, które jedynie mają na celu człowieka, malują jego obyczaje i uczucia. Ważnym więc i mocno zajmującym w każdym względzie okaże się tak cały rodzaj romantyczny, jak i szczególny jego gatunek, poezja gminna. O niej zostaje nam jeszcze kilka słów powiedzieć; obszerniejszą bowiem wiadomość o poezji gminnej, a mianowicie o poezji gminnej narodowej, na inny raz zostawiamy.

Wspomnieliśmy wyżej, iż w wiekach średnich krążyły między ludem powieści i śpiewy. Charakter ich być musiał mniej lub więcej jednostajny, całemu rodzajowi właściwy — przedmioty brane z dziejów rycerskich, ozdobione zmysłowymi — uczucia dla płci pięknej w wyrazach czułości, albo wesółych żartach — mowa naturalna i prosta, strofami do śpiewania stosowana. Pod tym ogólniejszym rodzajem zawierało się mnóstwo szczególnych gatunków różnego nazwania: śpiewki, sagi, lais, virelais, sirventes itp.; najliczniejsze i naj-

bardziej upowszechnione były ballady i romanse. U Włochów naprzód podobno zjawilo się imię „ballady” (*canzone a ballo*), nadawane bez różnicy wszelkim piosenkom, pospolicie weselnym, co sam wyraz *ballare* (tańczyć) oznacza. U Hiszpanów, gdzie poezja gminna bardzo kwitnęła, znano ją tylko pod imieniem romansów (*romances*). Francuzi odróżniali wprowadzenie balladę od innych gatunków, ale nie tak z istoty i charakteru, jako raczej pod względem budowy strof i wiersza. Stąd wiele piosenek Marota, które do madrygalów i romansów liczyćby należało, nazywano balladami; stąd Boileau powiada, iż często ucinek dowcipny albo rym osobliwszy stanowi całą zaletę tego gatunku poezji. Inny weale charakter, wyraźny i stały, ma ballada brytańska; jest to powiastka, osnowana z wypadków życia pospolitego, albo z dziejów rycerskich, ożywiona zwyczajnie dziwnością ze świata romantycznego, opiewana tonem melancholicznym, w stylu poważna, w wyrażeniach prosta i naturalna. Od gór szkockich i irlandzkich różnił się bardowie i minstrelle ten gatunek na płaszczyzny Anglii, a poeci narodowi lubili ballady gminne zbierać, poprawiać albo na ich wzór podobne tworzyć. Literatura angielska liczy więcej dwóchset zbiorów tego rodzaju. Wszakże z czasem, kiedy duch poezji londyńskiej zmieniać się i na inny sposób kształcić się począł, zjawily się ballady, od gminnych weale różne, wesołe i dowcipne (Cowleya, Priora), a często dawną balladę trawestujące (Swifta). Smak ten przecieź trwał nie długo; wprzód nieco Rowe, a następnie Gay, Dawid Mallet, szczególnie zaś Percy i Walter Skot dawny rodzaj poważnych ballad szkockich do świetności przywrócili. Podobna jest historia ballady u Niemców, gdzie ten gatunek, wielu liczący poetów nie był jednak tak, jak w Anglii, upowszechnionym, i różnym co do charakteru i stylu podpadał zmianom. W drugiej dopiero połowie przeszłego wieku (1773) Bürger sławną „Lenorą” i wielu innemi wzorami obudził mnogich naśladowców. Odtąd literatura niemiecka po angielskiej jest najbogatszą w ballady. Jaśnieją w tym rodzaju, sławne skądinąd, imiona: Stolbergów, Kosegartena, Höltgera, Goethego i Szyllera. Ostatni jednak, zdaniem Buterweka, nieco się oddalił mianowicie w stylu, od naturalności i prostoty, właściwej balladom szkockim.

Podobne są do ballad romanse (*romance, romanza*). szczególnie w Hiszpanji i Francji upowszechnione; tem wszakże

różnią się od ballady, iż poświęcone są czułości, mniej więc do nich wpływają zmyślenia dziwne, a forma pospolicie dramatyczną bywać zwykła, styl zaś jak największą naiwnością i prostotą zalecać się powinien.

O KRYTYKACH I RECENZENTACH WARSZAWSKICH.

Krzykuł: „Nie pozwalam!” — uciekł na Pragę.
„Powrót Posła”.

Poezje, w niniejszem wydaniu zawarte, prawie wszystkie już dawniej publiczności znajome, przy pierwszym ich ogłoszeniu zwróciły uwagę recenzentów i stały się przedmiotem licznych nagan i pochwał. Czytałem z równem uczuciem jedno i drugie — i milczałem. Powody milczenia mojego łatwo odgadnie każdy, kto zna stan teraźniejszy krytyki literackiej w Polsce i ma wyobrażenie o ludziach, wdzierających się na urząd krytyków. Atoli, kiedy powtarzam wydanie dzieł, tyle razy, tylu piórami rozbieranych, i te dzieła bez żadnych prawie odmian puszczam na świat, w stanie rodzimej ich niedokładności, lękam się, aby czytelnicy moi nie myśleli, że przez zatwardziałość serca, właściwą autorom krytykowanym chorobę, uparłem się nie korzystać z uwag, co większa, z uwag, drukowanych w gazetach, i to jeszcze w Warszawie. Jeżeli grzeszył, nie chcę wymawiać się w obliczu recenzentów niewiedomością; winienem też przez grzeczność wyłożyć im powody uporczywego trwania w błędach, bo recenzenci, jakiegokolwiek jest ich zdanie, należą prawie zawsze do klasy ludzi czytających książki, przynajmniej polskie, która to klasa, w naszym kraju nieliczna, ma prawo niezaprzeczane do szczególnej autorskiej grzeczności.

Pierwszy, ile mi wiadomo, rozbiór poezji moich umieszczono przed laty sześciu w „Astrei”, w piśmie periodycznem warszawskiem. Redaktor, Franciszek Grzymała, pochlebne dla poety wyrzekł zdanie: przyznaje mu talent, nie skąpi dlań wyśmienitych przestróg o potrzebie pracowitości, o strzeżeniu się miłości własnej, o posłuszeństwie dla krytyki i t. p. Co się tyczy zalet i wad dzieła pod względem sztuki, Franciszek Grzymała, z powołania publicysta i statysta, nie śmie

wdawać się w rozprawy literackie i, nie wiedząc sam, czy mu poezje moje podobać się mają lub nie, pyta się o to uczonych warszawskich, wyglądając od nich poważnej, urzędowej recenzji. Ukazały się następnie krótkie ogłoszenia lub uwagi w innych pismach, aż nakoniec zjawił się wyglądany od Franciszka Grzymały krytyk w osobie Franciszka Salezego Dmochowskiego.

Redaktor „Biblioteki Polskiej” przyznaje również autorowi poezji talent, z równą hojnością udziela mu rad ogólnych, moralno-literackich. Niestety, z ogólnej uwagi trudno jest artyście korzystać. Malarzowi np., wystawiającemu swój obraz pod krytykę, nie wiele usłużą goście, chociaż z miną znawców ciągle powtarzać będą, iż należy pracować, należy uczyć się rysunku, wydoskonalać koloryt i t. p. Były wszakże i szczegółowe zarzuty: oskarżano mnie głównie o psucie stylu polskiego wprowadzeniem prowincjonalizmów i wyrazów obcych. Wyznaję, że nie tylko nie strzegę się prowincjonalizmów, ale może umyślnie ich używam. Prosiłbym zwrócić uwagę na różne rodzaje poezji, w dziełach moich zawarte, i każdego z nich styl podług innych sądzić prawideł.

W balladach, pieśniach i w ogólności we wszelkich poezjach, na gminnem podaniu opartych i szczególnie charakter miejscowy noszących, wielcy poeci starożytni i nowocześni używali i używają prowincjonalizmów, to jest wyrazów i wyrażeń, od ogólnie przyjętego książkowego stylu różniących się. Że pominię dawne greckie dialekty, dość rzucić okiem na dzieła Burnsa, Herdera, Goethego, Skota, Karpińskiego, Bohdana Zaleskiego. Nasz Trembecki, śmielszy od nich, w rodzaju dydaktycznym opisowym, najbardziej od poezji gminnej oddalonym, użył wyrazów: chwost, socha itp. zapewne nie przez nieznamość języka. Wszystko tu zależy od szczęśliwego użycia. Nie przeczę, iż mogłem albo zbyt, albo nie w miejscu, albo niestosownie prowincjonalizmy wprowadzać — o to mię obwiniać każdemu wolno, z tego usprawiedliwiać się nie mam prawa. Głęboka znajomość języka i smak wytrawionych znawców wyrokuja o nowościach gramatycznych: wyroki te publiczność z czasem zatwierdza lub odrzuca. Sąd w podobnej sprawie jest daleko trudniejszy, niżli się recenzentom zdaje. Tu, ażeby się ze zdaniem odezwać, trzeba powagi literackiej. Pan Ordyniec, teoretyk, mając za sobą dykcjonarz i gramatykę, podkreśla prowincjonalizmy lub nieszlachetne wyrażenia Trembeckiego; my, para-

fjanie w sporach, które smak tylko rozstrzyga, zdajemy się raczej na autora „Zofjówki”. Ogólny wyrok recenzentów przeciwko prowincjonalizmowi jest wypadkiem metody, przejętej od starych gazeciarzy francuskich. Oni to, mając siebie za stróżów języka, co krok odwołują się do słownika Akademii. Rzeczywiście, miło jest recenzentowi i pewnym czytelnikom myśleć, że, nabywszy słownik, mają w kieszeni trybunał, gotowy rozstrzygać najdelikatniejsze spory, dotyczące się poetyckiego wysłowienia.

Jeżeli o dawniejszych poezjach moich ogólne tylko wydanio zdanie, zato „Sonety” aż do najdrobniejszych szczegółów, aż do pojedynczych wyrazów i wyrażeń, a nawet wyrazowych form i zakończeń gramatycznie retorycznie i estetycznie rozbiegane i sądzone były. Odczytałem dwadzieścia przeszło recenzji, że pominię satyry i parodje. Oto jest naprzód treść zdań ogólnych. Poezja polska (mówi p. M. M.) dotąd ograniczała się do tłumaczeń i naśladowań francuskich; Mickiewicz pierwszy nadał jej cechę narodowości, on stał się twórcą poezji oryginalnej. — Poezja polska, odpowiada p. Fran. Salezy Dmochowski, dotąd była narodową, postępowała ciągle ku doskonałości, a najwyższym jej utworem, miarą i treścią narodowości, miało być poema o „Ziemiaństwie”, od lat kilkunastu w Warszawie oczekiwane. Mickiewicz pierwszy tę cechę narodowości zdziera i niszczy, zasady smaku wstrząsa, styl kazi i literaturze polskiej powtórny grozi upadkiem. — Cieszymy się, woła lwowski wydawca moich Sonetów, że Mickiewicz zaniedbał ballady, które gmin sam najlepiej układa, a wprowadził do naszej literatury rodzaj zupełnie nowy. Sonety dają mu niezaprzeczone prawo do nieśmiertelności. — Żałujemy, woła inny recenzent, że Mickiewicz, dotąd uprawiający poezję narodową ballady i powieści, zaniedbał je i obrał sonety, rodzaj, literaturze naszej zupełnie obcy. — Forma sonetu, zdaniem dziesiątego recenzenta, jest swobodna, szlachetna i piękna; jedenastemu zdaje się być niewolniczą, trudną i niewdzięczną, piętnasty gardzi sonetami, jako wymysłem wieków średnich, barbarzyńskich: dwudziesty dowodzi, że Horacjusz nawet pisał coś naksztalt sonetów.

W szczególnych uwagach też sama zdań rozmaitość Zwrotki i wyrażenia, dziwiące jednych górnosciami i harmonją mowy, drugich gorszą pospolitością zdań i drapięciem uszy wierszowaniem. Tenże sam sonet jednych rozczula, dla drugich wesołej parodji staje się przedmiotem; ci go nie rozu-

nieja, tamci objaśniają długim komentarzem, inni pojmują autora, a uskarżają się na ciemność wykładacza.

W takiej zdań różności zastanowił nas szczególnie jeden zarzut; powtórzyło go zgodnie wielu recenzentów, a najobszerniej rozwodzi się nad nim Franciszek Salezy Dmochowski. Ten zarzut tyczy się użycia wyrazów cudzoziemskich, orjentalnych. Redaktor „Biblioteki Polskiej“ zaczyna zwyczajem swoim od uwag ogólnych, sprawiedliwych, ale już przed ogłoszeniem recenzji jego nieco znajomych: np. że poezję wschodnią naśladować trudno, bardzo trudno. Kto nie zna taktyki recenzentów, lubiących o rzeczy niewiadomej rozprawiać ogólnemi zdaniem, które w literaturze zamiast znaku „x“ używają się, sądziłby, że p. Dmochowski jest wielkim orjentalistą. Niedługo wszakże zostajemy w błędzie: widzimy zaraz, że tenże p. Dmochowski nie tylko nazwisk właściwych gór i rzek nie wiedział, co dowodzi małą geografji sąsiednich krajów znajomość, ale nie rozumiał wyrazów: Allah, drogman, minaret, namaz, izan. Zdaje się, że nawet w Warszawie, gdzie literatura wschodnia mało liczy uczniów, taka niewiadomość recenzenta dziwić musi publiczność. Przytoczone wyrazy, arabskie lub perskie, tyle razy w dziełach Göthego, Byrona, Moora użyte i objaśnione, że o nich czytelnikowi europejskiemu wstyd nie wiedzieć, tem bardziej wydawcy pism periodycznych. W opisie poetyckim miast naszych któż nie wspomniał o kościołach i wieżach: w opisie miasta wschodniego jak pominąć minarety? Jak je wytłumaczyć po polsku, czyli, mówiąc słowy recenzentów, jak je wytłumaczyć na język Sarbiewskich, Kochanowskich, Śniadeckich, Twardowskich? Dał wprawdzie Franciszek Salezy Dmochowski dziwny przykład przepolszczenia obcych wyobrażeń i wyrazów, kiedy w wierszach swoich, mówiąc o Peleuszu, ojcu Achillesa, nazywa go władcą małego w Tesalji powiatu, i tym sposobem jednego z najpotężniejszych królów Grecji bohaterskiej robi naszym powiatowym marszałkiem. Ale ja takiej, właściwej poważnym klasykom, nowości, jako poczynający pisarz romantyczny, użyć nie śmiałem.

Prowincjonalizmy i cudzoziemszczyzna, tudzież niepoprawność wiersza szczególnie przeraziły recenzentów. Stąd powszechna trwoga, abyśmy znowu nie wpadli w barbarzyństwo wieku literatury jezuickiej. „Pozwalamy, wołają na koniec recenzenci, naśladować pisarzy angielskich i niemieckich co do swobody form, ale niechże pisarze nasi na-

ślądują ich styl czysty i poprawny". „Byrona, Goethego, Skota, nikt nie obwiniał o skażenie mowy" — odzywa się zgodnie z całym chórem Salezy Dmochowski. Gdyby krytycy raczyli kiedykolwiek zajrzeć w dawne niemieckie i nowsze angielskie recenzje, przekonaliby się, że wszyscy od nich przywodzeni poeci ulegali tymże samym zarzutom. Recenzje wspomniane już i na francuskie przetłumaczono. Obaczmy, co mówi „*Mercure du XIX siècle*": „Les poètes anglais le plus renommés, parmi nous, Walter Skot, Southey, Moore, ne daignent pas corriger leurs vers: ils bravent nonseulement les règles de la mesure, mais encore celles de la grammaire, ils font de la langue anglaise une véritable polyglotte, où sont admis les mots de tous les idiomes parlés. Byron jette au hasard ses inspirations sténographiées sur le papier, sans daigner ensuite y rattacher son attention, mettant les négligences au rang des licences; système qui est sans doute celui du vrai poète: car c'est avec ce dédain, que, chez nous, M. de Lamartine a modulé ses Méditations, que ses amis et M. Tastu son libraire sont obligés de revoir. („*Journal de St. Pétersbourg*" 1828). Utyskiwania podobne nikogo dziwić nie powinny. Retorowie szkolarze, od czasów Danta aż do Lamartina zawsze byli jednostajni w charakterach i zdaniach, zawsze, czytając poetów, z dobrodusznem narzekali wstchnieniem, że poeci, mający talent, nie posiadają ich nauki. Krzyki retorycznych alarmistów wzmagają się perjodycznie w epoce wielkich odmian literackich. W Niemczech, w pierwszej połowie przeszłego wieku, literatura ledwie nie tak, jak u nas, ubogą była. Gottsched, sławny podówczas gramatyk lipski, wierszopis gładki bez talentu, retor krótkiego wzroku i ciasnego pojęcia, uważał naśladowniczą szkołę poetów śląskich za klasyczną, wiersze zaś samego Gottscheda miały być właśnie najwyższym utworem klasyczności i narodowości niemieckiej. W duchu jego szkoły Lessing, Klopstock, Goethe, należeli do nieumiejętnych i zuchwałych nowatorów. Ta walka mniemań utrzymała w pamięci imię Gottscheda, o którego dziełach już nie słyhać. Teatrem podobnych sporów była daleko dawniej Hiszpanja, kiedy szkoła włoska wprowadziła do tego kraju nową poezję. Podobne spory ukończyły się przed oczyma naszymi w Anglii, a dotąd toczą się we Francji. Wróżby więc o bliskim upadku literatury i smaku w Polsce zdają się być bezzasadne — przynajmniej nie ze strony romantycznej zagraża niebezpieczeństwo. Dzieje literatury

powszechnej przekonywają, że upadek smaku i niedostatek talentów pochodził wszędzie z jednej przyczyny: z zamknięcia się w pewnej liczbie prawideł myśli i zdań, po których wytrawieniu, w niedostatku nowych pokarmów, głód i śmierć następuje. Tak upadła literatura bizantyńska, dziedziczka najbogatsza pomników Grecji, bo, zarówno odgrodziwszy się od Franków i Arabów, z postępem wieku nowych form przyjąć nie chciała. Podobne wycieńczenie w przeszłym wieku dotknęło francuską literaturę. U nas, za czasów jezuickich, zły smak rozszerzali właśnie ludzie, najlepiej znający prawa retoryki, właśnie profesorowie retoryki i kaznodzieje. Powszechna ciemnota pochodziła nie z wprowadzenia obcych nauk, ale z ich pilnego strzeżenia się. Kiedy Konarski dowodził potrzeby języka francuskiego, uczniowie i stronnicy jezuitów oburzali się na tę nowość, równie, jak dziś uczniowie i stronnicy szkoły warszawskiej na literaturę angielską i niemiecką.

Widzi czytelnik, że z pomiędzy licznych wad, mnie wytkniętych, dwie tylko usprawiedliwić chciałem, to jest, użycie prowincjonalizmów i obcych wyrazów. Zdania recenzentów o piękności lub niedorzeczności myśli moich, złym lub szczęśliwym wyborze form, o harmonji lub twardości wiersza, zostawiam bez odpowiedzi sądowi publiczności. Daleki od sceny zaburzeń literackich, nie należący do żadnej kategorii, czytam recenzje w lat kilka po ich ogłoszeniu; przytoczyłem je w tym celu jedynie, abym pokazał czytelnikom, że nie tak łatwo, jak się zdaje, dzieła podług uwag gazeciarzy poprawiać. Chcieli wprowadzić niektórzy recenzenci oszczędzić pracy autorowi i podjęli się sami poprawiać wyrazy, wyrażenia, a nawet całkowite wiersze. Taka wspaniałomyślność recenzentów, teraz w europejskiej perjodycznej literaturze bezprzykładna, należy do cnót starożytnych, w gazeciarstwie warszawskiem dziedzicznych. Nieszczyściem różnię się w zdaniu z recenzentami co do popraw. Przytaczam niektóre z nich, zostawując wolny wybór czytelnikowi. Pan S. w sonecie „Ranek i Wieczór“ zamiast: „błysnęła w oknie, ukłękłem“ radzi pisać „stanąłem jak wryty“. Pan Franciszek Salezy Dmochowski zamiast „ziemnych krawędzi“ życzyłby widzieć „nadrzędne płaszczyzny“ albo „płaszczyste płaszczyzny“. Szkoda, że w opisaney przeze mnie ziemi nie było płaszczyzn płaszczystych P. J. K. zamiast: „a gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony“, poprawia: „i gdy zmysły

spokojne, nurza w sercu szpony". Tę ostatnią poprawę powinienbym przyjąć; potrzebę jej usprawiedliwia dostatecznie recenzent naprzód tem. „¹⁰ że hydra pamiętek, czyli działalność duszy z obudzonych w niej przykrych wspomnień, zaczem działalność jej względem własności uczucia, nie przyjemna, lecz przykra, jest w organizacji życia naszego moralnego, to jest rzeczą niezaprzeczoną...". Broń Boże, aby autor „Sonetów" zaprzeczył tak jasnej prawdzie, dowiedzionej w czterech równie jasnych kategoriach i w długiej rozprawie o hydrze pamiętek, co wszystko znajdzie czytelnik ciekawy w „Gazecie Polskiej" 1827 roku.

Kończąc niniejszą przemowę, kiedy raz jeszcze rzuciłem okiem na wyżej przytoczone rozbiory i uwagi, ton stanowczy recenzentów warszawskich, głębokie ich przekonanie o swojej nauce i o ważności wszystkiego, co wiedzą, powaga, jaką dotąd nad umysłami pewnych czytelników mają słowa: „jego pochwalono w gazecie, jego zganiono w gazecie" — bez względu, kto chwalił lub ganił — wszystko to pokazało mi całą różnicę między naszym uniżonym stanem pisarzy prowincjonalnych, a poważną recenzentów warszawskich hierarchją. Przypomniałem szczęściem, że mam niejakię prawo do przywilejów, tej kapituły służących. Przed kilkunastu laty, gdy byłem studentem, drukowałem także w „Pamiętniku Warszawskim" tchnącą klasycznością recenzję, przytaczającem obficie listy do Pizonów i kurs Laharpa, co dotąd w onej kapituły uchodzi za niepospolitą erudycję i dostateczną na urząd krytyka kwalifikację. Ośmielałem się więc, zapominając na chwilę, że zostałem tylko poetą, przybrać dawny charakter recenzenta i spółkolegom moim, przynajmniej za ogólne zdania i moralne przestrogi zapłacić podobną monetą, to jest ogólnemi uwagami i obrokiem duchownym.

Poeta bez obszernej, wielostronnej nauki, jeśli nie utworzy arcydzieł pierwszej wielkości, stanowiących w literaturze epokę, może przecież w szczególnych pomniejszych rodzajach szczęśliwie siłą doświadczać; jeśli nie pozyska europejskiej sławy, może w kraju swoim, w prowincji swojej, czytelników i wielbicieli znaleźć. Inaczej rzecz się ma z teoretykami. Ci z powołania uczeni być muszą; im więcej tworzy się dzieł sztuki i obszerniejsze w teorii odkrywają się widoki, z tem większą usilnością talent swój krytyczny doskonalić powinni i zawsze w równi z wiekiem postępować. Im zawilsze stosunki towarzyskie, tem więcej praw i zwyczajów, tem uczeńsi

muszą być prawnicy z powołania i sędziowie. Dziwną sprzecznością w literaturze naszej mieliśmy uczonych poetów i mówców, ale teoretycy nasi, zaczawszy od gramatyków aż do estetyków, żyli tylko kaskami prawideł, wyniesionych ze szkoły, zresztą ciemni i pełni przesądów, z niewiedomością połączonych. Historia literatury naszej ma tu niejaki z polityczną podobieństwo. Mieliśmy dobrych żołnierzy, zacnych obywateli, ale, w ostatnich szczególnie czasach, wdzierali się do stanowienia praw i administrowania wojska ludzie bez żadnej nauki i doświadczenia: w równie nędznym stanie było prawodawstwo i administracja literacka. Już Mroziński gruntownie ocenił wysławionych w Warszawie gramatyków; retorowie oczekują jeszcze tej smutnej pogrzebowej posługi. W kilku przynajmniej słowach porównajmy ich z autorami. Trembecki na poetę był uczonym mężem, znał filologicznie starożytną literaturę, francuską zglebił, ojczystą Zygmuntofską przeczytał i cenić umiał. Dzieła Krasickiego okazują różnostronne kształcenie się poetyckie na wzorach łacińskich, włoskich i francuskich. Niemcewicz, w pierwszych zaraz pracach, nie ograniczał się naśladownictwem: utworzył sam nowe formy historycznego dramatu, politycznej komedji i historycznych śpiewów, nie podług retoryki Dekoloniusza, ale stosownie do potrzeb czasu. Mówcy, za Stanisława Augusta żyjący, politycznem i cywilnem kształceniem się usiłowali wyrównywać obcym i ciągle iść z postępem wieku. Przeciwnie teoretycy z litością na mówców wołali: „isti homines, me hercule, habent talentum, sed non docti, rhetoricam non frequentaverunt, non illuminant orationem figuris; ubi est hipotyposis, aposiopesis, prosopopeia, sustentatio, praetermissio?” U późniejszych zostały się też same formy, też same prawidła, jakie w czasie upadku oświecenia w Polsce panowały. Uczeńsi przymieszali tylko nieco z francuskich elementarnych książek. Piramowicz, jeden z najuczeńszych, w czasie, kiedy wysokie o sztuce myśli Lessinga, Huma, Hutchesona, Burka, Smita zajmowały Europę, Piramowicz nie może wyrzeć za granicę retoryki szkolnej; książdzo Gołański i Franciszek Dmochowski w prozaicznych i wierszowanych teorjach śmieją się sobie z Szekspira, „pewnego Angielczyka“, którego teatr, jak tego łatwo dowieść można, ani w oryginale, ani w tłumaczeniu nie był im znajomy; natrząsają się z Calderona, „pewnego wierszopisa z zaśniczej Pireny“ i z Lope de Vega, lubo ich dzieł w oczy nawet nie wi-

dzieli. Zuchwałość taka pochodzi z dotąd trwającego u nas przesądu, że można nieznane dzieła bez krytyki na cudzą wiarę sądzić, na przykład Kalderona na wiarę Boileau, a Szekspira podług wyroków Woltera.

„Nie małej trzeba odwagi, mówi uczony Mroziński, ażeby się targnąć na gramatyczną Kopczyńskiego powagę“. Nie mniej trzeba męstwa, choć może nie tyle nauki, ażeby Franciszka Dmochowskiego krytyczne usposobienie i działanie ocenić. Jest to patriarcha krytyków warszawskich i wzór ich szkoły. Jak niegdyś w Paryżu nazywano Laharpa „Kwintyljanem francuskim“, a w Warszawie Kopczyńskiego „Lhomondem“ (dla uczczenia) — tak Dmochowski nazwany był Laharpem, a w Wilnie Słowacki Dmochowskim. Dziedziczenie tytułów w linii prostej i kollateralnej było bardzo w modzie. Powstać przeciw Franciszka Dmochowskiego krytycyzmowi w Warszawie, jest to, że powiem słowami Byrona, „rozprawiać w Konstantynopolu w meczecie Sofijskim o nie-dorzecznościach Alkoranu, spuszczać się na światło i tolerancję ulemów“. Zapewne, jako tłumacz poezyj, Dmochowski niemałe położył w literaturze zasługi. Sięgał on jeszcze czasów Stanisława Augusta i właśnie charakteryzuje epokę przejścia z oryginalnej i silnej poezji do lekkiego, niewolniczego naśladownictwa. Talent tłumacza „Iljady“, lubo pozbawionej mocy oryginalnej, zachował pewną śmiałość i życie; przynajmniej w tłumaczeniach puszcza się na obszerne i wielkie przedsięwzięcia. Przy miernej znajomości łaciny i literatury francuskiej, Dmochowski, zwyczajem Augustowskich pisarzy, znał jeszcze dawną ojczyzną Zygmuntofską literaturę, chociaż do języka poetyckiego stosował więcej, niż należało, prawidła gramatyki francuskiej; niezupełnie jeszcze zaślepiony, czuł i cenił śmiałość, bogactwo i różnaitość stylu Zygmuntofskiej epoki, dziwił się nowym Trembeckiego wyrażeniom i, mimo małych uchybień, oddawał sprawiedliwość wielkim i licznyim Karpińskiego zaletom. We własnych pismach pracą i usilnością doskonalił styl swój, zrazu nie-dbały, ciężki i twardy. Wielka jest pod tym względem różnica między „Sztuką Rymotwórczą“, a przekładem Homera. W ostatnich zwłaszcza pieśniach „Iljady“ wiersze harmonijne, w wyrażeniach ścisłe i, lubo wszelkiej śmiałości poetyckiej pozbawione, nie zamieniają się w rymowaną prozę. Tenże Dmochowski, jako uczony, jako krytyk, niskie bardzo zajmuje w naszej nawet literaturze miejsce, a śmiałość, która go

w poetycznych pracach do wyższych podniecała przedsięwzięć, w krytyce dała zgubny przykład coraz zuchwalszym następcom. Dmochowski pracował nad tłumaczeniem „Iljady” w epoce, kiedy „Prolegomena” Wolfa o Homerydach zwróciły powszechną filologów uwagę. Wielki spór literacki, może najważniejszy w dziejach krytyki nowożytnej, dzielił uczonych angielskich i niemieckich, zajął nawet Francję, gdzie nauki starożytne w nędznym były stanie. Nasz tłumacz „Iljady”, wielkiego, wiele lat pracy kosztującego dzieła, tyle tylko o Homerze w przedmowie powiedzieć umie, ile w podróży Anacharsysa wyczytał. Ze wszystkich uczonych, o Homerze piszących, od Wolfa do Benjamin Constant, nikt jeszcze nie odwoływał się do powagi Barthelemy. Cóż powiedzieć o przypiskach do „Iljady”, gdzie Homer z Wirgiliuszem. Tassem i podobno z Wolterem porównywany, i to w jaki sposób? Oto pojedyncze okresy lub wiersze powyrywane, potłumaczone i obok siebie postawione. Jeśli można odgadnąć zamiar tłumacza, chciał on dać wyobrażenie o różnicy talentu czyli stylu tych poetów, obnosząc, jak ów architekt, cegiełki ze świątyń „Iljady” i „Jerozolimy Wyzwolonej”. W dziewiętnastym wieku zdaje się, że czytamy pedantkiej pamięci Vossiusza rozprawy i dziecinne jego, na podobnych zasadach oparte, zdania. Szkoła poetycka Dmochowskiego, to jest naśladowców i tłumaczy z francuskiego współczesnych i późniejszych, o ile pomnażała się liczbą, o tyle ścieśniała widoki, ograniczała się w nauce i drobniła w talentach. Łacina do reszty wyszła była z mody, o greczyźnie mówić przestano, i tem więcej broniono klasyków, im więcej zaniedbywano klasyczne języki. Nakoniec literatura francuska, cząstka literatury powszechnej, stała się alfą i omegą naszych uczonych. Zamiast „Iljady”, „Eneidy”, „Raju Utraconego”, tłumaczono dziesięcioletnią pracą Delila, Legouvé, Colardeau, następnie różne ody, epitry, tragedje i komedje, zachwalone w dziennikach paryskich. Po długim przeciągu czasu, kiedy już o tych tworcach w Paryżu zapomniano, wychodziły one u nas i wzbudzały entuzjazm krytyków. Co do stylu, wszyscy prawie tłumacze długą wprawą doszli do tego, że wszyscy równie poprawni, równie od prowincjonalizmów i nowych wyrażeń wolni, wszyscy dobrze piszą wiersze. Wiersze te, dziwnie do siebie podobne, zdają się z jednego kruszcu z jednej pochodzić mennicy. Sprawdziło się filozoficzne przysłowie, że „chcąc dwie rzeczy zupełnie do siebie podobnem

uczynić, naprzód im życie odjąć potrzeba". Czy to tłumaczenie Moliera czy „Iljady”, Milтона czy Legouvé, jeden wszędzie tok wiersza, styl, ledwie nie rymy. Franciszek Salezy Dmochowski nazywa to „ciągłym postępem narodowej poezji”. Nie ujmujemy zasługi ostatnim tłumaczom: oni wszyscy razem ledwie nie dokonali w Polsce tego, co Defauconpret jeden dla Francji zrobił, lubo Defauconpret i ważniejsze dzieła i w większej liczbie przetłumaczył.

Smutniejszy jeszcze widok, jeśli być może smutniejszy, przedstawia szkoła krytyczna w tej epoce. Jej „corpus iuris” składały kursa literatury w liceach i prytańcach francuskich, naówczas używane przedmowy, znajdujące się na czele dzieł Kornela, Rasyne i Woltera, rozbiory (Examen du Cid, du Polyeucte, etc.) i komentarze, wspominające jeszcze o sporach ze Scuderym i Chapelainem, uwagi retoryczne i gramatyczne nad wierszami francuskimi. Tak bogato w wiadomości opatrzeni, krytycy zaczynali pospolicie od nadania autorom pewnych tytułów, jednego zowiąc „polskim Kornelem”, drugiego „Pindarem”, innego znowu „książęciem mówców” lub „poetów”. Szczęśliwszym dostawało się kilka razem donacyj i tytułów. Któryś z młodych recenzentów warszawskich nazwał to dowcipnie „literacką maskaradą”. W ocenie szczegółów autorów i ich porównywaniu powtarzały się wiecznie owe szkolne topiki: ten np. autor lekki, dowcipny, zabawny, tamten ponury, smutny, górny itp. Jeżeli który z Iksów, zastanawiając się nad tragedją, wzniósł się do wyższych spekulacji, do rozpraw o trzech jednościach, i pokazał, że jednej lub drugiej braknie w sztuce, jeśli dostrzegł, że między sceną a sceną próżny został teatr, dowiódł, że w tej lub w owej scenie trzeba sobie wyobrazić przysionek zamiast sieni — zdumiewano się nad talentem i wiadomościami takowego Iksa. W wyroku o stylach albo raczej o stylu, bo jeden tylko styl znano, do jednego dążono, wyłączną powagę miały retoryczne i gramatyczne o wierszach francuskich przepisy. Najwięcej też lubiono krytykę drobiazgową, bo po wygadaniu się o trzech jednościach, o poetykach Horacego i Boileau, już się ogólnych uwag przebiegało. Okresy więc, wiersze szczególne, wyrazy, całą zajęły uwagę. Zabawnie było widzieć recenzentów, obracających spólnymi siłami jedno wyrażenie lub wiersz, często niegodny uwagi, ciągnących go mezolnie na forum krytyczne, jak mrówki Karpińskiego tuszę

muchy lub ćwierć robaczka, i ledwie nie upadających pod tak wielkim ciężarem.

W takim stanie krytyki godne uwagi i budujące jest dobre porozumienie sąsiedzkie, w jakim krytycy z sobą i z autorami żyli, szanowanie, z jakim zobopólne wyroki przyjmowali, i skrupulatność, z jaką je dosłownie z ust do ust, z pióra do pióra przelewali. Zdanie księdza Golańskiego przytacza Franciszek Dmochowski, Franciszka Dmochowskiego przytacza Ludwik Osiński, wszystkich przytacza Stanisław Potocki, wszyscy przytaczają Stanisława Potockiego. Zdania te koncentrują się na chwilę w „w Historji Literatury“ Bentkowskiego, skąd w różnych przytaczaniach kanałem dzienników, przedmów i mów pochwalnych do swoich źródeł wracają. Utrzymuje się tym sposobem w Warszawie w ciągłym obiegu pewna liczba zdań, nie mających gdzieindziej żadnej wartości, jak na Żmudzi ciągle krążą stare talary holenderskie i orty.

Tej krytycznej szkoły dotąd istnieją w Warszawie zwolennicy, coraz w przykrzejszem i zabawniejszem względem Europy położeniu. Wszystko się koło nich w literaturze od Gibraltaru do Morza Białego zmieniło — oni na poetyce szkolnej, jak na kotwicy, stoją nieporuszeni. Słabiejącą odwagę krzepią czytaniem broszurek i kilku dzienników francuskich, najmniej we Francji czytanych. Można by ich porównać do owych prawodawców naszych, na mocy konstytucji, której nie rozumieli, obstających za władzą hetmańską i liberum veto, i mimo przyjętych w ościennych krajach nowej taktyki przeciwiących się zagranicznemu autoramentowi i przekonanych, że oprócz kawalerji narodowej wszystko jest czczym niemieckim wymysłem. Daremnie do nich Krasicki, a my z Krasickim wołamy do tak nazwanych klasyków:

Trzeba się uczyć, upłynął czas złoty!

Już krytyka historyczna w dziejach naszych zajaśniała, już w prawoznawstwie metoda historyczna wypędziła dawny dogmatyzm — krytyka literacka jeszcze zupełnie scholastyczną została. Dzisiaj, że Wschód pomine, w samej Europie tylu narodów tak bogate literatury stoją otworem. Sami Francuzi, wyrzekłszy się wmawianej przez szkołę Woltera swojej wyłącznej cywilizacji, uczą się, tłumaczą, nowe tworzą rodzaje. Nasi uczeni, oprócz literatury francuskiej do połowy ośmnastego wieku, nic godnego uczenia się nie widzą. Rozu-

mują z Kalifem Omarem, że albo wszystkie obce literatury zgodne są z poetyką Boileau i wtenczas mniej potrzebne — albo niezgodne, a zatem szkodliwe. Obstają niby przy starożytności, przy klasyczności; jakże niesumienne nadużywają tych wyrazów! Toż oni, nie umiając łaciny, nie mając pojęcia o greczyźnie, chcą uczyć Anglików i Niemców, jak starożytną sztukę cenić i czuć należy, o ile formy jej naśladować wolno! Dziś, kiedy w tylu językach tyle arcydzieł tak różnych zajmuje uwagę Europy, ażeby je sądzić, ażeby ogólne o sztuce czynić uwagi, trzeba talentów i różnostronnej nauki Schleglów, Tiecka, Simondego, Hazlitta, Guizota, Villemaina, i redaktorów „Globu”. Jakże ku temu dążą recenzenci ze szkoły księdza Golańskiego i Franciszka Dmochowskiego? Jedni śmieją się z Goethego, którego dzieła na całym ucywilizowanym świecie aż do rogatek warszawskich tłumaczono, czytano i ceniono — drudzy cieszą się, że „nie umiemy po holendersku i nie czytamy Lessinga” — inni radzą nawet wyciągnąć „kordon zdrowia”, ażeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy. Tej blokady rozumu, acz potrzebnej do utrzymania w cenie wyrobów wierszowych warszawskich, nie uznaje publiczność. Oświadczyli się przeciwko niej w samej Warszawie niektórzy poeci i teoretycy. Zaraza obcych nauk szerzy się tak dalece, że nawet prawcowierni klasycy przytaczają imiona Goethego, Moora, Byrona; imion tych wielkich nie należałoby wzywać nadaremnie, kiedy dzieła ich jeszcze tak mało znane, tak rzadko dostają się za kordon klasyczny. Rozprawiać zaś o tych dziełach, tudzież o sztukach i poezji w ogólności, z zapasem tylko szkolnych prawideł i z Laharperem można za stołem lub w salonie — ale z piórem w gazecie literackiej już się nie godzi. Recenzenci klasyczni warszawscy, stanowiący śmiało i zarozumiale o ważnych przedmiotach literatury, podobni są do miasteczkowych polityków, którzy, nie czytając nawet gazet zagranicznych, wyrokują o tajemnicach gabinetów i działaniach wodzów. Szcześliwi!...

Pisałem w Petersburgu, 1828 r.

GOETHE I BYRON. ROZPRAWA AKADEMICKA.

Teoretycy powtarzali od dawna, że poezja jest płodem starożytności, wieku złotego, że kwitnąć tylko zwykła w dzie-

ciństwie społeczeństwa, że ród ludzki, doskonaląc władze wyższe rozumu i rozsądku, słabnie na wyobraźni i stygnie w uczuciach, że nareszcie musi w poezji ograniczyć się tylko naśladowaniem. Teoretycy dogmatyczni, wywodzący prawidła z dzieł już utworzonych i nie troszczący się bynajmniej o przyszłość, chcieli wzory dawne uważać za jedyne kanony doskonałości, a swoje, oparte na nich, prawidła za wieczne i niewzruszone — łatwo więc mogli wpaść w błąd, zwyczajny starożytnym prawodawcom, którzy również przypuszczać nie mogli, aby ich ustawy kiedyś zmieniać się musiały. Rzecz wszakże dziwna, iż poeci nawet podzielali podobne mniemania. W wieku przeszłym narzekano we Francji na niedostatek przedmiotów dla poezji, na ich zupełne wyczerpanie. Wolter z tem się odzywał — teraz znowu dzienniki i gazety odbierają wszelką nadzieję poetom francuskim, dowodząc, że publiczność, zajęta zbyt ważnemi rzeczami, nie ma czasu i cierpliwości czytać wiersze. Podług tego mniemania, były dostrzeżone w dziejach szczególnych narodów epoki dzieciństwa, męskości i zgrzybiałości, których piętno i na literackich płodach jest wyciśnione. Nasz wiek tedy miał być epoką zgrzybiałości, przekwitnienia literackiego, słowem, prozy. Najfalszywsze zdanie, często dyktatorskim tonem powtarzane, uważa się nareszcie za prawdę, wszakże nicość jego ukazują później już to rozumowania, już to same wypadki. Jakoż, jeżeli szczególni ludzie i narody podległe są prawu organicznemu i przechodzą w rozwijaniu się swoim od epoki dzieciństwa do zgrzybiałości, ród ludzki, zbyt jeszcze młody, abyśmy o nim takie zdanie wyrzec mogli, postępując ciągle, posiada zawsze też same usposobienia, ma zawsze wyobraźnię i uczucia, a więc i organ poezji. Zdarzają się narody, zdarzają się epoki prozaiczne; jest to wina nie tak zbytniego, jako raczej niedostatecznego albo fałszywego, albo jednostronnego doskonalenia się. Na Wschodzie zbytnie ponurzenie się w spekulacje filozoficzne wycieńczyło poezję u niektórych ludów; we Francji, przeciwnie, zwrócenie umysłów powszechne do nauk ścisłych, do mechaniki i politycznych chwilowych wypadków, rozwodniło ją i poniżyło. Ale to są szczególne i miejscowe okoliczności, zmieniać się mogące. W Anglii był wiek naśladownictwa, wiek upadku poezji; tąż koleją przeszły Niemcy i Polska. Dźwigały się własnymi siłami w różnych kierunkach Anglja i Niemcy, dając innym ludom przykład i pomoc.

Jest to szczególny i szczęśliwy naszych wieków przywilej, że, jeżeli przeciwne okoliczności sprowadzały smak lub upadek poezji w jednym narodzie, wtenczas przez ściśle połączenie i liczne stosunki z obcymi narodami można znaleźć i gdzieindziej do naśladowania wzory i nowe do przebieżenia drogi. Gdyby Grecy znali poezję barbarzyńców i lubili się nią zajmować, możeby znaleźli siły nowe i nie zostali przez piętnaście wieków zimnymi naśladowcami wzorów starożytnych.

Skuteczniejszym nad wszelkie rozumowania dowodem poetyckiego usposobienia naszych wieków jest zjawienie się prawie jednocześnie dwóch pierwszego rzędu genjuszów: Goethego i Byrona.

Historyczne wiadomości o narodach obcych są wyrobione aż do statystycznych szczegółów, życia wielkich ludzi opisywane w licznych i drobiazgowych pamiętnikach, ich dzieła mamy przed oczyma w całości. Teraz więc łatwiej, niż kiedykolwiek, rozbierać je krytycznie; wprawdzie nie według tej krytyki szkolnej, nie potrzebującej zgola żadnych innych nauk i wiadomości, oprócz dziesięciu kart Arystotelesa i poetyki Boala, wyrokujeć zuchwale o wszystkim, co przypada lub nie do jej rozmiaru — ale według krytyki historycznej, która dzieła poetyckie rozważa pod względem narodu, gdzie one wzięły początek, czasu i okoliczności, wpływających na ich wzrost i dojrzewanie — która nareszcie, oceniając talent pisarza według łatwości, jakie znalazł, albo trudności, jakie zwalczył, nie stawia wyroku, ale pisze historję sztuki. Ażeby zadość uczynić powołaniu wysokiemu krytyka historycznego, wiemy, ile zdolności i usposobienia połączyć w sobie należy. Nie myślimy więc bynajmniej wdawać się w szczegółowe rozbiory dzieł Goethego i Byrona; zamierzylimy tylko wyrzec kilka ogólnych uwag, tyjących się charakteru i dążenia tych dwóch wielkich poetów.

Możnaby, zdaje się, rozdzielić poezję na dwa wielkie rodzaje, to jest: na poezję przeszłości i na poezję czasów obecnych lub przyszłych; każdy z tych rodzajów wymaga szczególnego talentu i usposobienia. Starożytni podali nam wiele głębokich, symbolicznie wyrażonych uwag. Podług dawnego podania, Homer, największy poeta przeszłości, mając opiewać Achillesa, udał się na jego mogiłę i wywoływał ducha bohatera. Ukazał się Achilles. Homer, oślepiiony blaskiem jego zbroi, stracił wzrok i w tym stanie stworzył „Iliadę“. Prze-

ciwnie, poeci liryczni, opiewając teraźniejszość, to jest uczucia, któremi są chwilowo natchnieni, i Sybille, opiewające przyszłość, zawsze zdawały się widzieć rzeczy, innym zakryte, i czuć w sobie obecność gwałtownego jakiegoś, dręczącego bóstwa. W tych dwóch symbolach widzimy prawdziwe oznaczenie dwóch rodzajów i dwojakiego sposobu opiewania. Poeta historyczny udaje się między pomniki zeszlých narodów, otacza się i dziejami i podaniami, i stara się wywołać z nich ducha przeszłości; powinien zamknąć oczy być ślepym na wszystko, co go otacza, i w samotności układać swe dzieło — przeciwnie, poeta, głoszący wielkie dzieła, na które patrzy, zachęcający do boju, wylewający uczucia miłości lub podziwienia dla swej kochanki, podziela uczucia swego narodu i swego czasu i miesza się w sprawy, które opiewa. Tak Pindar przypatrywał się igrzyskom olimpijskim.

W ostatnim wieku w dwóch tylko narodach mogły się rozwinąć, wygórować te dwa rodzaje: w Niemczech i Anglii. Obadwa ludy postąpiły wysoko w cywilizacji i zwracały na siebie uwagę Europy, w obudwóch kwitnęły nauki historyczne i uprawiano teorię sztuk pięknych.

Ale te szczególniejszy strony Niemiec, w których oświata najbardziej się rozszerzyła, nie mieszając się w burzliwe działania polityczne i będąc tylko ich sceną, z drugiej strony zajęte niezmiernie starożytnościami i historją, były właśnie siedliskiem dla poety, opiewającego przeszłość. Wtenczas w Niemczech urodził się Goethe, obdarzony genjuszem, jakiego właśnie wymagała ówczesna epoka, w okolicznościach, szczególnie jego rozwinieniu sprzyjających.

Goethe urodził się z rodziców, nie mających żadnego politycznego znaczenia, w mieście wolnem, którego obywatele, przychylni na przemiany Francuzom lub Prusakom, nie mieli żadnych własnych patryjotycznych uczuć. Pierwsze lata spędził wśród rodziny dostatniej i szczęśliwej, gdzie wszystko oddychało spokojnością i szczęściem; namiętności miał żywe, ale nie gwałtowne, przynajmniej nie popadł w towarzystwo i związki, któreby czulość jego zbyt rozdrażniły, i nie doświadczył wielkich nieszczęść, żadnych strat dotkliwych nie poniósł. Wychowanie odebrał staranne, wcześniej polubił poezję, słyszał ciągle w domu i w towarzystwach rozmowy o sztuce, poznał w dzieciństwie Klopstoka i widział cześć, jaką mu wyrządzono — uczęszczał na teatr i wcześniej dumał nad prawidłami sztuki i nad Szekspirem. W takich okoliczno-

ściach żyjący młodzieniec z wielkim genjuszem, łatwo pojąć, że sławy i przyjemności szukał w poezji — a nie mając nic, coby go poruszało gwałtownie i pociągało na scenę życia, albo natchnęło tegoczesnemi namietnościami, obrócił się ku przeszłości i w niej czerpał natchnienie. Wypadkiem takowego usposobienia i dążenia było pierwsze znakomite dzieło Goethego „Götz von Berlichingen“, w którym poeta, malując wiernie średnie wieki, odgadnął potrzebę naszego wieku, potrzebę historii, i poprzedził Walter Skota.

W Anglii od czasów Karola II poezja przestała opiewać pamiątki lub uczucia narodu, była martwem Francuzów naśladowaniem; zimny Adysson, dowcipny Pope, uchodzili za wielkich poetów, nareszcie wszyscy prawie wiersze piszący, nie znajdując już przedmiotów, zwrócili się do niewyczerpanego rodzaju opisowego, jakim zwyczajnie kończy się wszelka naśladownicza literatura. Tempson, bogaty w kolory i rozwlekły w retorycznych deklamacjach, był bożyszczem tych uczonych czytelników, którzy lubią dziwić się, ziewając.

Ale w tejże epoce potęga i oświata Anglii rozszerzała się, obejmowała cały świat znajomy i mieszała się we wszystkie polityczne wypadki. Rewolucja amerykańska, uporczywa i długa wojna przeciwko Francji, stronnictwa, dzielące opinie samych Anglików, wszystko to zajmowało publiczność; wyrabiała się wielka liczba nowych wyobrażeń, myśli i uczuć, brakło tylko poety, któryby je wyśpiewał. Była to ogromna masa palnych, podziemnych materiałów, szukająca w okolicznych górach nowego krateru.

Lord Byron urodził się ze znakomitej familji, mającej znaczenie polityczne, ale podupadłej i żywo czującej swoje poniżenie. Wychowany w samotności, musiał wcześniej podzielać smutne uczucia rodziny, a blakając się po górach szkockich, miał czas dumać nad wszystkim, co go otaczało, i nad samym sobą. Kiedy, pomieszczony w szkole, zajął się klasycznymi naukami, zdaje się, że te opinie, echa dalekiej przeszłości, nie mogły przebudzić go z dumań melancholicznych i że, obecnymi okolicznościami miotany, nie mógł z entuzjazmem czytać opowiadań dawnego wypadku. Byron pisał naśladowania Wirgiliusza i Ossyana, ale w tych naśladowaniach nie okazał talentu, bo jego talent jeszcze się nie przebudził.

Ale wkrótce przebudziły się namietności. Byron przywiązywał się do ludzi z młodzieńczym zapałem; zdradzony w mi-

łości, później żyjąc w złych towarzystwach, nieraz zawiedziony od przyjaciół, opuścił ojczyznę, przebiegał Europę i przypatrywał się morderczej wojnie; udał się na Wschód, w krainę dumania, i tam pierwszy raz okazał się poeta, wylewając wszystkie uczucia, któremi był natchniony, i myśli, które mu się w ciągu podróży nawijały. Były to uczucia młodego człowieka, żyjącego w dziewiętnastym wieku, były to myśli filozofa i rozumowania polityczne Anglika. Jak w wiekach średnich trubadurowie, odzywając się w duchu czasu, byli od swoich spółżyjących pojmowani, tak pienia Byrona przemówiły do wielkiej masy europejskiej i utworzyły naśladowców. Tak struna, uderzana, pobudza głos w innych, milczących, ale podobnie nastrojonych strunach.

Pierwsze próby poetyckie Byrona były surowo zganione; młody poeta uczuł dotkliwie wyrządzoną mu krzywdę, i wtenczas dopiero jego talent zbudził się, jak Jowisz Homera, ciskając pioruny. Satyra była pierwszym prawdziwie poetyckim Byrona utworem; natchnęły ją okoliczności czasowe, interes przemijający, słowem, była to poezja teraźniejszości; w niej okazał się młody talent zupełnie co do charakteru i dążenia różny od talentu, któremu winniśmy „Götza von Berlichingen“.

Uważmy, jakie są uczucia i myśli naszego wieku, jaki jest poetycki charakter epoki. Naprzód, w życiu prywatnem, namiętności Europejczyka, jako człowieka, różniąc się wprawdzie co do mocy i kierunku podług różnicy klimatu, narodów i praw, są zawsze gwałtowne i żywe. Sentymentalność miłosna w przeszłym wieku panowała w literaturze i towarzystwach, samobójstwo i sceny tragiczne odnawiają się w Anglii i Włoszech, tam z żalu, ówdzie z zazdrości. Zdaje się, że namiętność, nie straciwszy nic ze swojej mocy, a uderzając się o liczniejsze coraz zawady praw, rachuby i przyzwoitości i wstrzymując się od zwierzęcej zemsty, przybrała na północy przynajmniej charakter posępnego i w sobie zamkniętego żalu, różniąc się od pobożnej rezygnacji kochanków wieku średniego i od wielomównej sentymentalności romansów francuskich i niemieckich. Taki właśnie charakter nosi miłość w poezji Byrona. Przejdźmy na scenę wyższą. Co w ostatnich czasach zajmowało uwagę polityczną Europy? Powszechna i długa wojna, obalone w wielkim narodzie dawne prawa i mniemania, jeden człowiek, wznoszący się własną siłą, ujarzmiający mnogie ludy — ten widok nie jednemu filozofowi natchnął smutne myśli o rodzie ludzkim, o potędze, jaką

na nim wywiera jeden śmiały i potężnego genjuszu człowiek. Oto jest właśnie główna idea epicznych poematów Byrona. Słusznie powtarzano, że niektóre rysy „Korsarza“ były kopiowane z portretu Napoleona.

Goethe, jako człowiek, jako Europejczyk, ulegał równie namiętnościom, był pod wpływem ducha czasu, wylewał swoje uczucia, przemawiał głosem współczesnych, ale w innym od Byrona sposobie. Goethe, zdaje się, że uważał namiętności jako natchnienia, które jego dzieła sztuki ożywiać miały — namiętności Byrona, jak starożytne fatum, władały całem jego życiem fizycznym i moralnem; dla Goethego były to puławy falernuskiego trunku, jakimi lubiał orzeźwiać się Horacy — muza Byrona odurzala się niemi, jak Pythonissa wieszczym dymem. Goethe w pamiętnikach swoich zachował ciekawy szczegół o swoim dzieciństwie, wykazujący wczesne rozwijanie się i osobiwsze dążenie jego talentu. Będąc jeszcze dzieckiem, poeta niemiecki lubił rówieśnikom opowiadać swoje własne zdarzenia, ale ubrane kolorami fikcji bajecznej, pokazywał miejsca, wymieniał czas, gdzie i kiedy widział cuda i dziwy, których mali słuchacze pojąć nie mogli. Widzimy już panującą młodą poety imaginację i, jak razem, wprowadzając sam siebie na scenę, nadawał i sam sobie i tej scenie charakter urojony. To, co było w dzieciństwie kłamstwem i co się stało w pospolitym człowieku na zawsze wadą, w dziełach genjuszu stało się poezją. Kiedy później Goethe opisywał w romansach własne dzieje, postępował tymże samym sposobem: wprowadzał samego siebie pod maską i tej masce nadawał charakter coraz bardziej poety, coraz bardziej od swego różny, tak dalece, że na końcu, zapomniawszy o sobie i swoich namiętnościach, tworzył tylko idealną scenę. Sam wyznaje, że, ilekroć wylał poetyckie swoje namiętności, zawsze czuł się spokojniejszym i ledwo nie wyleczonym. Gretchen, Adelajda, Mina, były zapewne wzięte ze świata rzeczywistego, ale malowane zapalem. Goethe nie poznałby w nich swoich dawnych kochanek i przyjaciółek, do żadnej z nich nie przywiązał się wyłącznie, i dlatego umiał z równą biegłością rozmaite przedstawiać charaktery; zdaje się, że znajdował rozkosz w nowych coraz przedmiotach i w ich kunsztownem wydaniu.

Byron zachował do zgonu uczucie, a przynajmniej pamiętkę żywą dla osoby, którą kochał w młodości; ile razy malował miłość, zawsze ją miał przed oczyma i nie mógł

wstrzymać wylewu własnych uczuć. Jego pierwsza kochanka nadała charakter wszystkim heroinom jego poezji. Nie malował innych charakterów nie dlatego, żeby nie mógł, ale, że ich studjowaniem zająć się nie raczył. Sam powiada: „*melius tui meminisse, quam cum aliis versari*“. Wezwawszy jej imię w pierwszych pieśniach swoich, z żalem je pożegnał w ostatnich pieśniach „Don Żuana“. „*Te veniente, te decedente canebat*“.

Goethe może-by posagi swoich kochanek rozkazał zrobić idealnie, żadnych nie zachowując rysów szczególnych, zbyt indywidualnych, jak Canova przedstawiał żyjące osoby — Byron przeniósłby portret swojej kochanki mniej piękny, ale wierny, nawet z zachowaniem wad fizjognomji, jak Saint Prioux żądał mieć portret Julji.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Franciszek Karpiński, jeden z pierwszych poetów polskich przeszłego wieku, urodził się w Litwie roku 1741 z rodziców szlacheckich miernego majątku. Skończywszy nauki w szkołach litewskich i dawszy się poznać wcześniej z rzadkich poetyckich zdolności, udał się wkrótce do Warszawy. Naówczas dwór Stanisława Augusta i przemożny dom książąt Czartoryskich były schronieniem wszelkiego rodzaju talentów, które na wyścigi starano się zachęcać i nagradzać. Zdaje się jednak, że nasz poeta z charakteru swego mniej był sposobny do życia na dworze i na wielkim świecie, bo, chociaż od króla tytułem szambelana zaszczycony, od możnych dobrze przyjęty, nigdy jednak nie pozyskał tyle tak świetnych łask i tyle znaczenia, jakim inni uczeni i artyści jaśnieli. Przyjął skromny obowiązek nauczyciela w niektórych możnych domach, a razem czas swój pracom poetyckim poświęcał. Polska w tej świetnej dla literatury swojej epoce liczyła oryginalnych pierwszego rzędu poetów, tudzież wielu naśladowców i tłumaczy. Dzieła pierwszych okazują widocznie wpływ literatury francuskiej i częstokroć przebija się w nich duch filozoficzny ośmnastego wieku, ostatni zaś nawet co do treści i formy zupełnie naśladowali dzieła szkoły francuskiej, które stały się na długi czas jedynymi dla polskiej literatury

wzorami. Karpiński, wstępując na scenę poetyczną, okazał równie mocny charakter duszy, jak oryginalny talent. Moralny, pobożny i czuły, niezachwiany został w zasadach swoich mimo panującą modę lekkości a niekiedy nawet cynizmu. — W poezji nie idąc ślepo w niczyje ślady, szukał właściwej talentowi swojemu drogi, i dzieła jego, „sielankami“ zwane, lubo do rodzaju pasterskiego w ogólności należą, są jednak nowym, oddzielnym gatunkiem, własnym Karpińskiego utworem.

Starożytni, którzy nam zostawili wzory w rodzaju pasterskim, Teokryt, Bion i Moschus, umieszczali sceny zmyślenia swoich w wieku złotym. Ten wiek, jeden z okresów mitologii greckiej, po wielokroć od poetów opiewany, w podaniach gminnych żywą jeszcze zostawił pamięć. Obrazy więc poetów Syrakuzy, lubo nie miały do przedmiotów rzeczywistych żadnego podobieństwa, silnie jednak przemawiały do wyobraźni Greków, obudzając w nich tyle dawnych religijnych i poetyckich pamiątek. Kiedy Wirgiljusz powtarzał je Rzymianom, pienia greckie straciły swe całe dla ludu znaczenie, rozumiane tylko od uczonych, i daremnie poeta chciał ożywić interes, miesząc zdarzenia ówczesne pod postacią zimnej alegorii do scen pasterskich, nie mających z ówczesnym stanem Rzymu i z usposobieniem Rzymian żadnego stosunku. W wiekach średnich niektóre śpiewy trubadurów miały pasterski charakter, ale zupełnie już od greckiego różny, ile zaś razy chciano naśladować dawnych, rodziły się dziwaczne sprzeczności. Pasterze mitologiczni złotego wieku przemawiali językiem zalotnych rycerzy i snuli w chatach i zagrodach wszystkie intrygi, knujące się naówczas z zamkach gotyckich baronów. Takie były pasterki francuskie d'Urfé, hiszpańskie de Montemayor i wielu innych, dowcipnie od Cervantesa wyśmianych. Cały rodzaj sielskiej poezji wypadł z mody i daremnie pisarze niektórzy francuscy wskrziesić go usiłowali. Gessner na koniec postanowił zwrócić całkiem do dawnych, przeniósł się w mitologję grecką, a jego sielanki, nie mające żadnego z teraźniejszą rzeczywistością stosunku, są przynajmniej jako dzieła sztuki szczęśliwem naśladowaniem. Poeta umiał utrzymać się zawsze w jednej sferze i zachować ton i kolor właściwy. Kiedy tak różne koleje przechodził rodzaj pasterski, i zewnętrzna jego forma była rozmaicie miarkowana; w sielankach francuskich i hiszpańskich przyjęto formę epiczną romansów rycerskich, pani Deshoullières

niekiedy w ton śpiewu, czasem znowu w ton elegji, a dowcipny Joung, któremu również uroiło się pisać sielanki, naciągał je zupełnie na panującą wówczas we Francji formę dydaktycznych epitrów, przetykanych epigramatami.

Takie były wzory przed Karpińskim. Nasz poeta żadnego z nich nie naśladował, szczęśliwym instynktem odgadnął, że, chociaż istota rodzajów poezji jest też sama, ale ich treści i formy nie powtarzać, ale coraz nowym sposobem rozwijać się muszą. Stał się poetą swojego wieku i narodu, bo w jego pieniach ozwały się charakter i usposobienie współrodaków. Nie umieszczał on scen swoich w wieku złotym, ale po prostu na wsi. Aktorowie jego są ludzie zwyczajni, nam z usposobienia i charakteru podobni, ale poeta odmalował ich życie z jednej strony, to jest w stosunkach domowej zaciszy. Małe troski łagodne, namiętne, niewinne wiejskie zabawy stanowią tła i rysy sielanek polskich. Co do formy zewnętrznej, poeta wziął je ze śpiewów gminnych, naginając budowę zwrotek wedle prawideł udoskonalonej wersyfikacji. Stąd pojąć można, dlaczego poezje Karpińskiego stały się tak popularne; każdy z nich przypominał sceny, które, zdaje się, że kędyś oglądał, nawet rytm i śpiewy były uchu znajome, tylko nieco upięknione, sielanki więc, stworzone w stylu żywiołów narodowych, a ożywione wysokim talentem, stały się śpiewami narodowymi. Prawda, że niekiedy Karpiński występował z tej ogólnej, skreślonej od nas idei, niekiedy zbyt zbliżał się ku urojonej wieku złotego sferze, i bardzo często niepotrzebnie uświęcone zwyczajem imiona, ale teraz ledwie nie śmieszne, Filonów i Menalków aktorom swoim nadawał. Wszystko to nas przekonywa, że ogólny charakter poezji swojej nie z góry sobie podług pewnych prawideł rozumowania nakreślił, ale raczej szczęśliwym instynktem odgadnął. I ledwie nie śmilibyśmy powiedzieć, że jeszcze oryginalniejszym i większym byłby pisarzem, gdyby mu wzory starożytne poezji pasterskiej albo zgoła nie były znajome, albo żeby o nich całkiem umiał zapomnieć. Jak dalece co do formy zewnętrznej Karpiński studiował śpiewy gminne i przejął się ich charakterem, służyć może za dowód jeden z najpiękniejszych jego utworów, дума historyczna o Ludgardzie, z której piszący w tym rodzaju Polacy uczyłby się powinni składni i toku śpiewnego swojej mowy. Równe mają zalety jego pieśni pobożne, dotąd po kościołach od ludu powtarzane. Harmonję wierszy Karpińskiego czuli nawet cudzoziemcy, a uczoney Kaulfuss w rozprawie

o języku polskim, mówiąc o rytmie i harmonji, odwołuje się szczególnie do sielanek tego autora. Próbował Karpiński sił swoich w tragedji i komedji, ale te nieszczęśliwe twory służyć mogą za dowód, jak nawet wielki talent nisko upaść musi, kiedy uda się w niewłaściwą swojemu lotowi sferę. Lepiej mu się powiodło tłumaczenie psalmów Dawida, bo w nich mógł swoje liryczne zdolności rozwinąć. Prawda, że w śmiałości i mocy wyrażen nie dorównał tłumaczowi, Kochanowskiemu, ale przekład swój, dla giętszej budowy strof i gładziej wersyfikacji, uczynił przyjemniejszym dla masy czytelników i do śpiewu sposobniejszym. Wszystkie te prace Karpiński dokonał w czasie bytności swojej w Warszawie i w jej okolicach. Zniechęciwszy potem życie na wielkim świecie, wrócił do małej wioseczki, darowanej mu od króla Stanisława; piękna elegja, którą swój domek, dawno niewidziany, powitał, jest ostatnim nam znajomym tworem jego muzy. Lat blisko dwadzieścia przeżywszy w samotności i prawie w zapomnieniu, zgrzybiały życia dokonał.

Karpiński jest jeszcze autorem wielu pism prozaicznych, oryginalnych i tłumaczeń, ale tych rozbiór do naszego planu nie wchodzi. Dzieła jego po kilkakrotnych wydaniach zebrano w Warszawie w czterech tomach in 8°.

STEFAN GARCZYŃSKI.

Dnia 20 września 1833 r., o godzinie szóstej rano umarł w Awinjonie nasz ziomek i współtulacz, Stefan Garczyński, żołnierz jazdy poznańskiej, narodowy nasz rewolucyjny poeta. Młodość była piękna, krótka, poświęcona ojczyźnie, przyjaciółom. Urodzony w Wielkopolsce, pierwsze zasady krajowego wychowania odebrał w domu, wśród własnej rodziny, a potem w szkołach warszawskich. Następnie kształcił się w wyższych naukach na uniwersytecie berlińskim, gdzie się szczególnie nauce prawa rzymskiego i filozofji oddawał. Oczarowany zrazu nauką Hegla i jego zwolenników, krótkie swoje akademickie lata w nowszych systematach niemieckiej filozofji przemarzył. Ale jego wyższe uczucie, imaginacja rychło go wyrwały ze steku książek i spekulacyjnych marzeń; szukał ludzi i pięknego nieba: udał się na południe i pierwsze natchnienie poetyckiego życia uczuł w sobie na klasycznej

ziemi sztuk pięknych, w starym Rzymie, gdzie (w 1829—30 r.) pierwsze próby swojego pióra tak skromnie, tak nisko cenil, że się z nimi przed najbliższym nawet tał przyjacielem, jakby z ułomnością swoją. Wtenczas to zaczął pisać poemat *Wacław*, w które całą swoją czułość i tajemnice duszy swojej przelewał, a pisał je dla siebie tylko, w rozmowie z sobą, na samotności, którą przedwcześnie lubić zaczynał. Tymczasem zdrowie jego coraz się bardziej do upadku chyliło; tkliwość zbyt, jakaś drażliwość i smutek niepojęty zwiększały jego słabość, gdy nagle wieść o rewolucji polskiej gruchnęła po Europie. Nie tracąc godziny, przeleciał spiesźnie Szwajcarję i Niemcy i, zaledwo się Wielkopoleanie w poznański legion szykować zaczęli, już w nim między szeregowymi Garczyńskiego widziano. Trud, niewczas, zimno, głód, nie tylko zdrowie, lecz jakąś olbrzymią siłę w niego przelały. Nieraz na pobojowisku po dniowej rozprawie, zatknawszy swą lancę, wśród obozowego gwaru tworzył narodowe pieśni, które młodzież nasza lubiła powtarzać i które najpiękniejszą po nim zostały pamiątką. Jego „Obozowa modlitwa“, „Śpiew ochotników poznańskich, wychodzących na Litwę“ i inne rewolucyjne hymny, znane już za czasu wojny, z uniesieniem przyjęte przez lud i wojsko nasze. Wkrótce mianowany oficerem, pełnił czynność adjutanta przy jenerale Umińskim i do ostatniego obwołania go wodzem przez Sejm i część wojska przy nim zostawał. Jaką boleść wyrwały na nim ostatnie klęski i złożenie broni naszej w ręce nieprzyjaciół, najbliżsi jego towarzysze zdolni by opisać. Niedługo rząd pruski dozwolił mu wypocząć na łonie przywiązanej do niego familji w Poznańskim. Dotknęły go srogie prześladowania, i unikając fortec, inkwizycji i landwerskiej służby, pod obcym nazwiskiem przedarł się w styczniu (1832 r.) do Drezna, gdzie spokojnie swoje ulubione poematy kończył i większą część świeżo wydanych poezyj napisał. Ale z nadejściem wiosny dawne cierpienia nagle się w nim odnowiły; w miesiącu lipcu okazały się pierwsze symptomy suchoty, a w jesieni przepowiedzieli mu śmierć lekarze. Całą zimę w okropnych boleściach przejęczał, które powiększało w nim moralne cierpienie, los naszego kraju, ospałość Europy, męczeństwo Polski; wtenczas to, ulegając namowom przyjaciół, zezwolił na wydanie poezyj swoich, które później może, niż sama wieść o śmierci jego, rozejdą się po kraju.

Przeszłego marca przeczuł bliską i niechybną śmierć; lekarze go odstąpili. Jedyne jeszcze zostawał mu ratunek, udać się do Włoch, dokąd tęsknił i tam dla siebie uzdrowienia spodziewał się. Ale był tułaczem: policja saska, od ościennych dworów podszczuwana, nagliła do wyjazdu, a paszportu do Włoch odmówili mu wielcy ambasadorowie. Wyprawiono więc go za radą lekarzy do Szwajcarii, do Bex, gdzie jakoby dla suchotników miało być bardzo zdrowe miejsce. W Bex połączył się z przyjacielem swoim, który pospieszył mu na ratunek i nie odstąpił go do ostatniej godziny. Próżne były wszelkie zabiegi dostania się do Włoch; wielcy dyplomaci odmówili mu paszportu nawet do skonania pod piękniejszym niebem. W nadziei, że z Francji lepiej mu będzie tę jedyną łaskę wyżebrać, puścił się przez Genewę do Awinjonu. skąd do Marsylii miał się udać. W ostatnich tygodniach mało już cierpiał i skarżył się tylko na słabość sił, która mu nie pozwalała dalej jechać. Jego skonanie było lekkim zaśnieniem na wieki: gotowość umrzeć i krótką młodość swoją sam odmalował w chwili przecucia.

Jam się w szkole nieszczęścia, jako wiatr na górze,
Wyhodował i wyrósł: jak wiatr może zginie,

Ale przeczekam jeszcze tę jedną godzinę
I przyjmę z męstwem równem, na co bądź zasłużę.

ALEKSANDER PUSZKIN.

Czas między rokiem 1815 a 1830 był szczęśliwym dla poetów okresem. Po długich i wielkich wojnach Europa czuła się znużoną bitwami i kongresami, biuletynami i protokołami; smutna rzeczywistość stała się jej wstrętną, i podnosiła oczy ku idealniejszym poglądom. Wtedy to okazał się Byron i zajął w sferach wyobraźni to samo miejsce, co wielki cesarz na polu dotykalmem. Przeznaczenie, nasuwające Napoleonomi nieustannie powody do nowych wojen, długim pokojem osłoniło Byrona. Podczas całej jego poetycznej przewagi żadne wydarzenie większej doniosłości nie rozrywało uwagi Europy, zajętej naówczas literaturą angielską.

W tym to okresie właśnie młody Rosjanin, Aleksander Puszkina, kończył nauki swoje w liceum Carskiego Siola, szkole, kierowanej zagraniczną metodą, gdzie młodzież nie

mogła nabywać niczego, co by się mogło stać korzystnem dla narodowego poety — raczej, przeciwnie, była narażona na niebezpieczeństwo zapomnienia wszystkiego, co mogła nabyć gdzieindziej, bo stawała się obcą wszelkim rodzinnym podaniom i obyczajom kraju własnego. Antydotum jednakże przeciw tej cudzoziemszczyźnie było dla niej czytanie poetycznych swojskich utworów, a szczególnie Żukowskiego. Znakomity ten pisarz był początkowo naśladowcą pisarzy niemieckich; został ich współzawodnikiem, usiłując nadać poezji rosyjskiej narodowy charakter, zajmując się wyłącznie podaniami i dziejami swojego kraju. Tym sposobem Puszkina stał się uczniem Żukowskiego; ale Byron wyrwał go wcześniej z tej wytrawnej szkoły i uniósł go na długie lata w pustynie fantastyczne i jaskinie romantyzmu.

Po przeczytaniu byronowskiego „Korsarza“, Puszkina poczuł się poetą. Posypała się wielka liczba utworów jeden po drugim, między którymi były najznakomitsze „Jeniec Kaukaski“ i „Fontanna Bakczyseraju“. Poematy te, ogłoszone drukiem, wywołały wśród publiczności entuzjazm, trudny do opisania. Wielu czytelników uderzyła nowość przedmiotów i form poetycznych, kobiety podziwiała głębię uczuć młodego pisarza i bogactwo jego wyobraźni, a literatom zaimponowała moc, ścisłość wyrażań i wykwiśniętość stylu.

Puszkina został odrazu uznanym za najpierwszego poetę swej ojczyzny. To tak łatwe powodzenie obudziło w nim pragnienie nowych i szybkich triumfów i zaszkodziło bardzo spokojnemu rozwojowi jego zdolności; bo Puszkina był jeszcze dzieckiem, wprawdzie dzieckiem wzniosłym, ale zawsze dzieckiem. Na północy bowiem moralna strona człowieka później dojrzewa, niż na zachodzie. Sam grunt społeczny nie zamyka w sobie tylu żywiołów ruchu, co w starej Europie, a atmosfera literacka, którą człowiek tam oddycha, mniej ma w sobie elektryczności sił namiętnych. Dlatego też Puszkina, zacząwszy wcześniej żyć, marnował swój talent, a ufając za wiele własnej mocy, rzucił się zawczasie w wyższe sfery, gdzie sam przez się utrzymać się nie mógł, zawikłał się w krąg byronowski i obracał się wokoło tej gwiazdy, jak planeta, wciągnięty w jej systemat i błyszczący jej światłem. I w istocie, w dziejach pierwszego jego okresu wszystko jest byronowskie: i przedmiot, i charakter, i idea, i forma — a mimo to Puszkina daleko mniej naśladował swojego ukochanego poetę, raczej był opanowany tylko jego duchem. Nie

był on fanatycznym byronistą, był on raczej, że tak powiemy „byronizującym“, bo, gdyby utwory angielskiego poety nie istniały wcale, Puszkina byłby uznany zawsze za pierwszego poety swojej epoki.

Zjawisko podobne zapowiadało na północy wielką rewolucję w literaturze; wszystkie rozmowy salonów obracały się około zalet i wad nowego systemu poetycznego. Walka klasycyzmu z romantyzmem mogła w Rosji lada chwila wybuchnąć, a co jest najszczególniejszem, że w tym samym czasie przygotowywała się i polityczna rewolucja.

Trzeba przedewszystkiem wiedzieć, że w tym kraju wszystko, co żyje, jest zawsze mniej lub więcej niezadowolone ze swojego rządu; oskarża się go nie tylko tajemnie, ale publicznie źle się o nim mówi i głośno. Mimo to nikt nie przestaje ani pracować w biurze, ani zaciągać warty — jednym słowem, wszyscy służą temu rządowi. Cudzoziemiec, nie znający natury i wagi tej opozycji, tak odwiecznej i powszechnej a razem tak mało niebezpiecznej, widząc wszędzie nieprzyjaciół istniejącego nieporządku rzeczy, a nigdzie jego obrońców, gotów myśleć że Rosja oczekuje tylko sposobnej chwili, że wygłąda hasła.

To usposobienie umysłów i ten język rewolucyjny publiczności zawiódł nawet i samych Rosjan i to, na nieszczęście, najszlachetniejszych z pomiędzy nich ludzi. Kilku ze szlachty i wielu z wojskowych, rozentuzjasmowanych myślą wolności, uwierzyło w to, że ich rodacy najszczერzej podzielali ich uczucia i że przyszła już chwila, w której można obalić despotyzm i wprowadzić na jego miejsce monarchję konstytucyjną, jeżeli nie rzeczpospolitą. I w tymże samym czasie, kiedy w tajemnych zebraniach osnuto czynne sprzysiężenie, starano się na zewnątrz rozszerzać wolnomysłne pojęcia za pomocą korespondencji i książek. Literaci w Rosji stanowią gatunek bractwa, spojenego niejednym węzłem. Są oni wszyscy albo ludźmi majątnymi, albo urzędnikami rządowymi i po większej części piszą dla pozyskania chwały i wziętości. Ponieważ zdolność u nich nie stała się jeszcze popłatnym towarem kupieckim, rzadko więc okazuje się między nimi zazdrośne współubieganie się lub interesowna nienawiść, a przynajmniej żaden uderzający przykład czegoś podobnego nie objawił się oczom moim. Literaci zatem lubili często zbierać się razem, widywali się prawie codziennie między sobą i przepędzali czas na wspólnych ucztach, na prywatnych odczy-

tach i przyjacielskich rozprawach. Dlatego też nie było trudno spiskowym, którzy po większej części byli literatami, tworzyć sobie stronników licznych tak w Petersburgu, jak i w Moskwie.

Wkrótce też, jakby na dany znak, cała literatura rosyjska stanęła po stronie opozycji. Ci, co nie śmieli pismami swojemi zaczepiać rządu, zasklepiali się w groźnem milczeniu. Przyznać tu należy na chlubę literatów rosyjskich, że okazali w tym razie moc duszy i bezstronność, jakiej przykładów nie znaleźlibyśmy w krajach wolniejszych i bardziej ucywilizowanych. Głęboko przekonany jestem, że ogromne te sumy, jakie wydaje gabinet rosyjski na kupienie sobie tylu usługanych obrońców poza granicami państwa, nie wystarczyłyby na opłacenie jednego z literatów rosyjskich, mających wziętość, choćby za pojedynczy artykuł dziennikarski, za najdrobniejszą pochwałę, nawet za słowo grzeczności. Co tu mówimy, jest tak prawdziwem, że podczas koronacji cesarza Mikołaja nie można było znaleźć w Moskwie ani jednego poety, któryby chciał opiewać tę uroczystość, mogącą przejść pod tym względem niepostrzeżoną, gdyby się nie znalazł był bard zagraniczny, przybyły z Paryża, który u stóp Najjaśniejszego Pana, cara Wszechrosji, złożył dytyramb najgorętszego legitymizmu.

Puszkina, jak wszyscy jego przyjaciele, był w opozycji i w ostatnich latach panowania Aleksandra puścił w świat kilka epigramów przeciw jego rządowi, a nawet i osobie; ułożył nawet „Ode do sztyletu“. Te ułołne poezje obiegaly Rosję od Petersburga do Odesy w rękopismach; czytane z chęcią, rozbiegane, komentowane, wielbione, zapewniły pocie więcej wziętości, niżeli późniejsze jego utwory, mające daleko wyższą wartość. Lecz i to prawda, że dla napisania czegoś podobnego potrzeba w Rosji więcej odwagi, niż dla zrobienia rozruchu na ulicach Paryża lub Londynu. Od tego czasu zaczęto uważać Puszkina jako naczelnika opozycji intelektualnej, jako polityka, niebezpiecznego dla rządu. Cesarz sam uznał za stosowne wzbronić mu pobytu w stolicy i wysłać go do odległej prowincji, co mu ocaliło życie, bo wkrótce wyszło na jaw wielkie sprzysiężenie. Zaburzenie w Petersburgu upadło, powstanie w prowincjach południowych stłumiono, i nieszczęśliwi rewolucjoniści zginęli na rusztowaniu albo przepadli na zawsze w minach syberyjskich.

Jednakże Mikołaj, następca Aleksandra, zdawał się mieć chęć złagodzenia i zmienienia dotychczasowego systematu,

przynajmniej o ile to dotyczyło Puszkina. Przywołał go do siebie i dał mu osobne posłuchanie, na którem miał z nim długą rozmowę. Był to wypadek niesłychany, bo nigdy nie widziano żadnego cara, dającego posłuchanie komuś, kogo na wschodzie nazwanoby proletariuszem, a który w Rosji daleko mniej ma znaczenia — bo, chociaż Puszkina był z pochodzenia szlachcicem, nie miał w hierarchji administracyjnej żadnego „czynu“, a człowiek bez rangi urzędowej w Rosji nie ma żadnej społecznej wartości; nazywają go człowiekiem honorowym, jest on kreaturą nadliczbową.

Na tem pamiętnem posłuchaniu cesarz z wielkiem zajęciem rozmawiał o poezji; było to po raz pierwszy może, że car z którymkolwiek ze swoich poddanych mówił o literaturze. Zachęcał on poetę do oddania się pracy, dozwolił mu nawet ogłaszać, co mu się podoba, bez odwoływania się o pozwolenie cenzury. Tak Puszkina pierwszy otrzymał przywilej wolności druku, o czem historia nie powinna zapomnieć. Cesarz Mikołaj w tym wypadku niepospolitą okazał zrzeczność: potrafił on ocenić postępek i odgadł, że Puszkina miał za nadto rozum, aby mógł nadużyć wyjątkowego przywileju, i za wiele wzniosłości duszy, aby nie zachować wdzięcznej pamięci tak niezwykłej laski. Jednakże liberaliści patrzyli z nieufnością na zbliżenie się do siebie dwóch tych potentatów; zaczęto oskarżać Puszkina o zdradę sprawy państwowej, a ponieważ wiek jego i doświadczenie zaczęły kłaść na niego obowiązek większej miary i ogładności w słowach, większej roztropności w postępowaniu, zaczęto tę zmianę przypisywać obrachowaniom samolubnej ambicji.

W tych czasach pokazał się poemat „Cyganie“, a później „Mazepa“, dzieła znakomite dowodzące postępowej natury zdolności Puszkina. Oba te utwory mają pewniejsze podstawy w rzeczywistości. Przedmiot ich jest prosty, charakter osób głębiej pojęte i nakreślone z pewną mocą, a styl już daleko swobodniejszy od wszelkich przesad romantyzmu. Na nieszczęście forma byronowska uciska go jeszcze, jak zbroja Saula uciskała ruchy młodego Dawida. Staje się rzeczą widoczną, że zabierał się do zrzucaenia jej z siebie.

Odcienia te, które w pracach artysty oznaczają przejście z jednego okresu w drugi, okazują się jasno w utworze jego najpiękniejszym, najoryginalniejszym i najbardziej narodowym w „Oneginie“. Puszkina, pisząc ten romans, udzielał go publiczności częściami, jak Byron swojego „Don Juana“. Roz-

począł on od naśladowania angielskiego poety, usiłował iść potem o własnej mocy i zakończył prawdziwą oryginalnością. Treść i osoby „Onegina“ należą do rzeczywistego życia, do życia prywatnego, i mają motywy prawdziwej tragiczności a zarazem sceny trafnej komedji.

Prócz tego napisał Puszkina dramat, który Rosjanie wysoko cenią, kładąc go obok utworów Szekspira. Zdania ich nie podzielam, lecz byłoby to nie lada pracą usprawiedliwiać tu moje przekonanie. Dostyc będzie napomknąć, że Puszkina był za młodym jeszcze, aby mógł tworzyć historyczne postaci. Była to tylko próba dramatu, ale wykazywała wyraźnie, do czego kiedyś mógł dojść. *Et tu Shakespeare crīs, si fata sinant.*

Dramat „Borys Godunow“ zawiera w sobie nie tylko szczegóły, ale całe sceny przedziwne. Prolog przedewszystkiem wydaje mi się tak oryginalnym, tak wzniosłym, że nie waham się wyznać iż jest jedynym w swoim rodzaju i powstrzymać się nie mogę abym słów kilku o nim nie powiedział.

Po śmierci cara Iwana Okrutnego albo Groźnego, Borys Godunow przywłaszczył sobie panowanie nad Moskwą, sprzątnąwszy ze świata syna swojego poprzednika. Wkrótce potem pretendent, podający się za prawowitego następcę tronu, przybył z armią polską, zajął Moskwę i panował czas jakiś pod nazwiskiem Dymitra. Jest to osnowa dramatu. Rzecz się rozpoczyna podczas panowania Godunowa, w małej celi jednego z klasztorów. w której pewien mnich ukończył pisanie kroniki poprzedniego monarchy. Przegląda on dzieło swoje z zadowoleniem autora i powagą zakonnika, kiedy śpiący u nóg jego młody nowicjusz zaczyna się miotać pod wpływem snu strasznego. W tym śnie wymawia on dziwne nazwiska, wspomina wypadki, których znać nie mógł. Obudzony wkońcu, opowiada widzenia bitew, rozruchów i rewolucji. Opowiada nie to, którego prawdziwego znaczenia najwyraźniej nie rozumie, służy kronikarzowi do dopełnienia napisanego dzieła, daje mu poczucie przyszłości i staje się symbolem proroczym całego dramatu. Można łatwo zgadnąć, że ów nowicjusz będzie pretendentem do korony, fałszywym Dymitrem.

Dramat ten jak wszystko, co Puszkina pisał naówczas, nie daje bynajmniej jeszcze miary prawdziwego jego talentu; w epe, o której tu mówimy, przebył on tylko część naznaczonego sobie zawodu, miał dopiero lat trzydzieści. Ci, co go wtedy znali, dopatrzyli się w nim wielkiej zmiany. Zamiast

chciwie pożerać romanse i zagraniczne dzienniki, zajmujące go niegdyś wyłącznie, wołał słuchać opowiadań powieści ludowych, narodowych pieśni i dziejów kraju swojego. Zdawał się on na zawsze opuszczać cudziemijskie strefy, wkorzeniać się w Rosję i zrastać się z rodzinną swą ziemią. W rozmowach jego, które bywały coraz poważniejsze, można było spostrzec zarody przyszłych jego utworów. Lubiał rozbierać wysokie kwestje religijne i społeczne, o których się jego ziomkom nawet nie śniło. Widocznie odbywało się w nim jakieś przeobrażenie wewnętrzne. Jako człowiek i jako artysta byłby nieochybnie zmienił poprzedni swój nastrój, albo raczej znalazłby był swój własny. Przestał nawet pisać poezję, ogłosił tylko kilka dzieł historycznych, które można było uważać za coś przygotowawczego. Ale do czegoż się gotował? Czy chciał rozwijać swoją erudycję w tym kierunku? Z pewnością nie! Gardził on autorami, piszącymi bez celu i dążeń, nie lubiał sceptycyzmu filozoficznego i artystycznego chłodu, jaki widział w Goethem. Co się działo w tej duszy? Budził-że się tam w ciszy ów duch, ożywiający utwory Manzonięgo lub Pellico, zapładniający rozmyślenia Tomasza Moora, który umilkł także? Może wyobraźnia jego pracowała, aby wcielić w siebie pojęcia w rodzaju Saint-Simona lub Fouriera? Nie wiemy. W poezjach jego ulotnych i w jego rozmowach można było spotykać ślady obu tych kierunków. Cokolwiek bądź, mam to przekonanie że jego milczenie poetyczne było szczególną wróżbą dla literatury rosyjskiej. Spodziewałem się, że okaże się wkrótce na scenie jako człowiek nowy zupełnie, w całej sile swoich zdolności. dojrzały doświadczeniem, wzmoconiony długim wysiłkiem. Wszyscy, którzy go znali, dzielili te moje pragnienia. Jeden strzał z pistoletu zniszczył te oczekiwania.

Kula, która ugodziła Puszkina, zadała cios straszliwy umysłowości rosyjskiej. Ma ona i teraz znikomitych pisarzy: pozostał jej Żukowski, poeta pełen godności, wdzięku i uczucia, Kryłow, bajkopisarz, bogaty wyobraźnią, niezrównany w wyrażeniach, książę Wiazemski, który we Francji nawet mógłby dowcipem swoim zaszczytne zająć miejsce — ale nikt z nich nie zastąpi Puszkina. Nie jest to danem żadnemu krajowi, aby w nim więcej, niż raz jeden, mógł się ukazać człowiek ze zdolnościami w tak wysokim stopniu i tak rozlicznymi, które zdają się zwykle nawzajem się wykluczać. Puszkina, w którym czytelnicy wielbili talent poetyczny, zadziwiał słu-

chających go żywością, jasnością i delikatnością swego umysłu. Miał on nadzwyczajną pamięć, sąd pewny i smak wytworny. Słyszac go rozmawiającego o polityce zagranicznej lub własnego kraju, można go było wziąć za męża, osiwialego wśród spraw publicznych i czytającego codziennie rozprawy wszystkich parlamentów. Narobił on sobie epigramatami i sarkazmami swymi wielu nieprzyjaciół, którzy się mścili za to oszczerstwem. Znałem poetę rosyjskiego z bliska i przez dość długi czas, uważałem go za człowieka charakteru wrażliwego a czasem lekkiego, ale zawsze szlachetnego i wylewnego. Wady jego zdawały się zależeć od okoliczności i od społeczeństwa, w jakim żył, ale co w nim było dobrego, pochodziło z własnego jego serca. Umarł w trzydziestym ósmym roku życia.

Jeden z przyjaciół Puszkina.



PISMA POLITYCZNE.

O PARTJI POLSKIEJ.

Walka mniemań wybucha, organizuje się i toczy tym samym sposobem, jak każde powstanie narodowe. Opinie pojedyncze zbiegają się do większych ognisk, tworzą masy, zajmują stanowiska, przybierają hasła i wywieszają chorągiew. Jeśli tworzą się coraz większe masy, jeśli więcej pojedynczych dowódców łączy się pod jedną chorągiew, jest to znak, że powstanie rozszerza się i wzmacnia; skoro założono już obóz naprzeciwko nieprzyjacielowi, można przewidywać bliskie spotkanie się.

Za hasło stronnictwom służą osoby, których imiona grzmiały po obozie, ale często są zmieniane. Prawdziwymi chorągiewkami mniemań są nazwiska, które stronnictwa sobie nadają i które wyrażają swoje dążenia i swoje cele.

Ile razy powstały w społeczeństwach nowe interesa, nowe mniemanie, nowe walki, tyle razy wystąpiły na scenę nowe nazwiska. W Grecji dzieliły się miasta na stronnictwa demokratów, arystokratów, oligarchów. W Rzymie toczyła się inna wcale, różna od greckiej, walka kasty patrycjuszów z plebejami. Partje starożytne ograniczały się do szczególnych państw do szczególnych pokoleń. Od czasów nstania chrześcijaństwa ludy dążyły do zjednoczenia i zakres partji znacznie się rozszerzył. Już gwelfowie i gibeliny poruszali interes całych Włoch, Niemiec i wielu innych państw zachodnich; dalej jeszcze sięgała walka protestantyzmu z Kościołem. Nakoniec w rewolucji francuskiej partje stały się od razu europejskimi. Rojaliści i republikanie obudzali sympatję: tamci w sercach królów, ci w sercach ludów całej Europy. Nie wspominamy tu o partjach chwilowych, cząstkowych,

które, codziennie tworząc się i niknąc, nie zasługują na uwagę.

Godna jest zastanowienia, że nazwiska stronnictw potężnych i wiele obiecujących nie były nigdy wymyślone przez pojedynczą osobę, przez koterję. Tworzą się one sposobem niewidomym, i już są używane, kiedy nikt jeszcze nie zglębił, co z aczą i komu powinny być nadane. Tworzą je masy ludu często na różnych punktach w jednym czasie, jak te pieśni gminne, jak te dowcipne słowa, które, im są powszechniej znajome, tem trudniej dociec ich autora.

Przeczuwamy wszyscy wielką walkę między partjami gabinetów i ludu, dawnego porządku i nowych potrzeb; obiedwie partje zbierają się, kupią i obliczają się nawzajem. Jakież chorągwie te partje wywieszą, jakie sobie nadadzą nazwiska? Te nazwiska już są znalezione, już są w biegu między ludami różnych krajów. Dwie tylko mieć będziemy partje w Europie: jedną z nich nazwie świat „moskiewską“, drugą „polską“.

Któż nas śmie oskarżyć o próżność narodową albo o pochlebianie ojczystemu pokoleniu? Czyż to naszemu jest dziełem, że wybuchnienie naszej rewolucji powitane zostało takim gminnym okrzykiem radości — że przez cały ciąg walki naszej tak mocno biło serce ludu w całym chrześcijaństwie, że królowie nawet musieli kłamać sympatję dla nas? Przypomnijmy, jak Niemcy witali naszych żołnierzy. Uważmy, co o nich dotąd mówi Francja (nie rząd francuski). „Oszczędzajcie grosz nasz — wołali wieśniacy francuscy do swych reprezentantów — ale nie żałujcie wydatków na wojnę i na wsparcie Polaków, bo Polska jest to Francja“. I dalej widzą wieśniacy, niż mędrkowie Izby. Słusznie powiada *Kurjer*: „Sprawa polska jest tak wielką, że jej pan Dupin nie jest w stanie zrozumieć. Pan Dupin nigdy nie dowie się, co to jest Polak, bo pan Dupin nie ma duszy“. Lud dowiedział się, bo lud ma duszę.

W Niemczech komitety polskie były to istotnie kluby liberalne; tam przyjaciel Polaków znaczy toż samo, co przyjaciel wolności. Młodzież, ofiarując dar jednemu znakomitemu pisarzowi, kazała wyryć te tylko słowa na podarunku: „Przyjacielowi Polaków“.

Dlaczegoż imię Polski stało się tak popularne? Bo do imienia Polski przywiązane jest wyobrażenie nie tylko wolności i równości, ale poświęcenia się za wolność i równość powszechną. Tego wyobrażenia nie zawiera w sobie dotąd żadne znajome nazwisko partji. Tytuł demokracji oznaczał człowieka który w swoim mieście lub kraju chce zaprowadzić równość polityczną, i nie więcej. Kantony demokratyczne w Szwajcarii żyją w zgodzie z arystokratycznymi. Demokracja amerykańska żyje w zgodzie z cesarzem Mikołajem. (Polska nie może być w zgodzie z żadnym dawnym gabinetem). „Republikanin“ mniej jeszcze wyraża. „Republikanin“ jest stronnikiem rządu bez króla, ale rzeczypospolite bardzo były różne, stąd republikanin musi dodawać do tytułu swego albo proklamację, albo konstytucję, albo datę musi oznaczyć czy jest republikaninem z roku 91 czy 93 etc. Takie objaśnienia i numera nie podobają się masom. Polak jest naturalnym demokratą i republikaninem, jest może sprzymierzeńcem tych stronnictw, ale nie przestaje na tych tytułach, domaga się od demokratów przyrzeczenia, że będą walczyć za wolność powszechną, jak on walczył i walczyć musi. Rzeczpospolita i demokracja są to tylko pierwsze święcenia, przygotowujące. Polak, przybierający tytuł demokracji lub republikanina, zdaje się nam być podobny do biskupa, któremuby się zachciało tytułować diakonem.

I to nasze twierdzenie teorią nie jest: dowiedzimy przykładem, że ludy tak pojmują tytuł Polaka. Ile razy było zaburzenie, emeta, i dał się słyszeć okrzyk „vive la liberté!“ jeśli widziano Szwajcara demokrate, albo mieszkańca St. Marino, albo nawet Amerykanina, obojętnego i nie biorącego udziału w walce, nie miano mu tego za złe jako cudzoziemcowi. Ale skoro ukazał się Polak, krzyczano „*Polonais en avant!*“, jak gdyby on był wszędzie żołnierzem, gdzie walczą o wolność... Miał w sobie ducha polskiego ten człowiek, który w rewolucji napisał na chorągwiach polskich za *waszą i naszą wolność*, i wyraz *waszą* położył przed wyrazem *naszą*, wbrew całej dawnej logice dyplomatycznej.

Długoby mówić o tem, jak Polacy zyskali sobie tyle zaszczytu. Historia nasza jest reszcie świata mało znana, ale historia wlała się w dusze Polaków, utworzyła legjony i re-

wolucja praktycznie pokazała ludom dążenie partji polskiej, a lud ma dziwny instynkt, trafniejszy, niż wszelkie rozmowienia.

Z drugiej strony gabinety opierają się na Mikołaju; on jest widomą głową ich kościoła — i dlatego ludy wszystkich naszych nieprzyjaciół, wszystkich nieprzyjaciół wolności uważają za Moskalów. Zostawmy im ten tytuł, chociaż prawdziwiej ochrzciłby ich należało „carystami“. Niedosć jest nazywać systemat rządów teraźniejszych despotyzmem. Despotyzm jest stary, caryzm jest nowy i oryginalny systemat. Despotyzm ograniczał się na ciemieniu poddanych i często bywał w zgodzie z sąsiadami republikanami — caryzm jest połączony z propagandą z natury swojej musi podbijać i rozszerzać się. Despotyzm bywał często ciemnością tylko bierną niedostatkiem światła — caryzm jest ciemnością czynną, jest prawdziwym szatanem politycznym. I to lud zgadnie. Patrzmy na dzieci! Gdziekolwiek na ulicach udają wojnę, dzielą się zaraz na Polaków i Moskalów. Prawda, zakryta mędrcom, nieraz objawia się dzieciom. Ale, jeśli tytuł Polaka tak wiele znaczy, wielkie i ciężkie przywiązane są do niego obowiązki.

O LUDZIACH ROZSĄDNYCH I LUDZIACH SZALONYCH.

Pierwsze zjawienie się historyczne w Polsce ludzi na urząd rozsądnych i z profesji dyplomatów przypada na czasy pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. Kiedy haniebnemu sejmowi Ponińskiego radzono podpisać akt samobójstwa, nie śmiano już do Polaków przemawiać językiem starym, wzywać ich w imię Boga w imię *powinności*, trzeba było stworzyć język nowy: rozprawiano więc o *okolicznościach czasu, miejsca, o trudnościach, o nadziejach*; nareszcie zaklinano obywateli w imię *rozsądku*, aby przestali czuć po obywatelsku. „Gdzież *rozsądek* — wołano — chcieć opierać się woli trzech dworów? Gdzie są *środki* oparcia się? Czy jest *czas* potemu? Czy nie lepiej część poświęcić, aby resztę zachować, ze skolatanego statku Rzeczypospolitej wyrzucić, dla ulżenia mu, kilka województw, od chorego ciała Rzeczypospolitej dać odciąć część, której nie podobna uzdrowić?“ Etc. etc. etc. Tak sprawa ojczysta wpadła od tej chwili na języki sofistów!

Poczcwi posłowie, szczególnie z głębi prowincji przybyli, słuchali z podziwieniem nowych dla Polaka rozumowań; nie umieli, nie chcieli nawet wdawać się w rozprawy, zatykali uszy na podobne bluźnierstwa; polskim rozumem, polskim sercem nie mogli pojąć ani uczuć, jak to sejm miałby Rzeczpospolitą rozdzierać, bliźnich swoich, spółobywateli w niewolę zaprzedać. Odpowiedziano im, że sejm posiada *la souveraineté!* Przybiegli na pomoc ludziom rozsądnym dyplomaci, zbrojni w obosieczne słowa aljansów, gwarancyj, traktatów, kartonów, neutralności, i nareszcie wzbogacili słownik nasz wyrazem *kordon*, nad którym niegdyś tak dumali politycy nasi, jak potem nad interwencją i nieinterwencją. Zgraja głupców i ludzi bezdusznych wstydziła się przyznać, że tych wyrazów nie rozumie, rada była popisać się z nauką, szermując niemi. Rejtan po raz ostatni przemówił starym językiem, zaklinając na *Rany Boskie*, aby takiej zbrodni nie popełniać; ludzie rozsądni okrzyknęli Rejtana głupcem i szalonym. Naród nazwał go wielkim, potomność sąd narodu zatwierdziła.

Kiedy konfederaci Barscy broń podnieśli, znaczna część narodu podzielała ich uczucie, ale rozsądek i polityka tak się rozszerzyły między szlachtą, że, zamiast wsiadania na koń, zaczęto rozważać, czy sposobna była pora, oczekiwać odpowiedzi z Wiednia, posilków z Francji etc. Nareszcie konfederaci napadli Stanisława Augusta: krzykniono, że splamili honor narodowy, konfederatów potępiono, jako szalonych awanturników. Naród i potomność inny wydały o nich wyrok.

Kiedy na sejmie czteroletnim Korsak w każdą materję wtrącał dwa słowa: „Skarb i wojsko! Wojsko i skarbi!” zaklinając teoretyków, aby zamiast tylomiesięcznego rozprawiania o prawach kardynalnych zaczęli od poparcia tych *czynem, wojną* — ludzie rozsądni za to, że Korsak często parlamentarskich form nie przestrzegał, nazwali go głupim, stronnicy Moskwy — szalonym.

Kiedy Kościuszko stanął na czele narodu, kiedy Warszawę oswobodzono, Stanisław August, przyjmując deputację rewolucyjną, rzekł na pół z piaczem: „To jest wszystko pięknie! *C'est sublime!* Ale, moiści dobrodziejce, czyż to rozsądnie? Cóż to z tego będzie?...” Kościuszko umarł na wygnaniu — ale zwłoki jego złożył naród w grobach królów naszych. Stanisław August, rozsądny, pochowany był z honorami królewskimi — w Petersburgu.

Kiedy w czasie tworzenia się legionów młodzież polska, opuszczając krewnych, wyrzekając się dóbr, przekradała się pod chorągwie Dąbrowskiego i Kniaźewicza, krzyczano na tych zbiegów, obwoływano ich za szaleńców. Dąbrowski i Kniaźewicz w ówczesnych pismach niemieckich wystawieni byli, jako szaleni awanturnicy. Znajdował się między awanturnikami zbiegły od rodziny Wincenty Krasiński, który później stał się rozsądniejszym.

O rozsądnych ludziach rewolucji ostatniej zostawiamy sąd pokoleniom. Może nikt z tych, którym zarzucają błędy, nie będzie obwiniony o złe chęci, o brak miłości ojczyzny — może najczęściej przez wstyd fałszywy, przez bojaźń śmieśzości, przez żądze popisania się z wiadomościami prawnymi i parlamentarskimi, ludzie poczciwi nie śmieli radzić się uczucia swego, sumienia, ale biegali po rozsądek do głowy i książek.

Co z tego wszystkiego wnosimy? Oto, że rozsądek, czyli взгляд na okoliczności zmienne życia codziennego, nie jest trybunałem na sądenie spraw, dotyczących się wieków i pokoleń — że rozsądek pojedynczy jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego. W czasach, kiedy umysły, chore na sofisterję, pozwalają sobie o wszystkim rozprawiać na prawo i na lewo, rozum rodu ludzkiego, wygnany z książek i z rozmów, chowa się w ostatnim szańcu, w sercach ludzi *czujących*. Skazówką tych ludzi jest uczucie powinności. Godna uwagi, że jeden z naszych generałów zasłużonych, pierwszy, ile nam wiadomo, śmiał na czele pamiętników swoich militarnych napisać te słowa: „Czułem, że o powinności nie wolno rozumkować“.

Jeżeli kto się spyta: „Cóż jest powinnością Polaka dzisiaj, w tej godzinie, w tem lub owem zdarzeniu?“ — nie podajemy sobie za wyrocznię, nie umiemy nic powiedzieć człowiekowi, któremu jego sumienie nic nie mówi. Niech *czeka!* Lepiej robi, nie mieszając się w wypadki i rozmowy. A jeśli szuka nauczyciela i książek, niech weźmie na uwagę krwawą lekcję, demonstrowaną w Fischau, w Kronstadt, niech rozbierze kurs polityki, który wykładają bracia nasi przy taczkach w twierdzach pruskich. Tym tylko profesorom przyznajemy prawo rozprawiać o działaniu teraźniejszym braci naszych w Polsce — oni sądem przysięgłym wojennym zawyrokują o ich zasługach.

„*Pielgrzym*“ nie śmie mierzyć swoim rozsądkiem przed-

siewzięcia i działania ludzi, którzy czują, że powinni, że umięją i że mogą coś wielkiego dla dobra ojczyzny zdziałać. Nie wciska się jak nieproszony świadek, tem mniej jak sędzia, między sumienie tych ludzi i Opatrzność! I drugim wciskać się nie radzi w przekonaniu, że wszelki zamiar, o ile był czysty od widoków osobistych, od chęci wyniesienia się lub poniżenia innych, o tyle się uda, to jest, przyniesie pożytek sprawie ojczystej zaraz lub w przyszłości.

O ARTYKULE „TRYBUNY“
TUDZIEŻ
O STAREJ TAKTYCE STRONNICTW.

„Kłamstwem świat przejdiesz, ale nazad nie wrócisz“.

(*Stare przysłowie polskie*).

„Musi to być prawda, bo wydrukowano“.

(*Stare przysłowie polskie, już zatracone*).

Jest to konieczny los ludzi, mówiących nieprawdę, że powoli tracą wiarę u sąsiadów i szukają coraz nowych uszu. Kłamstwem świat przechodzą; niektórzy tak prędko galopują, że już Polskę i emigrację przebiegli, Europę kończą zwiedzać... Ale jak powrócą?

Przekonani jesteśmy, że wszelkie nasze oskarżenia się wzajemne, prawdziwe czy fałszywe, pochodzą zawsze z czystego źródła, z chęci służenia sprawie ojczystej i sprawie wolności; ale złych chwytamy się broni, wojując nienawiścią osobistą, kłamstwem i potwarzą. Jest to stara taktyka ruty-nistów politycznych, zużyta, nic nie warta. Iluż to ludzi karmi i pielęgnuje w sobie nienawiść, jako drogi przymiot, jako dowód mocy charakteru, i wyrabia jad, jako broń straszna. Błąd fatalny, bo nienawiść osobista roztacza powoli duszę i wycieńcza zdolności, nakształt raka trawiącego. Jad udzieliła natura stworzeniom czolgającym się; najsilniejsze nie mają go. Narody wielkie w czasach potęgi słynęły z charakteru łagodnego i niemiściwego. Znikczemnione Włochy, w epoce upadku, były stolicą domowych nienawiści i prywatnej zemsty.

Kłamstwa, jako środka politycznego, próbowali u nas często najszlachetniejsi ludzie w najlepszym celu — zawsze ze złym skutkiem. Kłamano w towarzystwach tajemnych, przesadzając liczbę i siłę związków, aby tem łatwiej wciągać do

konspiracji, kłamano przed rewolucją dziwy o Chłopickim, kłamano potem w jego imię — patryjoci drogo za to przyplacili. Kłamano w powstaniach, rozszerzano fałszywe wieści dla zachęcenia — doświadczeni konspiratorowie i naczelnicy powstań zgadzają się na to, że nie mieli nigdy pociechy z ludzi, wciągniętych sztucznie; zemknęli oni zaraz, albo psuli serca drugim, z wewnętrznego przekonania idącym za dobrą sprawą.

Poszła w pogardę i obrzydzenie dyplomatyka stara, że kłamstwem żyła; krzyczano słusznie na salony i saloniki, kuźnie plotek. Mająż patryjoci, ludzie nowi, naśladować tę rutynę? W gotującym się nowym porządku Europy najstraszniejsza będzie dyplomatyka narodu, który ją na prawdzie osadzi: oszuka stare gabinety, jak prosty człowiek po spolicie najłatwiej zwalczy oszustów pocziwością.

Nic tak nie osłabiło mocy druku, jak kłamstwo — i prawdę teraz ludzie albo z ostrożnością przyjmują, albo, jako podejrzaną, mijają. W dawnej Polsce była większa wolność druku, niż gdziekolwiek w Europie, bo każdy, kto miał prawo obywatelstwa, mógł u nas drukarnię zakładać i, co chciał, ogłaszać. Uczucie narodu było straszną cenzurą; wiadać, że druku nie nadużyto, kiedy nam zostało przysłowie: „Prawda, bo wydrukowano“. Taki zaś był wpływ druku, że jedna książeczka w czasie elekcji wyniosła na tron Michała Korybuta.

W czasie rewolucji dano piękny przykład w biuletynach wojennych. Europa czytała je z zupełną wiarą, powiększała nawet zawsze nasze zwycięstwa. Można mówić, żeśmy rehabilitowali styl wojenny, który był powszechnie wzorem kłamstwa. Przed naszą wojną powiadano: „Kłamię, jak rozkaz dzienny“. — Czy nie wartoby równie rehabilitować styl dziennikarski, i parlamentarstwo, i całą politykę?

MYŚLI O SEJMIE POLSKIM.

Źródłem moich rozumowań i nadziei jest mocna wiara, iż żyjemy w czasie wielkich odmian porządku europejskiego. Widoczna jest, iż wszystkie zasady, na których opierała się budowa średnich wieków, są podkopane. Religja osłabiona, wypływające z niej instytucje duchowieństwa, arystokracji,

uprzywilejowanego średniego stanu, straciły dawny charakter. Wszystko podano w wątpliwość, w pogardę, w pośmiewisko. Stoi gmach jeszcze, jak dom, podkopany w fundamentach, ale za pierwszym powiewem wiatru upadnie. Ta grożąca odmiana, niewidoma gabinetom, jak potop złym ludziom, skazanym na śmierć, objawia się w różnych symptomatach każdemu, kto czuje i myśli, kto wierzy w Opatrzność. Przepowiadają tę burzę filozofowie, poeci, księża, wieśniacy na różnych punktach ziemi, w różnych partjach i religjach. Dość podnieść oczy w górę: tam książd Lamennais, Schelling, Lamartine, Chateaubriand i mnóstwo innych, jak chorągwie na wieżach, pokazują, skąd wiatr zaczyna wznosić się. Dość ucho przyłożyć do ziemi: tam w tawernach niemieckich, w foburgach paryskich, nawet w chatach włoskich, jeden rodzaj się huk, wrózący trzęsienie ziemi. Kiedy nastąpi burza, za rok czy za lat sto, dla mnie obojętne pytanie; czuję, że nastąpić musi.

Naród polski, ofiara rządów zbestwionych i zdzieczalych, musi, zmartwychwstając, politykę całą odmienić. Sejm polski, arka naszych praw i naszych tradycji, gdziekolwiek stanie, równie święty będzie dla Polski i dla całej Europy, jeśli stróżę tej arki uczują wielkość swego powołania. Sejm polski nosi podwójny charakter: najprzód władzy prawej narodu polskiego, powtóre władzy moralnej europejskiej i w dwojakim tym charakterze przemawiać powinien.

.....

Ale nie na tem koniec. Sejm wyższe jeszcze zająć może stanowisko, jeżeli się ośmieli. Zarzucano mu zawsze ociąganie się i wahanie — stąd nieufność ku niemu patryotów; zarzucano mu brak pewnych zasad i wiary w sprawę, co osłabiało sympatję popularnej partji w Europie. Sejm jednym krokiem może wrócić na miejsce, które mu należy się. Jeżeli to uczyni, przekonany jestem, że nie odezwie się przeciw niemu ani jeden głos w emigracji; nie będzie śmiało odezwać się. Wszystkie ludy obróć ku sejmowi oczy. Ale do tego kroku potrzeba odwagi i poświęcenia się zupełnego. Sejm powinien ukonstytuować się jako *concilium* europejskie, powinien śmiało wyrzec zasady swoje, zasady, mające służyć za podstawę wolności ludów. Uważając rządy za nieprzyjaciół swoich, uważając, że żadna izba europejska nie jest wyrazem woli narodowej, bo te izby obrane pod wpływem dawnych przesądów, bo jeszcze tchną egoizmem i trwożliwością, sejm pol-

ski niech obwieści, że będzie reprezentował wolę ludów i niech wyda swój protokół przeciwko protokołom londyńskim.

Niech ogłosi, że, biorąc chrystjanizm za prawo, potępia wszystkie wojny o granice, o handle, o porty, etc. etc., jako bezbożne — że wszystkie ludy ma za dzieci jednej rodziny — że, jak Chrystus śmiercią swoją położył koniec krwawym ofiarom, tak Polska położy koniec wojnom, ofiarom narodów.

Niech rzuci anatema europejskie na konferencję i pogrozi członkom jej, iż, skoro część która Europy odzyska wolność, ścigać ich i sądzić będzie.

Niech sejm polski równie potępi i wyklnie sejm frankfurcki, uwalniając Niemców od posłuszeństwa tej nieprawej władzy.

Przewiduję, że mię o szaleństwo obwinia; ale przypomnijmy sobie Kościół pierwsiastkowy. Pierwsze *concilia* zgroma- dzały się w lochach i spokojnie układały *symbolum*, które potem świat przyjął. Jakież złe skutki wyniknąć mogą z tego postępowania sejmu? Będziemy prześladowani? — Czyż nie jesteśmy teraz? Sejm nie skompromituje emigracji. Jeżeli członków izby rozpędzą, cóż na tem straci Polska, że członkowie będą w Anglii, a nie w Paryżu? Jeżeli całą emigrację wypędzą, i na tem Polska nic nie straci, bo emigracja nie numerycznie jest silna, ale moralnie, i tylko, powiększając jej moralną siłę, powiększamy siłę Polski.

Sejm tym sposobem wzięłby na siebie rolę wielką i tem piękniejszą, że bezprzykładną w dziejach; obudziłby znowu walkę opinii, a ręczę, iż znaleźliby się ludzie, którzy jego wyroki uważaliby za obowiązujące i odwoływaliby się do nich. Sejm, rozpędzony nawet, wydając z Ameryki urządzenia, jeszczeby straszył despotów i podburzał partję liberalną. Cóż, jeśli w którym kraju rewolucja wybuchnęła i nastał nowy porządek rzeczy? Sejm wtenczas nie tylko znalazłby przytułek, ale uznany byłby za władzę.

W takim działając duchu, nie protestacje pisać, bo protestacja jest wyrazem słabości, ale prawa stanowić powinna izba nasza, przybierając ton śmiały i decydujący. Niech się zadziwiał rządy, jak niegdyś doktorowie nad Chrystusem, słysząc, iż uczy nie rozprawami, ale powagą, jako mający władzę. Nie należy uważać na śmiechy ministrów, żarty nawet własnych redaków, bo i z Rejtana żartowano, ale potem imię jego stało się święte. Żartują z tych tylko, którzy, wstydząc się, przyznają do słabości.

Sejm powinienby gruntować władzę swoją na szczególnej misji Opatrzności, jako dochowujący tradycję narodu wernego religji i wolności, i który tyle wielkich spraw nigdy nie zdradził — nareszcie, jako jedyny reprezentant woli ludów, nie uznając w żadnej z teraźniejszych izb charakteru prawej władzy.

.

Nie podobna ocenić skutków, któreby taka śmiałość sejmowi wywarła na nasz naród i na emigrację.

Żaden z wygnańców nie śmiałby odtąd skarżyć się na niepewność swego losu, widząc, że sejm rzuca się w tęż samą niepewność i daje przykład narażenia się na przesławanie.

Myśl, że jesteście rycerzami wolności powszechnej, podniosłaby każdego w jego własnych oczach, a potrzeba wielkiej myśli dla obudzenia ducha wielkich poświęceń się.

PRZEMÓWIENIA.

MOWA NA PIERWSZYM POSIEDZENIU NAUKOWEM WYDZIAŁU I.

(Dnia 29 września 1818 r.)

Szanowni Koledzy i Bracia moi!

Zatrudnienia, którym już to z powołania już z chęci naszej oddani jesteśmy, po krótkiej przerwie na nowo nas wzywają. Na nowo każdy postępując według przepisów prawa i własnej gorliwości, otwarte widzi pole do zbierania najdroższych, bo przyspieszających kształcenie umysłu naszego, pożytków. Wspólna, najświęciej zaprzysiężona pomoc niechybnie łatwe do osiągnięcia takowego celu podaje sposoby. Niech się chlubią wielkie i w sposoby nam brakujące zamożne, i genjuszami pierwszego rzędu osadzone towarzystwa, że każdy stara się do nich być wcielonym, roszczać stąd sobie pewne i do sławy i do pożytków, które przez samo z wielkimi mężami obcowanie nabyć się mogą, prawa. Lecz gdy liczba takich bardzo ograniczona być musi, kiedy duma i miłość własna wstęp do nich zagradzać zwykła, kiedy ci nawet, którzy innym chcą być pomocą, niełatwo to skutecznie mogą, gdyż metod nabierania i udzielania wiadomości wcale jest różnym; kiedy, mówię, niepodobieństwem jest dla wymienionych przyczyn jakiegokolwiek nam z tej strony obiecywać pomoce, czyliż już w trudnej uczenia się drodze, nie znalazłszy biegłych przewodników, upaść i błędem oddać się wypada? Bynajmniej! Wystawmy sobie: czego największą mamy potrzebę? Oto sprostowania sądów naszych, pomnożenia wiadomości i wprawy myślenia. Gdzież nam tego szukać wypada? Czyli u ludzi, którzy wdarzysię się na trudną doskonałości opokę, już zapomnieli o drogach, któremi przechodzili;

czyli u współbraci, którzy z nami do jednego celu postępując, częstokroć lepszą drogę przypadkiem wynajdą i niezbyt jeszcze oddaleni, rękę nam podać mogą? — Bez wątpienia taka jest w sztuce oświecania się kolej. Pracujący dla entuzjazmu i prędkości nie widzi błędów, które jego kolega, mniej nawet w sądzie biegły, dostrzec może; prawda, że takie dostrzeżenie ludziom wydoskonalonym łatwiej przychodzi, ale też mniej dla nas jest pożyteczne; bo biegły krytyk przez samą ciągłą wprawę nabywa pewnego smaku, pewnego taktu w sądzie, za pomocą którego natychmiast, co jest złem, postrzeże, ale dla czego jest złem, z wielką trudnością nas objaśnić może. Przeciwnie ten, kto się jeszcze uczy sądzić, zawsze ma na pogotowiu przyczyny, któremi sąd swój popiera i stąd uczenie się kolegów, albo nam równych, albo bardzo niewiele nas wiadomościami przechodzących, daleko jest pożyteczniejsze, aniżeli wielkich mistrzów nauka. Stąd to znawca natury, Jakób Russo, każe doskonałemu malarzowi, jeśli się ten uczeniem drugich zajmuje, niekształtne z początku kreślić postacie, ażeby uczeń miał nadzieję stania się mu podobnym. Kiedy przeciwnie, ujrzawszy doskonały obraz i ledwie znając jeszcze początki sztuki, odstraszyć się i odwagę z ochotą, te dwie najmożliwsze działań sprężyny, utracić mógłby. — Kiedy tak postępować należy w doskonaleniu smaku, do zbierania pożytecznych wiadomości nie inna być musi droga. Weźmijmy jeden i ten sam przed oczy nasze przedmiot; różnica naszych charakterów i usposobień różne zrodzi wyobrażenia; te wzajemnie udzielane pomnożą każdego pojęcie nowemi odkryciami, którychby sam przez się uczynić nie mógł. A stąd oczywiste i dla ogółu Towarzystwa i dla każdego z członków wypływają korzyści.

Lecz niedość kształcić smak, nabywać wiadomości; trzeba jeszcze samemu do czynienia nowych odkryć sposobić się, ile można. Cóż może do tego z większym posłużyć pożytkiem, jeśli nie wspólne rozbiwanie podanego sądowi naszemu przedmiotu? Tam to każdy słyszy zarzuty, nie przechodzące sfery jego pojęcia, gotuje odpowiedzi, na które zdobyć się jest w stanie. Widzi nareszcie sąd większości i poznaje stąd, która strona miała słuszność, a która pomyliła się w rozumowaniach. Takim to sposobem orzeźwiamy, wzmacniamy, podnosimy władzę myślenia, uczymy się mieć zdanie własne; kiedy przeciwnie, wdawszy się z daleko wyższymi od nas w badanie jakiegokolwiek rodzaju, zagłuszeni sofizmatami, obarczeni

tysiącami dowodów, często może niesłusznych, wyrzec się własnego zdania i, cudze tylko myśli powtarzając, echem być musimy. — Nie tu koniec przecież drugih pożytków, które nam Towarzystwo zapewnia. Przyjaźni! jeszcze na twoim ołtarzu winną należy złożyć ofiarę. Tak, bracia szanowni! Gdyby samo obcowanie z wybranymi od nas, a co do skłonności i charakteru zgodnymi przyjaciółmi było całym związku naszego zamiarem, gdyby czekała nas tylko przyjaźń najściślejsza, szczerość, pomoc wzajemna — jużby Towarzystwo drogie dla nas być powinno; a jakiego warte przywiązania, kiedy oprócz zaspokojenia słodkich uczuć serca, doskonaleniu rozumnemu otwiera drogę! Te-to dwa cele niech każdy z nas obierze, niech pamięta, że wszelkie Towarzystwo, które ich w sobie nie połączy, runąć koniecznie musiało. Nie jeden naucza przykład, że kluby dobrze urządzone podbiły liczne Towarzystwa źle uorganizowane; ale kiedy te zwycięskie kluby do złego zmierzyły celu, niedługo zwycięstwem cieszyć się mogły. Liczniej jeszcze widzieć się dają związki gorliwe, ale źle urządzone i tych pewna czeka zguba. My, jeśli się nie mylimy, podobnych ustrzegliśmy się szkopułów. — Stało Towarzystwo na niewzruszonych nigdy zasadach i wzrastać i rozwijać się z natury swojej musi. Zostaje nam tylko w jego wzmaganiu świetną położyć zastęgę.

Nie będę przypominał nikomu obowiązków, gdyż członkowie wszelkiego stopnia mają ustawy, których niech się pilnują; tego tylko nigdy nadto powtarzać nie można, co się drobną wydaje rzeczą, a co przecież wielkie ciągnie za sobą skutki. O tajemnicy chcę mówić. Każdy z nas nienawidzi przyjaciół, którzy jego zwierzenia się drugim wydają; każdy z nas niech podobnego wystrzega się zwierzenia, bo własnych jest panem tajemnic; ale cudze, skąd wziął prawo wyjawiać? Ani przyjaźń, ani związki, ani okoliczności, nic tu nie jest wymowne. Przestępstwo takiego rodzaju pociągnie za sobą szkody dla Towarzystwa, jeśli to nie wytrąci z łona podobnych członków. Lecz obyśmy tego nigdy nie ujrzyć nie byli przy muszeni! I zaiste nie ujrzymy, niech tylko tak każdy działa, jak działał i jak działać powinien. Co do mnie, chlubnym rzędu wezwaniem postawiony na czele Wydziału, mam nowy obowiązek kształcenia jakichkolwiek sposobności, które rządowi we mnie podobało się upatrzeć; mam nowy obowiązek starać się, ażebym się nie został niżej od kolegów, którym pierwszeństwo przyznawać winienem. A tak starając się, za-

służyć na pochwałę, jak gorliwy członek, mam nadzieję, biorąc miarę z gorliwości i usposobienia waszego, szanowni koledzy i bracia, zdając raport z waszych postępów, jako reprezentant wydziału, i stąd sobie do sławy prawo rościć będę.

MOWA DO JANA CZECZOTA, PRZY WPROWADZENIU GO
JAKO CZŁONKA CZYNNEGO.

(Na posiedzeniu Wydziału I. d. 12 stycznia 1819 r.)

Szanowny Towarzyszu i Bracie nasz!

Koledzy, których tu zgromadzonych widzisz, stawia się dziś przed Tobą w nowym charakterze. Poznawszy poprzód Twoje zdolności, a teraz gorliwość, chęć dobrą, szlachetne serce i uczciwy charakter, wynoszą Cię na stopień członka Towarzystwa Filomatycznego.

Towarzystwo to zawiązało się w najpiękniejszym celu przyniesienia pożytku krajowi, rodakom i nam samym; obrało do tego najpiękniejszą drogę, to jest drogę oświecenia. Ale zastanówić się wypada, czyli drogi tej wyłącznie trzymając się, skutecznimy, cośmy zamierzili? Niestety, umysłowe nasze działania są najściślej ze światem zmysłowym połączone. Nie możemy bezpośrednio wyjawiać większej masy ludzi myśli i uczuć naszych. Jedni wynaleźli piękny sposób udzielania ich drogą pisma, drudzy ludzie, nie mogąc sięgnąć tam, gdzie się tworzą myśli, i gdzie jest siedlisko uczuć, wynaleźli okropny sposób przeszkadzania, ażeby się te uczucia i myśli drugim nie objawiły. A tak włożono kajdany na dusze i serca nasze. — Każdy z osobna pracując, choćby z najgorętszą chęcią, kiedy wszędzie napotka zawady, a nigdzie pomocy, prześladowany od ludzi, którym nie widzi oparcia się sposobu, trudzony pracą, której nie widzi pożytku, kiedy mu zabraniają działać, kiedy przeszkoda w działaniu zabrania myśleć — przestaje być człowiekiem, bo zarzuca uprawę najszlachetniejszej części człowieka.

Ażeby tak okropnej kolei uniknąć, połączyliśmy drobne siły nasze; postanowiliśmy wspierać siebie nawzajem, oświecać, zachęcać i wspólnie działać. Ale i ten związek, potężniejszy daleko od każdego z nas z osobna, gdyby się tylko pracą

naukową zatrudniał, trudno mu byłoby się utrzymać. Obaczmy, kto go teraz składa? Ludzie, których całą zaletą jest tylko cisza, praca i gorliwość. Obaczmy, kto go do koła otoczył? Ludzie, nikczemni, którzy nie mogą wznieść się do szlachetniejszych uczuć i wyższych zamiarów, postanowili wszystko, co jest szlachetnem i wyższem, przytłumiać i wykorzeniać. Filozof, przedstawiając te smutne myśli, zapala się nieprzebraganą ku ludzkiemu rodowi nienawiścią; ale kto mimo nienawiści nie zraża się i pragnie dobrze ludziom złym czynić, jest według mego zdania daleko większym filozofem.

Kiedy więc Towarzystwo, działając tylko umysłowo i odrębnie, pracując tylko nad naukami, tyle znalazłoby przeszkód, a cóż, gdybyśmy daleko obszerniejsze i ważniejsze rozwinęli zamiary? gdybyśmy nie, jak owi dziecy ludzie, którzy chcąc gatunek drzewa poprawić, owoce cukrem napuszczają, a nie wiedzą, że w pniu i podstawie jest siedlisko goryczy lub słodkości, gdybyśmy — mówię — dobro dobrym sposobem chcieli zaprowadzać, pociągnąć do nas młodzież, wpajać jej chęć do pracy, przytępiać egoizm, wskrzeszać narodowość, gdybyśmy... lecz, czyż wyliczyć zdolam, ile przed nami jest wielkich do wykonania rzeczy!? Wtenczas niedość talentów, niedość nawet dobrych chęci; trzeba przezorności i odwagi, trzeba działać w pewny, a zawsze jednostajny sposób, podług pewnych a zawsze jednostajnych prawideł, na pewnych a zawsze jednostajnych zasadach. Tak działać nie wszyscy są zdolni. Towarzystwo tedy w obszerniejszym widoku podziela się na dwie wielkie klasy, a wszyscy członkowie uważają się pod dwojakim względem; jedni mają nasz gmach uświetniać, drudzy uświetniając, wewnątrz porządkować i od zepsucia chronić; jedni mają go coraz wyżej posuwać, drudzy wyżej posuwając, coraz głębiej fundamenta w ziemię popychać; tamtym potrzeba talentów, tym talentu odwagi, stałego umysłu, a nadewszystko cnotliwego serca. Którzyż z nich, pytam się, są drożsi Towarzystwu? którzy więcej i większych mają obowiązków? których nakoniec wybór jest trudniejszym? Człowiek z talentem łatwo daje się poznać z postępowania, z rozmów, z pism swoich, ale dusza, ale charakter, jakże są głęboko ukryte! Te sztuczne marjonetki, ludźmi zwane, ściskają nas przyjacielsko, uśmiechają się, płaczą, ale u spodu teatru siedzi egoizm, chciwość lub duma, poruszająca sprężyny, władające osóbką. Jakiż więc wybór, po-

wtarzam, czyli człowieka z talentem, czyli z talentem i charakterem szlachetnym jest trudniejszy i większej wagi? Ten wybór padł na Ciebie, Janie Czeczocie, Kolego i Bracie nasz.

Ustawy pokażą, jakie miejsce zajmiesz w Towarzystwie, jakie są Twoje obowiązki i jak je masz wypełniać. Ja się ograniczę na wyłożeniu Ci, iż tak rzekę, katechizmu członka czynnego, to jest zasad, których masz w postępowaniu swoim trzymać się upornie i stale.

Okoliczności nieszczęśliwe, w których zostaje kraj nasz, działały i działają okropnie na upodlenie rodaków. Umysł, unoszący się dawniej do wielkich rzeczy, dziś zepchnięty i ograniczony własnym interesem, czołga się przed zyskiem i własnej tylko słucha miłości. Odkryj się przed kim z wielką myślą, z wielkim zamiarem: cobyś miał w nim uczucie wyższe obudzić, obudzisz uśmiech obojętności! Te podle istoty tak dobrze znają swoją wartość, iż między wielką rzeczą a między sobą śmieszny upatrują kontrast, i stąd to powiedział Homer, iż bogowie każdemu niewolnikowi połowę duszy natychmiast odbierają. — Pierwszem więc Twojem będzie usiłowaniem, ażebyś wydzwignął się z tej przepaści lekceważenia wszystkiego i drugim do wydzwignienia się dopomógł. Wmówić w człowieka, iż jest zdolnym, nie mówię, do wykonania wielkich rzeczy, ale przynajmniej do myślenia o nich, już jest wielką rzeczą. O to się zawsze staraj; uważaj Towarzystwo jak rzecz wielką i świętą. Tak Twoim przykładem wpoisz korespondentom cześć ku niemu i gorliwość o jego dobro. Jedno słówko, obracające w żart cele Towarzystwa lub jego formalność, jest okropnym ciosem. Wystrzegaj się tego na zawsze! Niech korespondenci mają sobie nie za żart, ale za zaszczyt, iż należą do związku naszego.

Drugą nieodbitą i ważną rzeczą jest okazywanie uszanowania powadze urzędników w Towarzystwie. Ambicja dziecinna nie ma tu miejsca, ale porządek i byt Towarzystwa tego wymaga. Doświadczenie nauczyło, iż, jak tylko stracą powagę urzędnicy, tracą razem powagę prawa, mocą których urzędnicy postanowieni zostali. Stąd obalenie królów uprzedzało wszędzie obalenie zupełne na zawsze władzy królewskiej. Targnienie się na przywłaszczoną świętość papieżów pociągnie za sobą targnienie się na religję.

Do tych uwag dodam jeszcze, iż głównym obowiązkiem Twoim będzie pozyskanie przyjaźni i zaufania korespondentów. Jak tylko Towarzystwo uznało kogo za członka, powi-

nienieś uważać, iż jest wart tego, i szanować wybór, choćbyś inaczej rozumiał; bo każdy, będący w jakimkolwiek Towarzystwie, część praw swoich ogółowi poświęcać musi. Nie przestawaj jednak badać ściśle charakteru korespondentów. Gdyby byli w czem nieodpowiedni Towarzystwu, powinieś dla tego uważać ich za godnych stopnia korespondenta, bo tak Towarzystwo uważa; ale powinieś znowu wszelkiemi sposobami przeszkadzać, ażeby podobny korespondent nie wdarł się na członka czynnego. Wszakże, gdyby Towarzystwo i to uczyniło, masz go zaraz uważać za odpowiedniego stanowi, na który wyniesiony został; bo sąd większości, to jest sąd Towarzystwa, powinien być szanowany, a Twoje mniemanie mogło Cię mylić.

Pomimo wszelkiej poufności i przyjaźni, którąś winien członkom niższego stopnia, jak ich kolegom, strzec się należy, ażebyś nie uważał się za równego im co do spraw Towarzystwa; ta to nierówna równość jest tajemnicą ustaw naszych i zasadą związku.

Dotąd mówiłem jak naczelnik do czynnego członka. Jeśli w tem miejscu, poświęconemu obradom tyczącym się ogólnego dobra, mogę odezwać się do Ciebie jak przyjaciel do przyjaciela, nader słodką zapewne i nader chlubną dla nas obu odnowiłbym pamiątkę z niezachwianej przyjaźni, która od lat dziecinnych stale nas dotąd wiązała i wiąże. „Nie masz przyjaźni między podłymi“, mówi Russo, „ich powiązanie się jest tylko tymczasowe; są to wilcy, którzy pożarliszy silniejszą od siebie bestję, znowu się rozbiegają“. — My nie rozłączyliśmy się dotąd i nie rozłączymy się nigdy. Jest w naturze serc czułych skupiać wkoło siebie wszystko, co ma najmiłsze. Przyjacielu! oto są moi przyjaciele! Spodziewam się, iż pozyskasz przywiązanie, nie zawiedziesz ich ufności, będziesz takim, jakim Ci być każą święte dla ludzi czułych prawa przyjaźni i święte dla członków prawa Towarzystwa.

MOWA NA PRZYJĘCIE DOMINIKA CHODŹKI,
JAKO CZŁONKA KORESPOND. TOW. FILOM.

(na posiedzeniu Wydziału I. dnia 2 lutego 1819 r.)

Towarzystwo, do którego wezwanym zostałeś, Szanowny Kolego i nowy Bracie nasz, co do zasad swoich i co do ducha

z ustaw już Ci znajome, spodziewa się, iż uświetniając je Twojemi talentami, przez gorliwość i szczerą chęć dobra ogólnego przyczynisz się razem do jego utrwalenia i wzrostu.

Wielki zawód nauki, której oddani jesteśmy, przedstawia tysiączne trudności. do których zwalczania częstokroć praca, a nawet i talent nie wystarcza.

Wszystkie gałęzie oświecenia są z sobą ściśle połączone, tak dalece, iż częstokroć, kto jest w jednej obcym, temu w drugiej postąpić niepodobna. Gdy tymczasem rozum ludzi za ledwo jakąś drobną szczególną cząstkę dokładnie zgłębić może. Chcąc zatem skuteczniej pracować, wypadało oprócz własnych usiłowań korzystać z cudzych wynalazków i porad. Ta potrzeba wzajemnego znoszenia się i przelewania, iż tak rzekę, wspólnych nabytków pracy dla utrzymania niejakej między pracującymi równowagi i dla spomożenia ich w dalszych usiłowaniach — jużby dostatecznie okazała wypływające z Towarzystwa korzyści. Przydajmy do tego uwagi, jakie każdy z obowiązku nad pracami kolegów czyni, tak dla ocenienia prac takowych, jako i dla własnej wprawy w myśleniu i spostrzeganiu, przydajmy wiadomości czerpane z pism periodycznych i udzielane członkom, nie mającym czasu do ich całkowitego przeczytania, przydajmy nareszcie wszelką pomoc tak w przedsięwzięciu pracy, jako też i w jej uskutecznieniu, a będziemy mieli obraz rzeczywisty pożytków, jakie z nas co do nauk każdy w Towarzystwie zyskiwa.

Lecz gdy umysł większych nabędzie w kształceniu się sposobności, czyliż serca nasze żadnego nie mają w tem udziału? Czyli ten związek składamy tylko jako uczący się, a nie jako ludzie i przyjaciele? Bynajmniej! Największem ogniwem naszego połączenia, najważniejszym i najdroższym zyskiem, jaki stąd wypływać powinien, jest przyjaźń, jedność, wspólne trzymanie się i pomoc, wspólna usilność w przyniesieniu pożytków ziomkom naszym, narodowi naszemu.

Praca, chęć gruntownego uczenia się, wyzucie się, ile można, z panującej teraz próżności, słowem równe doskonalenia umysłu i serca, oto jest cel, do którego dążyć mamy, do którego zachęcać rówieśników naszych powinniśmy.

Ażebym Towarzystwo w tak świętych zamiarach zawiazane mogło stale się utrzymać i stale przynosić pożytki, wypadało nadać mu ustawy i święcie pełnienia tych ustaw przestrzegać, wypadało zaprowadzić ściśle formy, utrzymujące w porządku i zawisłości działanie całej maszyny. Ażebym działanie to było

skuteczniejsze i pewniejsze, wypadło je ukryć przed ludźmi, którzyby, nie chcąc sami dzielić pracy albo niewarci ją z nami podzielać, stali by się nieprzełamaną tamą.

Oto masz, Kolego i Bracie, wszystko, czego od Ciebie żądamy i co spodziewamy się znaleźć w Tobie. Siły nasze drobne, jeżeli je oddzielnie weźmiemy, mogą się połączeniem wzmocnić i mogą działać skuteczniej. Podajmyż sobie ręce, pracujmy, jako dążący do jednego celu, jako członki jednego ciała, jako przyjaciele i bracia.

TREŚĆ PRZEMÓWIENIA DO PROMIENISTYCH.

(Podana listownie Tomaszowi Zanowi z Kowna około
18 maja 1820 r.)

Celem promienistości jest szczęście, szczęście tymczasem zależy od zabawy każdemu przyzwoitej — a zabawa obejmuje w sobie wiele rzeczy, o których niżej. Dla tego napisało się bilety i zeszli się wybrani — i odtąd schodzić się mają zawsze, bo już składają Towarzystwo (czy związek czy cech).

Towarzystwo promieniste nie jest ani na Antokolu, ani w Hrybiskach, ani... ani w etc., ale na całym świecie, bo słońce sypie promienie po całym świecie. Towarzystwo będzie się nazywało *Świat* i *Miłość*.

Na świecie promienistym (w Towarzystwie) znajdują się różni ludzie: 1-mo studenci, szkolarze, pedanci, bawiący się dzieciństwem, piszczyki, ludzie prości, pod ogólnem nazwiskiem: pospółstwo. 2-do. Ludzie zacni, honorowi, panice, fanfarony, ludzie bardzo rozumni etc. pod nazwiskiem osób dystyngowanych.

— Celem naszym: niech się wszyscy bawią i pospółstwo i osoby dystyngowane, które prócz tego będą odbierały oznaki szacunku, im powinnego — i będą zasiadać na świecie (w Towarzystwie) krzesła dygnitarzy albo liczyć się między osoby wyższego rzędu. Dygnitarskich krzesel jest w Towarzystwie (na świecie) dwanaście, a każdy dygnitarz może być jeszcze stosownie do zachości: 1-ej próby — 2-giej — 3-ciej aż do dwunastej. — Każdy ma prawo starać się o dygnitarstwo przez postęпки dystyngowane. — I tak: kto mało

czyta, a wiele gada, znać, że posiada własny rozum oryginalny; kto chodzi po księgarniach i czyta tylko tytuły, znać z nich całego dzieła treść odgaduje; kto ustawicznie swoje wychwala pisma, znać, że dobrze pisze etc. Taki *co ipso* posiedzie pierwsze krzesło i będzie się nazywać Wielki genjusz świata.

Kto śmieje się ze wszystkich i z nikim nie żyje w przyjaźni, znać, że jest od wszystkich rozumniejszy i lepszy. Kto nic nie robi, znać, że już wszystko zrobił. Kto ustawicznie plecie koncepta i sam się z nich śmieje, znać, że jest zabawny. — Kto w każdym słówku chciałby zawrzeć epigramat, znać, że ma wiele dowcipu i taki będzie drugim dygnitarzem jako człowiek zabawny i dowcipny, *du-sza kompanji*. — Kto siedzie godzinę przed lustrem, musi być bardzo piękny, poprawia ciągle różyczkę u chustki, stapa z partesów, macha kijem, którym się ani podeprzeć ani od psów odbronić nie można, znać, że ma gust w ubieraniu się i taki będzie dygnitarzem pod tytułem *chłopiec comme il faut*.

Kto się stara o rangi, sowietnikowstwa etc., o ordery, znać, że na nie zasłużył; jeśli poświęca nawet dla tego żonę i córkę, znać, że nad wszystko ceni ojczyznę; jeśli chodzi bez czapki i kłania się urzędnikom, znać, że szanuje starszych i taki jest człowiekiem zasłużonym, czwartym dygnitarzem. Kto zostawszy sędzią albo adwokatem, nigdy nie czyta książek, znać, że czemś ważniejszym zajęty. — Kto jeździ ciągle po eksdywizjach, prowadzi procedera etc. etc., jest słusznym obywatelem: 5-ty dygnitarz. Kto nie daruje żadnego słowa obrażającego honor i zaraz wylaje, a wylajany nazad, wybiję, a wybity wyzwie na pojedynek etc., zowie się człowiekiem honorowym: 6-ty dygnitarz. Kto pożyczka, a nie oddaje, jeździ koczem, a za nim piechotą dążą kredytorowie, czasami dla zabawy siada do stolika i przegrywa, chodzi po balikach etc., taki dobrze żyje i jest dygnitarzem pod tytułem: *magnat* albo *fanfaron* (pospółstwo ma za obelgę wyraz *fanfaron*, ale ludzie dystyngowani inaczej o nim rozumieją i niekiedy lubią, żeby ich tak nazywano).

Kto zachwyca się koncertem, którego nie rozumie — płaci sześć rubli dla p. Katalani, a ma długi, ubogą rodzinę, sługi nieopłacone etc., znać, że jest wielkim amatorem sztuk pięknych i zasiędzie krzesło 7-dmego dygnitarstwa jako *konesser* i amator — etc. Kto by regularnie chadzał na srebrną

sałę i drugich do tego pobudzał, prawował się ciągle etc., taki znać, że był dla jakiegoś doskonalszego świata stworzony i przypadkiem spadł na ziemię.

Warto z niej jak najprędzej umykać, a więc tacy niech nie raczą wchodzić do świata promienistego.

Można w tym duchu jeszcze pięć dygnitarstw utworzyć albo pięć miejsc bez tytułu zostawić dla osób, któreby wyraźnie przymiotów potrzebnych do dygnitarstwa nie miały, ale okazywały dobrą chęć i usiłowanie. — Reszta ludu jest pospółstwem; ci zwłaszcza, którzy pilnują obowiązków, czytują, nie znają dobrego tonu etc., nie powinni spodziewać się dygnitarstwa, chyba publicznie wyrzekli się dawnych postępów albo dopełnili czyn jaki znamienity.

Jeśliby kto, zostawszy dygnitarzem, albo poczuł się, że mu do tego brakuje przymiotów, jeśliby, broń Boże! zaczął myśleć, że chociaż wiele gadał i wszystko ganił, nie jest jednak wielkim genjuszem, że prawując się i intrygując na sejmikach, nie został przez to słusznym obywatelem etc., taki będzie spędzony z krzesła. Pospółstwo będzie to nazywało poprawieniem się, a osoby dystygnowane spopolitowaniem się. Przeciwnie, kto siedząc na dygnitarstwie, okazuje ciągle postęпки, swemu wysokiemu stanowi właściwe, taki będzie podwyższony na dygnitarza drugiej próby, trzeciej, czwartej aż do dwunastej, poczem, jako mąż ze wszech miar zacny i wart żyć na lepszym świecie, ponieważ wyższego miejsca w promienistości niema, powinien wzgardzić nią i z niej się wynosić.

(Ale jak wybierać na dygnitarstwa, aby nikogo nie obrazić!? Ty sam musisz dać tego przykład i powiesz do nich coś takiej treści):

Wakują teraz wszystkie krzesła, ale oto postrzegam kandydata. Ja sam nim jestem. Zwolałem was tutaj, mając coś arcyrozumnego powiedzieć, ogłosiłem teorię nową, wydałem bal dla wszystkich. To pokazuje, że chciałem się dystygnować i dlatego zasiadam *co ipso* krzesło dygnitarstwa wielkiego genjusza. Ale nie mogę zatłumić w sobie głosu prawdy i sumienia, które mi szepcą, że wlaź nie-słusznie na dygnitarstwo. Prawda i sumienie mówią, że nie powinien być zwolniony dla słuchania czegoś rozumnego, bo nie mam tyle rozumu, jak mi się zdaje; — że nie powinien być ogłaszać teorii promienistej, bo jej sam jeszcze

z gruntu nie rozumiem; — że nie powinienem był dawać bału, bom goły. Owóż chcę nazad wleźć do pospółstwa”.

Żeby się nie przebrało dygnitarzy na świecie, każdy, który się chce pospółtować, powinien upatrzeć na swoje miejsce jakiego dygnitarza i opowiedziawszy publicznie jego postępek, wezwać na krzesło. Jeśliby kto przez zbytnią skromność nie chciał ofiarowanego urzędu i opierał się wprowadzeniu, albo zadawał fałsz przytoczonemu postępkowi, trzeba go przekonać. Wybrany będzie większością głosów z pomiędzy pospółstwa jaki najpospółitszy człowiek i będzie nazwany *Prawdą*, bo prawdę mówić nie przystoi wcale dygnitarzowi. Otóż kto będzie powołany do dygnitarstwa przez swego poprzednika, ma jeszcze być zatwierdzony przez *Prawdę*. Jeśliby i tak zgodzić się nie chciał, odwoła się do sądu powszechności. Wtenczas wszyscy zgromadzeni przejdą porządkiem około kandydata; kto go, z uszanowaniem zdjawszy kapelusz, przywita, znać, że uznaje dygnitarzem. Kto go po prostu uściśnie, widać, że ma za pospolitego człowieka. Większość przywitań stanowi o dygnitarstwie. Jeśliby kto, przez dygnitarza powołany do urzędu i przez *Prawdę* zatwierdzony, odwołał się do sądu wszystkich i tym sądem był utrzymany przy urzędzie, wtenczas zostaje prosto dygnitarzem 6 klasy, gdyż okazał upór, postępek niepospółity.

Na tych zasadach zszedłszy się, wybieriecie *Prawdę*, kogokolwiek z pomiędzy wyznawców najbardziej szanowanego i z nauki i z obyczajów. Ty, jako dygnitarz, chcący zbyć się urzędu, powołasz kogo na dygnitarza, wybierając z naszych, aby się nieznajomi nie urazili; na przykład Rukiewicza, że czasem się stroi, na dygnitarstwo chłopca *comme il faut*, albo Czeczotą, że cały dzień nic nie robi, na słusznego obywatela, albo kogoś innego, wprzódry rzecz ukartowawszy. Jeśli *Prawda* uzna ich za godnych urzędu, mają zasiąść miejsce, a ty pójdziesz między pospółstwo. NB. Pospółstwo mianuje się po imieniu; dygnitarzy po urządach. Jeśli kto mianowany dygnitarzem, zmarszczy się i skrzywi, *Prawda* podwyższy go na dwie lub trzy próby. Jeśli zacznie łajać i fukać, zostanie 12-tej próby i lepiej zrobi kiedy się oddali. Kto mu odłaje, zostanie na jego miejscu dygnitarzem; kto zaś uderzony nie odbije, będzie najpospółitszym człowiekiem i na nic na świecie nie przydatny, chyba na urząd *Prawdy*. Jeśli posiedzenie będzie latem, dygnitarze zasiądą na spadzistości góry jeden pod drugim. Gmin może stać, chodząc

lub leżeć. Jeśli zimą, dla dygnitarzy sporządza się krzesła, coraz wyższe. Kto zostaje dygnitarzem, wyda bal mleczny latem, herbatny zimą, jako pan. Kto z dygnitarstwa schodzi, temu pospółstwo ze składki bal wydaje. — Ktoby z nienależących do Towarzystwa wyśmiewał je i lajał, takiemu pośle się patent na człowieka dowcipnego i rozumnego. Ktoby z grona promionków rozgadywał, co się dzieje na schadzkach, zostanie dygnitarzem; ktoby zaś kilkakrotnie aż do 12-tej próby tego się dopuścił, lepiej zrobi, kiedy więcej nie przyjdzie! Jeśliby kilku razem dygnitarzy uznało się za niegodnych tego urzędu, wtenczas *Prawda* mianuje tego, kto ma pierwszy urząd złożyć, to jest spospolitować albo poprawić się. Nie wprzód to jednak nastąpi, aż spospolitujący się na swoim miejscu kogo powoła i za zgodą *Prawdy* albo całego grona osadzi. Kto jest dygnitarzem pierwszego stopnia, ma pierwszeństwo do złożenia urzędu przed dygnitarzem 2-giej, 3-ciej próby i tak dalej. Wypróbowany dygnitarz, to jest drugiej, trzeciej, czwartej itd. próby, nie może myśleć o złożeniu urzędu, aż zostanie prostym dygnitarzem. Do czego tyle trzeba postępków poniżających i spospolitych okazać, ile prób było.

Postępki te są: 1. Nauczyć się czegoś na pamięć i wydeklamować. Zaprenumerować pismo, dać na ubogich lub na szkołę, namówić kogo do złożenia dygnitarstwa etc. Wprowadzony być może każdy do świata przez trzech członków spospolitych, gdyż dygnitarzom taką posługą zajmować się nie przystoi. Przy wprowadzeniu *Prawda* ma się pilnie wprowadzonemu przypatrywać. Jeśliby na wstępie witał się arcygrzecznie, pokazał ton i zakrój pański, może być prosto na dygnitarstwie osadzony.

Masz więc, Tomaszu, moją ośnowę, chciałbym tylko dać ci poznać duch żartu i mistycyzmu, w jakim to wszystko uważam. Możecie odmienić i nazwiska i urzędy i sposób postępowania, byleby został główny cel poprawiania bez szyderstwa, wpajanie prostoty, obrzydzania ceremonij pańskich, etc. etc. Powinienbyś przymioty potrzebne do każdego dygnitarstwa jako np. wielkiego genjusza, chłopca etc. jambicznie opisać, co by się tobie udało, ile sądzę po twoim talencie. Jamb ten przydałby się bardzo. Jeśli kto na przykład zostałby powołany do dygnitarstwa jakiego, niech wydeklamuje miejsce z jambów do siebie stosowne, albo mu *Prawda* wydeklamuje

i będzie zważać, czy nie jest kandydat w czem do opisanego ideału podobny. To da początek przyjemnej zabawie.

* * * * *

NA POSIEDZENIU TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO.

(Paryż, 3 maja 1842 roku.)

Nie jest naszym głównem powołaniem dawać krajowi rady i nauki; nie po to nas kraj posłał, nie tego od nas potrzebuje. Długoż będziemy, pisząc i radząc, czekali, aż pomrzemy wszyscy? Tylu też już żegnaliśmy mowami naszemi, a mowy te były tak żałobne, tak czarne, jak gdybyśmy odprowadzali ojczyznę, i z nią sami szli do grobu. Dostyć zamykać się w przeszłości, stawić twierdze w piersiach swoich; nadeszły inne czasy; trzeba wszystko zdjąć z siebie, rozkryć, nagać pokazać duszę i w niej wszystko znaleźć; bo wiedzcie, że już nic nie macie: imię, zaszczyty, dostojęństwa; zdarte z was dawno i daleko precz odrzucone. Nie pytajmy, co się dzieje w kraju. Niech każdy, wstawszy rano, kiedy po niebie i po ziemi patrzy ze smutkiem, wzniesie swojego ducha i przysłucha się własnemu uczuciu, a wtenczas niebo i ziemia mu odpowie, jaki tam ucisk, jaka tęsknota i boleść. Nieprzyjaciół rozdarł pierś narodu, włożył w nią palce, całą granicę wziął za każde polskie serce i patrzy ci w oczy, a byle dostrzegł najmniejszą myśl, najmniejsze poruszenie podejrzenie, ściśnie dłoń i zdusi życie.

Rozprawialiśmy wiele o historii, niekiedy mieliśmy przecucie. Nie nazywajcie mnie krytykiem, ale wieszczem; przyznaję się do tego charakteru, gdyż dzisiaj byłoby dla mnie zaniedbaniem obowiązków, byłoby zbrodnią odrzucać go przez jakąś skromność, przez jakiekolwiek względy. Ale któż z nas nie jest wieszczem? Każdy, kto słowem, piórem, czynem służył świętej sprawie, był wieszczem, był urzędnikiem w powołaniu narodowym, miał przecucie tego, co się stać powinno. Zaprawdę powiadam wam, iż zbliżyły się czasy. I oto w tej chwili składam — spełniam część mojego urzędu. Staję tu na świadectwo między wami, że przyszło wielkie miłosierdzie

Boże, przyszedł czas zmartwychwstania ojczyzny. Te słowa nie odstąpią was, choćbyście je odpychali; będą zawsze świadczyły, że były wam powiedziane, nigdy ich nie zdołacie zapomnieć. Przysięgam wam, bracia, na śmiertelnem łożu przypomną się wam i nie dadzą pokoju.

Powtórzę wam z apostołem mówiącym do Żydów: czekaliście Mesjasza, a Mesjasz był między wami. Powiem, jak w ewangelji o niewiastach galilejskich, co przyszły szukać Chrystusa w grobie: kogo szukacie? Chrystus powstał. Wstała z martwych ojczyzna wasza i jest pośród was.

Chcecie ją widzieć? Nie przyjdzie ona do was zamkniętych u siebie; nie wlezie wam przez drzwi; nie napłynie rurami jak powódź prawdy wezbranej do wysokości okien waszych. Trzeba się podnieść duchem, aż do niej.

Nie szukajcie jej w niebie, ani na ziemi, ludzie rady i ludzie czynu, zapytajcie was samych, gdzie jest, zejździecie do głębi duszy waszej, nateżcie ducha wewnętrzną pracą, a ujrzycie ją, okaże się wam zstępująca, biała i czysta jak gołębicą, błoga zwiastunka przyszłych losów waszych.

Odzynam się do was, bo wszyscy jesteście wieszczami, wszyscy powinniście byli to przeczuć. Ten, co, nic nie mówiąc, bił się za ojczyznę, w milczeniu pierś swoją nadstawiał nieprzyjacielskim działom, przeczuł ją, był pierwszej wieszczem. Tak jest z wyroków Opatrzności, i długo byłoby wam to tłumaczyć. Rzadki jest moment, w którym pozwolono wieszczom zupełnie się wywnętrzyć, ducha swojego, przybierającego pierwszej różne formy, nago niejako okazać. Dzisiejsza chwila jest taką.

Nie oglądajmy się na nic, odrzućmy wszelkie względy. Nie masz między nami różnicy wieku, zaszczytów, urodzenia, bogactw: wszyscy jesteście równi, bo na wszystkich położone jedno namaszczenie.

Do wieszczów należy przodkować braciom, wskazywać narodów drogę; ale dziś nie dość na tem, trzeba przeczucie w czyn zamienić, tak wyrobić swego ducha, żeby jego natchnienie było czynem. Odtąd ujrzycie mnie zawsze tam, gdzie was prowadzić będę, pierś własną nadstawiając. Przyszedł czas, że natchnienie musi być czynem a czyn natchnieniem, bo w dziele Bożem, jak w piorunie, uderzenie jest jedno, między błyskawicą a ciosem nie masz rozdziału.

NA POSIEDZENIU TOWARZYSTWA
HISTORYCZNO-LITERACKIEGO.

Paryż, 3 maja 1843 roku.

Bracia!

Wszystkie kształty Polski, cała jej przeszłość, całe jej życie dziś zniknęło; znikły jej instytucje, urzędy, dawne nazwy, słowem wszystko, czem była na tym świecie; jeden znak tylko pozostał, to jest krzyż, do którego ludzie dziś powracają, dziś gnać się usiłują. Odzywam się do was, w uczuciu mojem do waszych uczuć, i tak słuchajcie przemówienia mego.

Dziś Kościół obchodzi święto *Podniesienia krzyża*; w tym dniu Polska podniosła krzyż swój i skojarzyła się z niebem; w tym dniu niebo się z ziemią ożeniło! Podnieście tedy bracia krzyż swój w duchu waszym!

Jak pojedynczy człowiek zapiera się niekiedy samego siebie, wyrzeka się swojego powołania i przeznaczenia, tak i narody, tak i Polska nie chciała być sobą, zaparła się siebie, wołała naśladować, gdyż łatwiej naśladować, niż być sobą.

Nie szukajcie w książkach, w historii, w katedrach, w naukach specjalnych, w dyplomacji środków odrodzenia waszego, ale szukajcie w sercach waszych.

Jak smutno patrzeć na to młode pokolenie, goniące za wyobrażeniami cudzoziemskimi! Jakiegoż środka użyć? Czy książki im poślecie, to odpowiedzą wam, że je czytali; czy ich uczyć będziecie, to odpowiedzą, że naukę waszą posiadają. Gdyby Polska zbawioną być mogła na tej drodze przez wytrwałość, przez rozum i politykę, gdyby był jej przywiązany był do nauk specjalnych i dyplomacji, dostojna rodzina Czartoryskich dawnoby ją zbawiła. Słowami Eneasza rzec mogę: „gdyby Troja mogła być zbawioną, byłaby przez ciebie”. Ale widzicie, bracia, że mimo to wszystko Polska upadła i powstać nie może, jeżeli nie zerwie zupełnie z przeszłością, jeżeli się nie odrodzi w duchu.

Naród nasz nie chciał zrozumieć swego wysokiego powołania: czego nie chcieliście sami dokonać, to wrogowie za was zrobili, niszcząc garby towarzyskie, któremi karki wasze są porośnięte; ale te garby pozostały jeszcze w duchu; dlaczego nie chcecie ich się pozbyć i przyjąć stopnie, do jakich w duchu sposobni będziecie?

Bóg rządzi narodami i jak wódz najwyższy, rozkazujący duchom narodów, tak Polskę przycisnął, żeby z niej dobyć sił ostatnich.

Wszystkie cierpienia i katusze, wszystkie jęki, łzy i krew milionów ludzi są niczem w porównaniu z tem, co się znajduje w tym jednym wyrazie: *Polen, Polak, Palak!* O gdybyście, odrodziwszy się w duchu, tak jęknąć mogli!

Ale się odrodzić nie można, nie umarłszy, niema życia, gdzie niema śmierci i nie byłoby bez niej wielkiego dzieła zmartwychwstania Pańskiego: słowami więc świętymi powiem: „śmierć wtedy umarła, kiedy na drzewie umarło życie“.

Na cóżby się przydało burzyć świat cały, bez tego zburzenia bowiem nie będzie Polski, gdyby miał być na globie przywrócony jeden *drobny* naród na wzór innych!

Nie trudniejszego bracia, jak zrozumieć *teraźniejszość*, żyjemy w wielkiej *teraźniejszości*, wśród wielkiej zagadki. Żaden naród odgadnąć nie może, jakie jest przeznaczenie jednego młodzieńca, którego wśród rozkoszy i dostatków troska twarz zorała. Teologowie starać się będą pojmovać rozumem, wy zaś uczuciem.

Evangelja na dzień dzisiejszy mieści dla nas wielką naukę: „Był w narodzie dawniej świetnym, dziś nieznanym, możny pan, imieniem Nikodem, który szukał objaśnienia się u Chrystusa, a nie śmiał się udać do niego w dzień, aby co o nim nie powiedziano na dworze Heroda lub w synagodze. Nikodem taką odebrał odpowiedź od Chrystusa: „Tyś jest nauczycielem w Izraelu, a tego nie wiesz“?

Herod także szukał środków w swoim rozumie, chciał cywilizować żydów i zrobić z nich Rzymian, zakładał im cyrki i sprowadzał gladiatorów. A jednak na co się to wszystko przydało? Na co się przydały świetne nawet Machabejczyków zwycięstwa? Żydzi się nie odrodzili dlatego, że chcieli poprawić stary Kościół, a Chrystus przyszedł nie dla naprawy starego, ale dla zbudowania nowego.

Z tego, co wam przed chwilą powiedziano, widzicie, bracia, dla czego Leopold umarł w epoce najniepomyślniejszej dla Polski; dla czego podług myśli głębokiej Rhullera wiatr pomyślny służył zawsze na morzu Czarnem flocie rosyjskiej i flotę turecką odpierał; dla czego tyle usiłowań, zabiegów, prac i ofiar było dotąd daremnych.

Wszystko będzie daremnem, póki się nie odrodzicie w duchu. Ale cóż jest to odrodzenie się w duchu? Na to pytanie każdy z was znajdzie odpowiedź w głębi uczucia swojego.

Położcie zatem koniec rozterkom waszym i pogódźcie się. Albowiem żadne dobro wyniknąć nie może z partyj waszych, które są wszystkie nacechowane pychą, nienawiścią i niewolą, której każdy z ich członków poddać się musi.

OBJASNIENIA.

DOPISKI AUTORA.

Strona 183. ...przeciwko czemu mówią przykłady tylu wzorowych romantycznych sztukmistrzów.

Nietylko w poezji, ale i w sztukach obrazowych, krytyka odróżnia rodzaj romantyczny. W malarstwie naprzykład szkoły włoskiej Madonna i wyobrażenia aniołów są wzięte ze świata romantycznego i do ideału podniesione.

Strona 189. Sarbiewskich, Kochanowskich, Sniadeckich, Twardowskich?

Sarbiewski nie pisał po polsku; Sniadeccy nie pisali poezji; a w dziełach Twardowskiego więcej cudzoziemskich wyrazów, niż we wszystkich sonetach.

Strona 193. Niemcewicz, w pierwszych zaraz pracach, nie ograniczył się naśladownictwem: utworzył sam nowe formy historycznego dramtu, politycznej komedji i historycznych śpiewów,...

Na początku XVI wieku, a może i wcześniej, przedstawiano u nas dialogi, misterja, to jest historie z Pisma świętego i mitologii wyjęte. Była więc gotowa popularna forma dramatu. Gdyby wówczas który poeta z talentem wziął się za podobne przedmioty, wybrał z nich dramatyczniejsze, formę przedstawienia udoskonalił i styl uszlachecił, utworzyłaby się może sztuka dramatyczna narodowa, jaką szczytą się Hiszpanie i Angliacy. Jan Kochanowski, ukształcony we Włoszech, wzgardził widowiskiem tak niekształtnem i drama podług wzoru greckiego napisał, dla narodu nieinteresujące, a przez zły wybór formy dla poezji nawet niewdzięczne. Przecież Kochanowski ma tę wielką zaletę, że znając starożytność grecką lepiej niż późniejsi klasycy, starał się ją wiernie od-

dać. Grecy Kochanowskiego przypominają bohaterów Homera; Grecy naszych klasyków są istotami urojonemi. Żaden z krajowych krytyków nie zwrócił na to uwagi. Cieszą się tylko, że *Odprawa posłów* jest sztuką regularną. Po odrodzeniu się nauk, w samej tylko Warszawie kwitnęła literatura, tam już nie czas było wskrzeszać dialogi. Julian Niemcewicz, czy to głębokiem nad sztuką rozmyśleniem, czy instynktem właściwym talentowi, przeczuł potrzebę wieku i wpadł na szczęśliwą myśl wystawienia osób historycznych, zachowując im koloryt miejscowy i rysy epoki, w której żyli, mówiąc nawet, dla powiększenia iluzji, starożytny Zygmunto-wskiej epoki nadał charakter (drama Kazimierz Wielki). W podobnej myśli, lubo znacznie przedtem, napisał Goethe drama „*Goetz von Berlichingen*“ i sprawił epokę w literaturze. Teraz we Francji sceny historyczne wróżą nowy dla Europy rodzaj dramatyczny, od formy greckiej, Szekspirowskiej i Kalderonowskiej różny. Niemcewicz nie mógł ani tak szczęśliwie idei swojej rozwinać, ani takich sprawić skutków, bo Goethemu już Herder i Lessing utorowali drogę, a do Francji wpływ Niemców, podniesione historyczne nauki, wpływ romansów Walter Skota i ogromna liczba memoarów ułatwiły wstęp temu nowemu dramatycznemu rodzajowi. U nas teraz, nawet po pracach samego Niemcewicza, Czackiego, Lelewela, Bandtków, jeszcze wielka kompozycja historyczna, epopeja lub drama na długie czasy zostanie przedsięwzięciem nad siły poetów, kiedy jeszcze tak mało pomniejszych narodowej poezji rodzajów rozwinięto. O tych rodzajach niektórzy teoretycy i czytelnicy dotąd jeszcze dziwne mają wyobrażenie. Myślą, na przykład, że miejsca pospolite, maksymy i morały, z równą emfazą od Greków, Rzymian, Turków i Amerykanów na teatrze francuskim deklamowane, potłumaczone na polskie gładkim wierszem, jeśli się zaczynają od słów: „Jakiż mnie zapal porywa — Muzo, wspieraj mój lot i t. d.“ — robi się z tego narodowa oda; jeżeli zaś pokrajane w dialog włożą się w usta Samborom, Jaksom, robi się narodowe drama; jeżeli nakoniec wychodzą na świat w kształcie poematu, noszącego tytuł na a d a, zaczynającego się od „ja śpiewam“, z przydaniem potrzebnych alegoryj i tak nazwanych machin, tworzą wtenczas narodową epopeję.

Strona 197. ...ledwie nie upadających pod tak wielkim ciężarem.

Zob. w „Gazecie Polskiej“ 1827 r. siedm artykułów o przekładzie jednej wrotki z Lefranc de Pompignan. Lefranc de Pompignan, ze wszystkimi swemi dziełami, ledwie zasługuje na wspomnienie w literaturze francuskiej.

Strona 197. W takim stanie krytyki, godne uwagi i budujące jest dobre porozumienie sąsiedzkie.

Autor „Historji Literatury“ nie poważa się dzieł oceniać. „Miałemże, powiada, dla osób zwłaszcza żyjących. o wszelkich zapomnieć względach? Przez słusność i związki towarzyskiego pożycia uczynić tego nie śmiałem. Natomiast zdanie obce, zwłaszcza tak przyzwolonych sędziów, jakimi są Ludwik Osiński, Stanisław Potocki, Franciszek Dmochowski, wiernie przytaczam“. Wybierzmy losem niektóre. Stanisław Potocki o tłumaczeniu *Iljady* mówił: „Dmochowski przelał myśli autora (Homera!) z wielką gładkością na język ojczysty. Jeszcze mi się nie trafiło wciąż przeczytać dwie lub trzy pieśni z dawniejszych tłumaczeń (więc nie czytał przedtem *Iliady*!) bez jakiejś tęsknoty (?). Przeczytałem Dmochowskiego wciąż i z upodobaniem“. Czytałże kto podobne zdanie w jakiegokolwiek historji literatury? Jest to właśnie jeden ze szczególnych, charakterystycznych przymiotów *Iljady*, że w niej nigdzie autor nie wychodzi na scenę i myśli własnych nie objawia. Możnaż powiedzieć, że pieśni tej cudownej epopei, są to myśli autora (Homera) o wojnie Trojańskiej? Ksiądz Baka pisał wierszem „Uwagi o śmierci niechybnej;“ jego biograf twierdził żartobliwie, że Milton pisał równie wierszem uwagi nad Rajem utraconym... Nie obraża ta uwaga szanownych cieniów Stanisława Potockiego. Wielki mówca i zasłużony mąż ojczyźnie nie utraci przez to sławy, że się niepotrzebnie wdawał w retorykę. Szanowalibyśmy słabość męża i okrylibyśmy milczeniem jego uchybienia; ale mógłże profesor literatury w Warszawie, Osiński, przytaczać owo zdanie jako *nader ważne*, a profesor historji powtarzać je jako *nader poważne*? — Str. 306. „Trembecki prawdziwy okazał talent rymotwórczy, łączy bowiem w poezjach swoich śmiałość Pindara z gustem Horacego, a słodyczą Safony“. Gdyby kto powiedział o kompozytorze muzycznym, że jest razem Mozartem, Rossinim i Orfeuszem! albo o malarzu, że ma styl Rafaela, Rembrandta, Dawida i Apellesa. O charakterze poezji Safony wiemy tylko z podania, bo dzieł jej ledwo drobne zostały ułamki. (*Odaria duo*

integriora et caetera carminum frustula: Grodecki). Wyjaśniać zalety Trembeckiego, porównyując charakter jego poezji do charakteru pieśni Safony, jest to objaśniać przez rzecz dość ciemną. Dodajmy, że słodycz nie była szczególnym i głównym przymiotem dzieł Safony; przyznano jej vim, gratiam i nakoniec dulcitudinem. Zdanie o Trembeckim zasługuje na uwagę; trudno jest w mniejszej liczbie wyrazów zawrzeć więcej niedorzeczności. — Str. 303. „Kniaźnia w pieśniopisarstwie niepoślednie trzyma miejsce; imaginacja żywa, obrazy dowcipne (?) i bardziej przez swą łachotliwość niż śmiałość wymuszające na czytelniku pewien rodzaj zdziwienia, tudzież drażliwe schlebianie zmyślności, znamionują poezję Książna.

Nie wymienił Bentkowski, który to z przyzwoitych sędziów ferował tak głęboko pomyślany wyrok. O Józefie Lipińskim słowa S. Potockiego: „Mało wierszy swoich powierzył publiczności, ale to co powierzył, jest tak dobrze wyrobione, że małem być przestaje“. Nie znamy dobrze języka matematycznego; ale zdaje się nam, że to, co przestaje być małem, przechodzi w mniejszość lub nicość. Józef Lipiński nieszczerliwie wyrabiał tłumaczenia Wirgiljusza i Tassa. Dawniej Szymonowicz naśladował i częściami tłumaczył Bukolikę, a Piotr Kochanowski Jerozolimę. Porównyując dawne tłumaczenia mniej poprawne, lecz pełne życia, śmiałe i bogate w wyrażenia, z Lipińskiego suchym, prozaicznym wierszem, najlepiej możnaby pokazać manierę nowej szkoły i dowieść, jak wiele nasi tłumacze, na francuzczyźnie tylko zaprawieni, przynieśli szkody mowie ojczystej. Odarto ją rzeczywiście ze wszelkich ozdób stylu, zdjęto, że tak powiem, szatę i nawet ciało z myśli i uczuć, a wiersz zamieniono na ciąg sylogizmów. — Inne zdania są lakoniczniejsze: np. str. 312. „Osiński Ludwik prawdziwym okazał się lirykiem“. Tamże: „Kozmian prawdziwym okazał się poetą lirycznym“. Strona 207. Jak dalece co do formy zewnętrznej Karpiński studiował śpiewy gminne.

Lud polski w Litwie mówi dialektem ruskim, zmieszanym z polską mową, albo językiem litewskim zupełnie od słowiańskiej mowy różnym. Przez śpiewy gminne o których wspominamy, rozumiemy śpiewy polskie, ballady i sielanki, powtarzane między drobną szlachtą i klasą służących, mówią-

cych po polsku. Niektóre z tych noszą piętno starożytności, ale kiedy się one tworzyły, czy w Litwie, czy z Polski przyniesione, dotąd nikt sobie pracy nie zadał wybadać.

Strona 207. ...Kaulfus... odwołuje się szczególnie do sielank tego autora.

Niektóre sielanki są tłumaczone na język niemiecki przez Fülleborna.

UWAGI WYDAWCY.

Strona 68. JAKÓB JASIŃSKI. — Koniec.

W r. 1855, krótko przed śmiercią swoją w Konstantynopolu, wrócił Mickiewicz do tego niewykończonego dramatu i pozostawił fragment polski czwartego aktu, umieszczony w tomie VII niniejszego wydania.

Strona 88. DO... Improwizacja.

Oprócz Mickiewicza podają jako autora tego wiersza Miłkołaja Węza. (Zob. Ateneum r. 1879 t. I. str. 398—400).

Strona 92. DO DEOTYMY.

Wiersz ten drukowany tylko w wydaniu warszawskiem pism Mickiewicza brzmi w dalszym ciągu:

Uwierz więc w siebie, natchniona,
I niech z piersi twej ogniska
Duch, którym-eś nawiedzona
Na wsze strony jędrnie tryska.
Lecz pamiętaj, wróżko młoda.
Że do sławy ścieżek wiele,
Że są duchy-zwodziciele;
Bacz, który z nich rękę poda.

Jak się pokrzepia otucha,
Tak niechaj świeci przestroga:
„Nie w każdego wierzaj ducha,
„Lecz doświadcza, czy jest z Boga.“

* * *

Wpółśród wszechświata obszarów
 Pała słońce wiekuiste.
 Zawsze święte i ogniste,
 Z niego ogień tworczy bucha;
 I jest lutnia Duchów-Ducha,
 Strun ma siedem, z siedmiu darów;
 Z tych strun wieczna pieśń wybrzmiewa;
 Pean chwały, hymn żywota,
 A na ich ton zgodnie śpiewa
 Chór: Prawda, Piękność i Cnota.

Co nie iskra tego Znicza,
 To wszystko mara zwodnicza,
 Co nie lutni prawe brzmienie,
 To wszystko fałsz i złudzenie.
 A nikt nie dojrzy promienia,
 Który z tego słońca bije,
 I nikt nie dosłyszy pienia,
 Co z boskiej lutni powiewa,
 Tylko z wysokości drzewa.
 Na którym owoc zbawienia
 Raz uroś i wiecznie żyje.

* * *

Tyś tej wyżyny dostojna,
 W tobie ogień święty płonie;
 Imię twoje „Bogobojna“:
 Pokora ci, ku obronie,
 Niech kieruje lotem skrzydeł
 I ochroni cię od sidła.

Bo tam nawpół górnej drogi,
 Dokąd duch z zapalem leci,
 Gdzie ci gwiazda sławy świeci,
 Siedzi pychy pajak srogi
 I rozpina swoje sieci.
 Ale ty pokonasz wroga;

Bądź tylko w tę cnotę zbrojna,
 Co nam objawiona z Boga:
 „Wywyższon, kto się uniża“.
 Z korną modłą bez obawy
 Wzlatuj, próżnej próżna sławy.

Widzę, jak się chwila zbliża,
Gdzie uwieńczy two natchnienie
Najpiękniejsze przeznaczenie,
Gdzie cię nazwie pokolenie
Deotymą, Wieszczką, Krzyżą.

Strona 93. „NA TWĄ PIERSĆ”...

Wiersz ten podał P. Saweliew, w n-rze 19-tym Bibliograficznych zapisek, 1859 r., z następującem objaśnieniem: „W czasie pobytu swego w jesieni 1824 r. w Petersburgu, znajdował się Mickiewicz wraz z Puszkinem na obiedzie, w pewnym domu arystokratycznym. Była piękna pogoda, goście udali się do ogrodu, lecz w tej samej chwili zebrały się chmury, czas się zasepił i zaczął śnieg padać; kilka prószynek śniegu upadło na pierś pewnej pięknej pani. Proszono Puszkina i Mickiewicza o improwizowanie, obaj przystali na to. Improwizacja Puszkina została zatracona, Mickiewicza zaś została przechowana przez jednego z obecnych tam Polaków”. Inni jednak utrzymują, że wiersz ten nie Adama Mickiewicza, ale Franciszka Morawskiego, jak o tem wspomina Wojcicki w artykule p. t.: „Ostatni z klasyków”, drukowanym w Bibliotece Warszawskiej.

Strona 155. KOGO WYBRAĆ ZA MĘŻA?

Utwór ten napisany przez Mickiewicza po francusku, prawdopodobnie r. 1827 w Moskwie, nie miał żadnego tytułu.

Strona 158. TYDZIEŃ MIODOWY REKRUTA.

Ukazał się r. 1835 po francusku w paryskim przeglądzie „Revue du Nord”. W niektórych polskich wydaniach nosi ten obrazek tytuł: „Moja pierwsza bitwa. — Opowiadanie sierżanta”.

Strona 167. Urywek pamiętnika Polki, w niektórych wydaniach pod tytułem: „Spowiedź niewieścia”.

Strona 205. FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Jest to pobieżna notatka, niezgodna w wszystkich szczegółach z prawdą.

Strona 208. STEFAN GARCZYŃSKI.

Wspomnienie pośmiertne.

Strona 210. ALEKSANDER PUSZKIN.

Tłumaczenie artykułu francuskiego, drukowanego w piśmie francuskim „Le Globe” r. 1837.

Strona 218. PISMA POLITYCZNE.

Artykuły z „Pielgrzyma Polskiego”.

Strona 229. PRZEMÓWIENIA.

Trzy pierwsze z przytoczonych przemówień wygłosił Mickiewicz w gronie filomatów.



SPIS RZECZY.

	Str.
Konfederaci Barscy	3
Jakób Jasiński	53
WIERSZE, PRZYPISYWANE MICKIEWICZOWI.	
Pani Aniela. Naśladowanie z Woltera	71
Improwizacje	73
Do Jana Czeczota	74
Do Onufrego Pietraszkiewicza. Wiersz, wygłoszony na obchodzie jego imienia w maju 1819 roku	75
Jamby. Wiersz wygłoszony na tej samej uroczystości	77
O, zwiedziony podwójnie	80
Ucieszcie się	80
Dialogus musarum	81
Ułamek improwizacji więziennnej	87
Improwizacja (do Suzina)	87
Do . . . Improwizacja. Gdybym się zmienił	88
Sonet. (Gdzie dawniej, żrenicami)	88
Bomby, granaty	89
Dziewica na rozdrożu. Improwizacja do H. S.	89
Czy to z Litwy	91
...Niech mi Schiller	91
Przy puharze. Piosnka. (Precz, precz, nudy troski)	91
Ja rymów nie dobieram	92
Do Deotymy	92
„Na twą pierś“	93
Księgi narodu polskiego	94
Księgi pielgrzymstwa polskiego	104
Modlitwa pielgrzymstwa	135
Litanja pielgrzymka	135
Hymny Najświętszej Panny i Chrystusa Pana	137
Żywila. Powiastka z dziejów litewskich	140
Karylla. Powieść litewska	145
Kogo wybrać za męża? Przekład z oryginału francu- skiego	153

	Str.
Tydzień miodowy rekruta	158
Urywek pamiętnika Polki	167

ROZPRAWY LITERACKIE.

O poezji romantycznej	171
O krytykach i recenzentach warszawskich	186
Goethe i Byron. Rozprawa akademicka	198
Franciszek Karpiński	205
Stefan Garczyński	208
Aleksander Puszkina	210

PISMA POLITYCZNE.

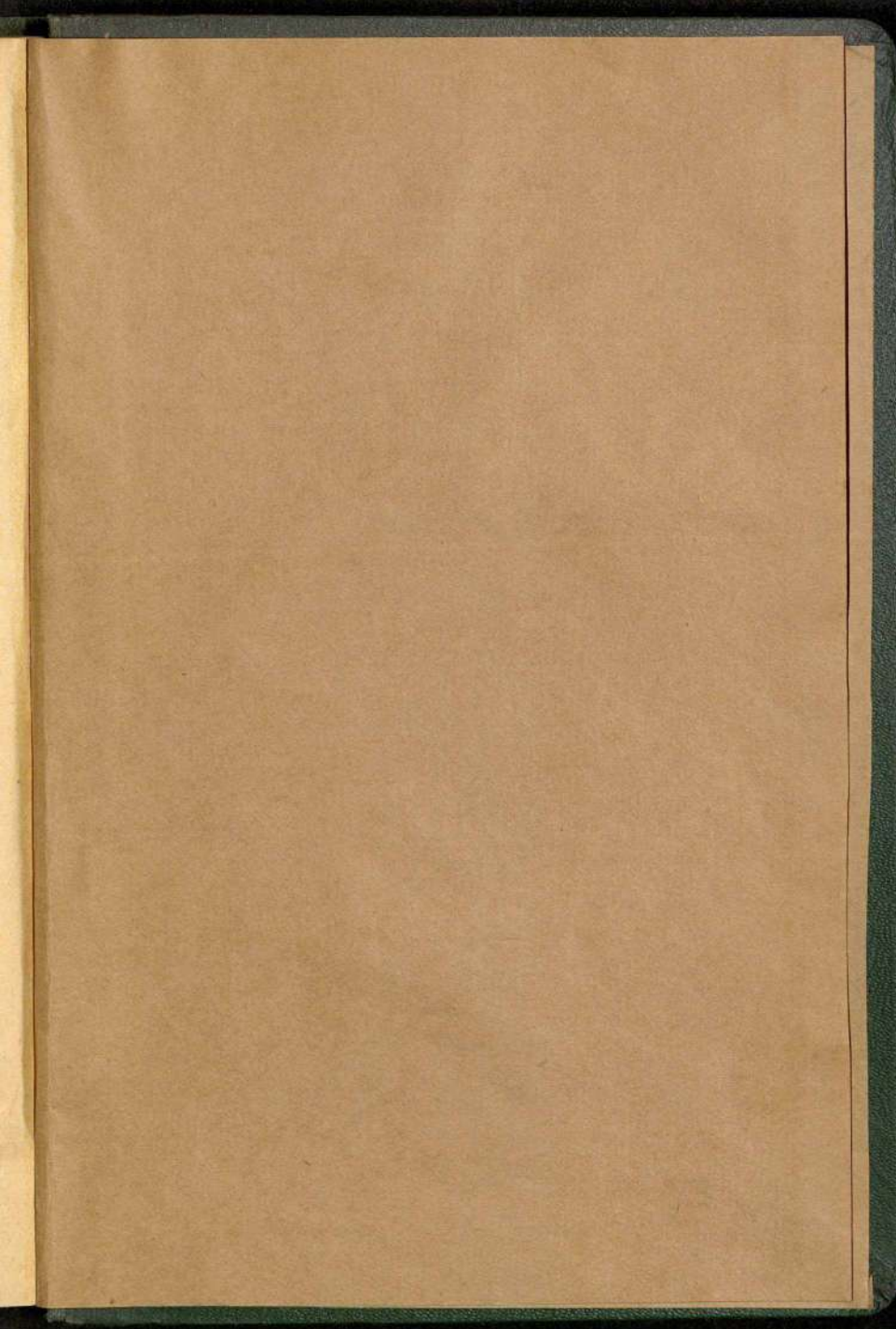
O partji polskiej	218
O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych	221
O artykule „Trybuny“ tudzież o starej taktyce stronnictw	224
Myśli o sejmie polskim	225

PRZEMÓWIENIA.

Mowa na pierwszym posiedzeniu naukowem wydziału I.	229
Mowa do Jana Czczota, przy wprowadzeniu go jako członka czynnego	232
Mowa na przyjęcie Dominika Chodźki, jako członka korespond. Tow. Filom.	235
Treść przemówienia do promienistych	237
Na posiedzeniu towarzystwa historyczno-literackiego	242
Na posiedzeniu towarzystwa historyczno-literackiego	244

OBJAŚNIENIA.

Dopiski autora	247
Uwagi wydawcy	251



Biblioteka Główna AP w Siedlcach

nr inw.: KG - 96



96